

31 ~~31~~
Z PRZEŁOMU.

KARTKA Z LAT MINIONYCH

PRZEZ

Jana Iłgowskiego.

N^o 57 35.



WARSZAWA.

w Drukarni **Emila Skińskiego** Chmielna 20.

—
1883.

31 0 V

Zbiory *Guine*

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава 20 Мая 1882 г.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0374339

K-17/77/83485

P

I.

Na wyniosłym pagórku Nadniemeńskim stał dworek drewniany, dziś już należący bez wątpienia do za-
bytków przeszłości, gdyż liczący przeszło dwieście lat
swojej egzystencji. Otoczony odwiecznymi lipami i dę-
bami, które musiały go ochraniać przez lat tyle od
wszystkich grożących mu niebezpieczeństw;—one i dziś
jeszcze jak aniołowie stróże obejmują swemi skrzydłami
starą strzechę szlachecką. Mieszkańcy dworku choć
przyodziani w dzisiejsze szaty, ale dusza w nich dawna
staropolska; na nich zupełnie nie miało wpływu ani oto-
czenie, ani starcie się z dzisiejszymi ludźmi. I dziwnie
ten dworek wyda ci się gdy wejdiesz do niego; wszystko
dokoła jak było przed laty, i zapominasz, że ten
mały kątek na ziemi należy do teraźniejszości. U stóp
góry, na której stoi dworek, wije się wstęgą błękitną
Niemen, to zwężając się, to znów rozszerzając i pędząc
coraz dalej i dalej dąży domorza, które go pochłania.

Dom choć stary ale dobrze utrzymany, w pokojach
ściany pobielane, a meble w nich nosiły na sobie ślady
minionej przeszłości. Szczególnie piętno to nosiła na

sobie sala jadalna, w której zawieszony na ścianie zegar staroświecki, wygrywał co godzinę kuranty, dawne narodowe pieśni i tańce. Na środku tej obszernej sali stał stary stół dębowy i także krzesła, po kątach około ściany parę kanapek, a przed niemi stoliki. Zdobiły jeszcze pokój dwie szafy z herbami nie zbyt misternej roboty, ze szklanemi szybami, z za których wyglądały stare puhary i naczynia srebrne i cynowe. Na ścianach porozwieszane były portrety w starodawnych polskich strojach, o starości których świadczyły podarte płótna i wytarte farby—były to portrety antenatów domu. Najprzód, na niewielkiego rozmiaru płótnie, zaledwie rozróżnić można było mężczyznę w gronostajowej bekieszy, z karabelą u boku i kilka orderami na piersi; u spodu portretu słowiańską kirylicą napis głosił, iż był to Fedor Iwan Darowicz, podczaszy Smoleński, założyciel niejednej cerkwi i klasztoru na Litwie i Rusi. Obok niego wisiał portret żony ubrannej w dawny stroju; z jej oczów i rysów twarzy rozpoznać mogłeś piękną kobietę przypominającą dziś nadzwyczaj twarz jej prapraprawnuczki Elżusi. Dalej malowidło przedstawiało Rafała i Annę Darowiczów klęczących u stóp krzyża ze złożonemi nabożnie rękami, którzy, będąc bezdzietnymi, wszystkie dobra swoje na cele dobroczynne poświęcili, a sami w dobrowolnym ubóstwie życia dokonali. Tu znów z podkreśnionym do góry wąsem, z butną miną szlachcic, z ręką opartą na rękojeści karabeli, zda się i dziś do boju gotów, to Kazimierz, skarbnik Czernihowski. Dalej jeszcze całe szeregi rozmaitych portretów, między któremi i habit mniwszy nie raz dojrzyć można, gdyż z rodu tego kilku było zakonników a nawet prowincyałów w klasztorze Dominikanów w Wilnie. Naostatek zwracał na siebie uwagę

portret wielkich rozmiarów przedstawiający średnich lat mężczyznę z podgoloną czupryną, o energicznnej i pełnej wyrazu twarzy, był to z prostej linii prapradziad dzisiejszych mieszkańców Wierzbian, Franciszek, starosta Upicki. Przyczynił się on niemało do podniesienia swojego rodu i jemu głównie świetniejszą przeszłość zawdzięczali. Na przeciwległej ścianie pokoju wisały jeszcze wprawdzie dwa obrazy, lecz te były nieco świeższego pędzla i wyobrażały dwoje małżonków; oboje młodzi byli jeszcze wówczas i przystojni. On ubrany w mundur wyszywany złotem, przez piersi mu przechodziła wstęga błękitna, a ona ubrana w lekkiej koronkowej sukni, z uśmiechniętą i bardzo piękną twarzą, z której mogłeś wyczytać, że życie dla tej kobiety wiele miało uroku. Były to portrety małżonków: Stanisława, szambelana ostatniego króla, już nieżyjącego, i żony jego Anny, dziś zgrzybiałej staruszki. Patrząc teraz na pomarszczoną twarz Szambelanowej i przygasłe wejście, trudno by nawet przypuścić, że te oczy, tak niegdyś piękne, wesoło na świat patrzyły, a przygarbiona dziś postać, tak niegdyś strojną była, jakby na urągowisko ukazując, na ile nieprzebiegana ręka czasu niszczy zarówno człowieka, jak wszystko co żyje, i poddaje prawu konieczności. Cały ten szereg portretów był jakby minioną historią całego rodu, przedstawiając chwile wywyższenia jego i upadku. Sala, o której opisuję, miała widok ponury, będąc oświetloną tylko dwoma oknami i drzwiami szklanemi wychodzącemi na balkon kryty, z którego wspaniała był widok na Niemen i okolice.

Drzwi ozdobne w herby, ze stołowego pokoju prowadziły do innych, w których pomiędzy starożytnymi sprzętami mogłeś dojrzyć i wiele nowoczesnych mebli,

prywiezionych przez samego gospodarza z niejednokrotnej wycieczki z zagranicy i z Warszawy.

Działo się to w sali jadalnej, bo tam najczęściej spędzała czas cała rodzina tego domu, składająca się z samego gospodarza Sędziego, jego córki i matki na koniec, która od czasu wyjścia zamaż, to jest od lat sześćdziesięciu kilku, tak przyzwyczaiła się do tych miejsc, gdzie spędziła najlepsze chwile swojego życia, że przyzwyczajenia u niej były drugą naturą, jak to sama mawiała zwykle. Po obiedzie naprzykład, zawsze spędzała czas siedząc na kanapie w sali jadalnej; u nóg jej teraz klęczała wnuczka, panna lat siedemnastu, której babka zastępowała miejsce matki,—bo tę ostatnią Elżusia jeszcze straciła w dzieciństwie, pozostała więc sierotą, ale tego nie czuła, będąc wychowaną w dostatkach i pieczytach, tak jak i jej brat starszy Ludwik, który obecnie kształcił się zagranicą.

W tej chwili pomiędzy babką i wnuczką toczyła się poufna rozmowa.

— Cóż, moja pieszczoszko—mówiła p. Szambelanova do wnuczki, całujesz mnie, czy mnie tak bardzo kochasz, a cóżbyś zrobiła, jeżeliby mnie nie stało na świecie?

— Cóż to za myśli przychodzą babuńci do głowy?—zawołała wnuczka.

— Nic w tém nie ma nadzwyczajnego moja droga, jestem już starą, stoję nad grobem, pierwój lub później to musi nastąpić, młodzi mogą a starzy muszą, moje dziecko.

— Ach! babuńciu moja! na cóż przypuszczać tak smutne myśli do głowy?

— Dlatego to mówię co myślę, abyś była przygotowaną do tego, co cię spotkać może. I dlatego, wiedząc, że cię prędko mogę opuścić, bardzo się niepokoję o losie twoim, moja Elżusiu. Nie będziesz ciągle ze swoją babką, będziesz musiała kiedyś żyć z ludźmi, niewiadomo jacy oni będą dla ciebie i co cię spotka w życiu. Powiedz mi szczerze, czy ci się kto podoba?

Wnuczka zaczerwieniła się, na dół spuszczaając oczki.

— Mów śmiało, moje dziecko, jak przed Bogiem, nikt nas nie słyszy, ja stara, ale kiedyś byłam także młodą i odgaduję myśli młodych. Pamiętam, jak o moją rękę starał się starosta, pan licznych wsi, a rodzice mnie swatali pana szambelana, wysłałam więc za niego i byłam kochając go najszczęśliwszą, choć krótko; Panie świeć nad jego duszą. Pierwszy raz widziałam go jak dziś, pamiętam, na odpuszcie w Szydłowie i tańczyłam z nim wtedy poloneza; od razu mi się podobał, bo też śliczny to był mężczyzna i wyglądał wspaniale; miał na sobie kontusz błękitny z amarantowemi wylotami. Później z pół roku go nie widziałam zupełnie, ale potem oświadczył się o moją rękę przez panią cześnikową i został przyjęty; Panie świeć nad jego duszą!—I zaczęła pocziwa staruszka łzy ocierać odmawiając pocichu Anioł Pański.

— A babuńcia prawdy nie mówi—zawołała Elżusia, trzepocząc się na wszystkie strony—i o tem nigdy nie wspomina jak dziadunio nieboszczyk ją na koniach z uzbrojoną szlachtą wykradł i ślub wziął wbrew woli jej rodziców, i jak za to oni po barbarzyńsku chcieli babunię osadzić w jakimś tam klasztorze. Przecież starzy ludzie to pamiętają.

— Co ty tam bredzisz, Elżuniu?

— Ja nie bredzę, droga babunieczko, o tém wszyscy wiedzą, i w tém nic nie widzę złego, że babunia rękę oddała z miłości; bo téż ten starosta, choć bogaty, ale, jak mówią, był starym i brzydkim, a babunieczka taką młodą i ładną, jak oto widać z tego portretu—to piękność!

— Bredzisz, bredzisz, moje dziecko.—Mój Boże! jaki to świat dzisiejszy zepsuty, wnuczka babce takie rzeczy gada, nie było tego za moich czasów!

— Ależ moja droga babciu—odezwiała się wnuczka całując ją w kolana—cóż jest w tém złego, jabym to samo dziś zrobiła, jeżeliby mi kazano iść zamaż za jakiegoś tam starego gderacza—dalibógbym nie wyszła i kwita.

— A gdybym ja cię prosiła o to, dla twego szczęścia i zaklinała ze łzami?

— Babciaby mnie nie chciała żywcem zagrzebać.

— Jakto zagrzebać? No proszę! Wy młodzi najczęściej nie słuchacie nas starych, doświadczonych, choć my, żyjąc na świecie długo, poznaliśmy trochę życia, i dlatego, kochając was, dajemy rady i przestrogi.

— A to i babcia nie rada, że nie posłuchała rodziców, a poszła zamaż, idąc za własnym popędem serca?

— Ach! ty trzpiotko, pleciesz jak na mękach, z tobą nie rozmówię się dzisiaj.

— Co do mnie, to przyznam się babci otwarcie, tak, jak ją kocham szczerze i prawdziwie—zawołała podnosząc się Elżusia— to albo wyjdę zamaż za tego, kogo pokocham, lub lepiej zupełnie dam temu za wygraną.

— A ty kochasz już kogo?

— Trochę, troszeczkę tylko, zawołała rumieniąc się wnuczka.

— No, a kogo?

— O! tego nie powiem za nic babuni, bo ona będzie z tego bardzo nierada.

— A! to już domyślam się. Jakże on wygląda?

— Brunet, wysoki, z wąsami.

— Nie, moje dziecko, to nie dla ciebie partya. On nie odpowiada ci w niczém ani urodzeniem, ani funduszem, ani wychowaniem.

— Czemu babcia nie lubi pana Kazimierza, bo ja przeciwnie, znajduję w nim pewną inteligencją, którą on sam w sobie wyrobił. P. Kazimierz jest dla mnie bardzo przyjaznym i zawsze mi to okazuje; podobać się nie może, bo przyznam się babci, że dziś jestem wolną jak ptaszek, bo oprócz kanarków i małych kudłatych piesków, nikt mi się jeszcze nie podobał, niech babcia więc będzie spokojną.

— Ach, ty mała figlarko!—zawołała zadowolona staruszka—niepokoisz mnie swojemi figlami. Wiem, że krew nasza starego rodu Darowiczów nie splami nigdy siebie przez połączenie się z krwią nieszlachecką. Pan Kazimierz może być człowiekiem najlepszym, jednakże ja zawsze przeciwną byłam i prosiłam nawet ojca twego o to, ażeby go nie przyjmowano do domu naszego; nauczyciel szkółki, syn chłopca, niezajmujący żadnego stanowiska, parweniusz jedném słowem, on nie jest w stanie moja droga wznieść się do téj wyższości, którą nam daje urodzenie, on nie dorósł do tego i nie dorośnie nigdy, gdyż jest plebeuszem tylko i nic więcej, krew inna, moje dziecko, w żyłach jego krąży, nie ma w nim tego co

nazywamy szlachetnością krwi odziedziczonej po przodkach.

— Może to główny powab jego i zasługa, że on nauczyciel szkółki ludowej, dziecko ludu litewskiego— to tak poetycznie babuńciu, czyż nieprawda?—zawołała Elżusia, kręcąc się na jednej nóżce.

— Trzpiotką jesteś i koniec; a prosiłam już Józefa nie raz, aby do domu swego motłochu nie zbierał, zawsze to chłop, a to gadzina niewdzięczna.

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł do pokoju pan Sędzia Józef Darowicz; był to starzec zaledwie o lat szesnaście młodszy od swojej matki. Szlachetne miało czoło wyniosłe, zakryte nieco długimi włosami, oczy szare i nos nieco garbaty, wzrost wysoki; cała postawa jego nosiła na sobie cechę rozumu i inteligencji. Wyraz twarzy miał przyjemny i ujmujący, czoło zorane zmarszczkami, które od kilku miesięcy jeszcze znacznie wystąpiły na nim, bo sędzia był chorym i leczył się obecnie; lecz pomimo tego jednak energiczny to był jeszcze człowiek, sumienny w sprawach publicznych, tyjących się obowiązków obywatela, dowodem czego był urząd sędziego, który za młodu spełniał z wielkim zaufaniem ogółu, dobry sąsiad i ojciec rodziny. Jako gospodarz, należał do rzadkich także egzemplarzy nasyconych w tej okolicy; nigdzie też lepiej nie rosła pszenica jak u niego, pomimo lichego gruntu,—sztuka ulepszania ziemi, nawozy i praca osobista zastępowały bierną naturę ziemi. Sędzia, jako zamilowany rolnik, i syna swego jedynaka dwudziestopięcioletniego Ludwika kształcił na rolnika, który, ukończywszy nauki rolnicze w jednym z wyższych specjalnych zakładów krajowych, wyjechał zagranicę przed paru laty, gdzie i obe-

enie bawi zwiedzając najslawniejsze gospodarki, hodowlę bydła i zakłady specjalne.

Sędzia pocałowawszy rękę matki zaczął z nią rozmowę, a Elżusia przywitawszy się z ojcem, pobiegła do swojej gospodarki. Sędzia rozповідаł matce o projektach swoich gospodarczych, o urodzajach, bo od śmierci nieboszczki żony, powiernicą wszystkich jego planów i myśli została matka, którą kochając bardzo, zasięgał rad we wszystkiem, a nawet bez jej wiadomości i zgody nic nie robił. Sędzia długo gawędząc z matką o rozmaitych przedmiotach, zaczął nareszcie o sąsiadach i mimowolnie rozmowa rozpoczęła się o Kazimierzu, tym samym, o którym przed chwilą rozmawiała babka z wnuczką.

— Naszej biednej Elżuni ten Ławrynajtis zawrócił głowę,—to zawsze tak, wpuść chama do domu, to on nie pozna się nigdy na łaskach pańskich i dobrodziejstwach—mówiła w ten sposób pani Szambelanowa do syna.

— Elżusia o nim nie myśli—odparł Sędzia—a sam Kazimierz tego nie dopuści się; jest to człowiek tak dumny z siebie, że wiedząc jak go uważają, nigdy nie pomyśli o jakim bądź związku niewłaściwym dla siebie. Pochodzi on jednak choć z rodziny włościańskiej, ale bardzo poczciwej, znałem jego rodziców i stryjów, byli to wszystko ludzie bardzo zacni. Dobry to człowiek, moja mateczko, widać także, że wiele pracuje nad sobą, trochę idealista, głowę ma przewróconą jakimś przewrotami społecznymi, trochę za czerwony, to prawda, ale z innych względów szanuję go, bo to chłopak z gruntu szlachetny, poczciwy, pracowity i oszczędny.

— W swoim stanie może być najlepszym, jak na chłopca — zawołała szambelanowa, w każdym jednak ra-

zie prosiłabym cię, ażebyś wypowiedział mu u nas te tak częste wizyty; jak mi Bóg miły, to z tego wielkiej korzyści nie odniesie ani on, ani my. On będzie się psuł wdzierając w nasze stosunki i towarzystwo, a my cóż z tego wygramy, że będziemy pozwalać mu dłużej bałamucić dziewczynę, która nieprędka zapomni tego, czego się nauczyła za młodu, nasłuchawszy się od niego bzdurstw najokropniejszych, powtarzając je i dziś już jak jaką mądrość.

— Wymówić mu domu mojego nie mogę — odpowiedział poważnie Sędzia — byłoby to nie po obywatelsku i nie po szlachecku, a nawet i nie po ludzku, moja mateczko. Przecież on taki właściciel jak i my, ma także kawał gruntu, tylko że mniej od nas, a zresztą oprócz życzliwości, jakiej doznaliśmy w wielu wypadkach od niego, w niczem nas nie obraził, a wypowiedzieć mu bywanie u nas, byłoby nawet więcej jak niemożliwem.

— At! pleciesz waść! — odezwała się Szambelanowa nieco urażona do syna. — U was to wszystko dobrze, a mówiłam ci nie przyjmuj go do domu, bo to chłop, cham, gadzina, a nie posłuchałeś mnie; u was wszystko po nowomodnemu i dobrze wam z tém, ale nie nam starym. Ach! gdyby powstał z grobów nasi przodkowie, coby powiedzieli na to — i staruszka załamałszy ręce zaczęła szlochać. — Zdaje się tak jeszcze niedawno, a ileżto zmian zaszło w tym domu, nowi ludzie i nowe porządki. Dawniej, za ojca twego tego nie było i onby mnie na pewno posłuchał, jeżeliby go prosiła o co, mając na celu dobro dziecka. Jakiś tam wnuk naszego kucharza, bakałarz ośmiela się myśleć o rękę dziecka ze starożytniej szlacheckiej rodziny, która pieczętuje się herbem

Syrokomla w połączeniu z Habdankiem — i ty nic na to. Ach! mój Boże! to skończenie świata.

— Mateczko moja! — zawołał Sędzia całując rękę matki, chcąc ją uspokoić — sam na to zgodzę się w zasadzie a nawet w części może podzielam jej zdanie, ale cóż mam robić, kiedy inaczej postąpić nie mogę: to konieczność, to okropny upadek naszych tradycji szlacheckich i przeszłości, to zło, ale bez naprawy. Przeżywamy czasy straszne, dla tych szczególnie, co wyrosli wśród innych zupełnie przekonań i pojęć a dziś zmuszonych często patrzeć na swoje dzieci nieraz kłaniające się tym, którzy kiedyś zebrali łaski u ich rodziców, — to wypadki smutne, ale nieuniknione. Z dniem każdym widzimy jak żywioł demokratyczny robi wyłom w starém społeczeństwie szlacheckiem i o śmierć go przyprowadza, lecz cóż robić, to logika czasu nielitościwa, nieubłagana. — Wsparł głowę na rękę Sędzia i patrząc w przestrzeń tak dalej mówił: — W moim wieku przeżyłem zmian nie mało, będąc wychowany w innych pojęciach, niż dzisiejsze, tymczasem z dniem każdym nadchodzą nowi ludzie z innemi zasadami i wiarą i wydzierają nam to cośmy ukojali; nas coraz mniej, a ich więcej, a kiedyś zjeździemy wszyscy z pola. Herby te nasze syn mój lub córka może także pozrywać, a portrety przodków pozamienia na modnych tancerek i kurtyzanek, i oprócz wspomnień, nic po nas nie pozostanie, chyba jaki sługa stary łzę ocierając, będzie czasami opowiadać, jak się to żyło i jak bywało w starym, dawnym dworze, nim za nami nie podąży. Zamyślił się stary i łzy miał w oczach, a staruszka głośno się rozplakała tak, że Sędzia musiał długo ją uspokajać.

Wtém śmiejąc się i skacząc wpadła do pokoju Elżusia, oznajmiając przyjazd księdza proboszcza Rudysa.

Był to sobie człowieczek lat 45, niskiego wzrostu, czerwonej, niewielkiej twarzyczki, tylko przenikliwe czarne oczy oznajmiały chwilami to gniew, to radość zmieniając fizygnomią; brzuch miał opasły, lubił dobrą strawę, przysmaki i napoje, a gdy śmiał się z czego, to chwycił zawsze za żołądek. Proboszcz posiadał dar poznawania słabości ludzkich, przez co trafiał do przekonania każdego śmiertelnika, a umiając dobrze usposabiać względem siebie swoich parafian, wyciągał z tego znaczne korzyści. Okoliczna szlachta mawiała, że to człowiek grający dobrze w karty; panie stare, że człowiek święty, a panny i młode mężatki, że ma ładne oczy i jak mówi, to podobnym jest do tego, lub owego. Zależało od usposobień porównywających; tak jedni z nich znajdowali w nim podobieństwo do Napoleona, drudzy do papieża, choć nie był podobnym ani do jednego, ani do drugiego, a prosto był księdzem Rudysem, proboszczem w Wierzbianach. Interesa miłosne choć miewał, ale skrycie, i nie jedna parafianka powierzała ojcu świętemu swoje grzechy, szukając pobłażliwości i pewną będąc współczucia ze strony swego penitencyaryusza, które on okazywał dla biednych sierot, wdów i rozwódek.

Plebania i kościół były o jakie dwieście kroków oddalone od Wierzbiańskiego dworu. Parafia ta należała do wcale dobrych, pomimo tego, że dwóch księży z niej żyło. Ks. proboszcz Bartłomiej Rudys i ks. wikary Jan Wilużys obaj byli synami włościan litewskich, u których najwyższy szczyt marzeń każdego zamożniejszego gospodarza-włościanina jest widzieć syna swego w sutaniu duchownej. Syn dziedzica Wierzbian Ludwik całą swą młodość przepędził nad Niemnem z synami włościan się bawiąc; wtenczas to zawarta przyjaźń

jego z Kazimierzem i ks. Janem, została silną na całe życie, bo wrażenia z 10-go roku życia silnie oddziaływają zwykle na całą przyszłość człowieka. Będąc dziećmi jeszcze łowili rybę wędką w Niemnie, do późnej nocy latem w dzień pogodny pływali łódką śpiewając ulubione pieśni ludowe o minionej sławie Litwy i jej bohaterach; zbierali grzyby, lub jagody latem w dzień niedzielne, i tak pokochali swój zakątek ojczysty, lud, z którym wzrosli, i swoich bogów rodzinnych. Często wtenczas bawiła się też z niemi mała podówczas Elżusia, i największą było dla niej rozrywką poplaskać się w wodzie z chłopcami, lub poskakać po błocie. Lat kilkanaście wprawdzie ubiegło od tego czasu, lecz przyjaźń i wspomnienia lat młodzieńczych nie zatarły się w ich pamięci. Każdy z nich napotykał w życiu inne okoliczności i wpływy, przy których zdobywał wiedzę, lecz pomimo tego jednak dążności wszyscy trzej mieli wspólne. Jan Wilużys został księdzem, idąc za popędem nie tak swych własnych skłonności, jak ulegając tylko woli ojca. Natura jego była łagodna i dowierzająca. Co się tyczy Kazimierza Ławrynajtisa, to ten, skończywszy szkoły gimnazyalne, gospodarzył we wsi swojej na pozostałej ojcowiznie, ojciec bowiem jego był jednym z najzamożniejszych gospodarzy w okolicy. Przez zimę zaś oprócz tego, uczył dzieci wioskowe, otrzymując za to małe wynagrodzenie, choć często robił to z zasady i od biedniejszych nic nie biorąc. Kazimierz był przystojnym mężczyzną, wysokiego wzrostu, brunet, pociągłej twarzy poważnej i nieco surowej, która rzadko była wesołą, i jeżeli uśmiech występował na jego ustach, to częściej ironii i goryczy, jak zadowolenia. Był to człowiek twardego charakteru i silnych a nieugiętych niczem

przekonań. Pomimo różnych charakterów, jednakże serdeczna przyjaźń łączyła Kazimierza z ks. Janem, choć do duchownych w ogóle czuł wstręt nieprzeparty. Ks. Jan zresztą nie należał do księży zwyczajnych, jakich najczęściej spotykamy w życiu. On sam czuł to, że nie może być takim sługą ołtarza, jakim chcieliby go mieć niektórzy, stan swój uważając za niewolę, z której nie ma wyjścia, a raz spełniwszy przysięgę, starał się więc ją wypełniać sumiennie. Pod wpływem takiego życia, zesmutniał, spoważniał, zestarzał jeszcze za młodu; na ile to możebnem było w jego stanie, starał się być liberalnym co do przekonań i pozytywistą; widział on potrzebę ogólnej reformy całego społeczeństwa nie wyłączając i duchowieństwa; kochał lud z pośród którego wyszedł i nie wstydził się braci w siermięgach i ich pojęć. Starał się wierzyć co się tyczy religii, po chłopsku, obrządków się przytrzymując; rozrzewniał go głos organu i dzwonka, lub pieśń ludu w wiejskim kościółku, w dogmaty i tajemnice wiary się nie wdając, jak jego proboszcz; płakał razem ze swymi braćmi na pogrzebach i z nimi się weselił na weselach i chrzcinach. Był on sługą nie Rzymu, lecz ludu. Uczył także dzieci po wsiach, strapiionych pocieszał, pomagał datkiem, a po śmierci rodziców, otrzymawszy w spadku kawał ziemi i gotówkę, rozdał je prędko potrzebniejszym od siebie; unikał on ludzi wpływowych i bogatych, a żył wśród stanu z którego wyszedł. Z początku lubiono go w sąsiedztwie, a panie nawet mawiały, że ma ładne duże wyraziste oczy, ale, niestety, prędko nastąpiło rozczerowanie! Ks. Jan towarzystw unikał, spowiadał krótko, na kazaniach nie płakał, nie podnosił oczu do nieba, a więc złe języki zaczęły wymyślać, że ma jakieś romanse, że

te spowiadał dłużej nad inną, a że ta darowała mu bukiet kwiatów i że dla niektórych dam w obejściu się jest grzeczniejszym, a dla innych więcej szorstkim. Charaktery i usposobienia były wręcz przeciwne u proboszcza i u jego wikarego; na początku tylko przyjazdu ks. Jan był dobrze z proboszczem, choć ks. proboszcz uskarżał się na swego wikarego, że ani do tańca, ani do różańca, i tylko pozorna pomiędzy nimi panowała zgoda.

Otóż wracamy do Proboszcza, który w tej chwili przyjechał; wszedł do sali jadalnej i znalazłszy tam gospodarzy, od których był przywitany jak zwykle serdecznie i wycalowawszy się z nimi do woli, potrzywał za brzuszek rękoma według zwyczaju, jeżeli rad był czemu. Opowiadał o nowinach zaszłych w parafii, mianowicie, że przyjechała nowa parafianka pani Biegunkowa z projektem zamieszkania w swojej wsi i że jest dobrą katoliczką, bo księdzu przysłała niemal dzieściny, — za co niech ją Bóg ma w swojej opiece i Jego Święci Pańscy — wznosząc ręce do nieba, wołał ks. proboszcz. Staruszka według zwyczaju, popłakała nad dobrą nowoprzybyłą parafianką i zaczęła opowiadać Proboszczowi o szerzącej się coraz to głośniejszej wiadomości, że jakoby chłopów mają ziemią nadzielać i dać im wolność i że może tym sposobem oświeci się to bydło; a wola im nadana może wpłynie na nich korzystnie; — daj to Boże! — mówiła staruszka — choć ze stratą naszą, ale cóż robić, my więcej też od nich mamy.

Później jeszcze mówił Proboszcz o nowozawiazaném stowarzyszeniu przeciw wszelkiej bezbożności i kacerstwu i stowarzyszeniu dusz pobożnych, którego prezesem miała być pani Biegunkowa.

— Za moich czasów — odrzekła Szambelanowa — nie znaliśmy tych stowarzyszeń, to coś nowomodnego.

— Te czasy nas do tego zmuszają, to broń jedyną jaką mamy w rękę. Opowiem pani Szambelanowej do brodziejce do czego to lekceważenie wiary świętej dochodzi, nawet w tak zacnym domu jakim jest dom państwa Marszałkowstwa, na przykład synek ich dotąd niechrzczony, a dusza jego może pójść na wieczne zatracenie, jeżeli, broń Boże, on umrze — mówił z przejęciem Proboszcz.

— I jeszcze lutrów niewiernych wzywają na taki święty obrządek! — dodała z oburzeniem Szambelanowa — jak to już nie raz miało miejsce przy chrzcie świętym innych ich dzieci.

— To jeszcze dobrze, bo wszystkie dzieci, których Baron trzymał do chrztu, hoduja się zdrowo, on dobry przytém człowiek, — jest w tém na pewno jakieś błogosławieństwo Boskie. — Ksiądz mówiąc te słowa dotykał się końcami palców opasłego brzucha, przypominawszy sobie, że pomimo błogosławieństwa na dziecko, spada i na niego każdorazowo błogosławieństwo Boskie przez Barona zesłane w ilości kilkudziesięciu rubli za sam chrzest, nie licząc na chrzcinach wygranę w karty, bo Proboszcz grał szczęśliwie. Proboszcz zapytywał potem jeszcze, kiedy Ludwik wróci do kraju i czy nie pisał w tych czasach, wyrażając obawę wspólną z Szambelanową, aby w czasach dzisiejszych zepsucia nie wpadł w jakieś złe towarzystwo i nie przywiózł do domu zawróconej głowy a razem z tém jakiegoś dobytku — o co tam nietrudno — dodał z dowcipem. Nakoniec uskarżał się jeszcze na swego wikarego. — A to proszę jejmości cała dzisiejsza młodzież taka, i p. Ludwik, a w jego ślady

poszli i mój wikary i Kazimierz. Wszystko to bezbożni i zepsuci.

Nagadawszy się dowoli Proboszcz i wychyliwszy parę kielichów starego węgryna, wyprosiwszy wypas dla kilku krówek na całe lato, zadowolony trzymając się za brzuszek podążył do domu.

— Świątobliwy to człowiek — rzekła staruszka za odchodzącym księdzem, a pan Sędzia westchnął pomyślawszy sobie: za moich czasów lepsi byli kapłani, w tych mało wiary a większa dbałość o własne kieszenie.

II.

Było to na Szlaku Austriackim — w Cieszyńskim, w kraiku, gdzie życie płynie cicho, monotonicznie wśród pracy i codziennych obowiązków. Nie doznasz tam wielkich wrażeń i wstrząśnień, ale duch twój otrzyma ten błogi spokój, wiarę w swe siły i chęć do pracy, czego nie jeden jest dziś pozbawionym, będąc już w młodym wieku starcem zużytym. Dla ludzi zrozpaczonych, lub zawiedzionych nadziejami, najlepszym lekarstwem będzie — Szlak Cieszyński.

Tutaj-to młody Ludwik, po paroletniej pielgrzymce po Europie, zmęczony gwarem miast wielkich i znużony moralnie, szukał wypoczynku wśród ciszy i spokoju. Przejechał Francją, Anglią, Niemcy i Włochy a także i ich stolicy, zwiedziwszy najslawniejsze wzorowe gospodarki, przez Szlak i Warszawę miał wrócić w rodzinne strony Nadniemeńskie dla wzięcia się do

pracy około roli energicznie, z całym młodzieńczym zapałem.

Od dwóch miesięcy Ludwik pozostawał na Szląsku, codziennie odkładając swój wyjazd, bo coś go tam więziło i trzymało; a tymczasem zwiedzał dawne rozmaite pomniki starożytności Cieszyna, z którym dla obznajmienia czytelnika, podaję krótką historyczną notatkę.

Szląsk wydał się dla niego krainą godną współczucia, szczególnie dla tych, komu losy Słowiańszczyzny są drogie.—Będąc oderwanym od swojej braci jedнопlemiennej przed kilką wiekami, bo w r. 1163, za czasów Bolesława Kędzierzawego, przez samych Polaków został oddany na łup Niemcom. Książęta szląscy pod wpływem Krzyżaków, dzieląc kraj pomiędzy siebie coraz to na mniejsze części, zniedołężnieli, a w końcu zestosunkowując się z niemkami przez związki małżeńskie, przyjęli ich mowę i obyczaje; za książętami i ich dworem podążyła szlachta i duchowieństwo. Od XIII stulecia zaczyna się systematyczna germanizacja Szląska; książęta sprowadzają niemieckich kolonistów, nadają im prawa i przywileje większe aniżeli mieli miejscowi krajowcy: miasta niemczą się zupełnie. W drugiej połowie XIII i w XIV wieku drobne księstwa szląskie przechodzą częściowo w posiadanie królów czeskich, którzy w owym czasie najsilniej niemczyli swój naród. W XV stuleciu Polska, po połączeniu się z Litwą, stanęła w obronie ludów słowiańskich, pod swe berło przyjmując niektóre księstwa szląskie, ale to nie na długo. Władysław, syn Kazimierza IV, jakiś czas panuje w Czechach a przez to Szląsk wraca do korony polskiej, lecz po jego śmierci staje się znowu prowincją niemiecką. W XVIII wieku górny Szląsk pokojem zawartym

w Dreźnie przechodzi pod panowanie pruskie; Cieszyńskie pozostaje pod austriackim. I tak szlachta w ciągu tych kilku wieków zniemczała lub wyginęła, w ich ślady poszło duchowieństwo, lud jeden tylko pozostał wierny tradycji narodowej i w nim nasza siła na Szląsku. Lelewel niegdyś wyrzekł proroczym głosem te pamiętne słowa: „Naród polski Szląsk i Prusy utracił przez arystokrację, a przez lud, gminowładztwo i demokrację go odzyszcze.” Od roku 1848 zaczyna się misja sprawy narodowej, jak na górnym Szląsku, tak i w Cieszyńskim. Zjawiają się apostołowie polskości z ludu szląckiego, którzy z zadziwiającą wytrwałością, z zaparciem się siebie dla niego pracują. Zawijają się kółka włościańskie, stowarzyszenia, spółki handlowe, biblioteki, czytelnie, banki, wydawnictwa książek i gazet. Niepowstrzymany niczém prąd odrodzenia się narodowości, coraz dalej się rozszerza i robi olbrzymie kroki pokonywając wszelkie przeszkody.—Oto jest kilka słów o przeszłości Szląska.

Ludwik zwiedzając wsie i gospodarstwa, spotykał się z ludźmi zamieszkującymi je. Każdy gospodarz-włościanin przyjmował go z gościnnością serdeczną, prawdziwie słowiańską. Podziwiał on ustrój kraju czysto demokratycznego i wysokie umoralnienie ludu. Często, zmęczony do długich całodziennych wycieczkach, kiedy wieczorem kładł się spać w chacie jakiego gospodarza, myślał sobie, czemu w innych krańcach naszej ojczyzny nie ma tej pracy cichéj i wytrwałéj, wstrze-mięźliwości i zamożności? Czemu ta oświata i moralność nie przeniknie u nas już nie do ludu ale do szlachty tylko i nie wyświeci jej celów i obowiązków jako obywateli? Drżał wtedy gdy stawiała mu przed oczami

szlachta szlázka i z przestrachem przesuwiała mu się myśl po głowie zupełnej jej zagłady w innych częściach dawniej Polski. Ludwik, interesując się sprawą ludu, poznawał i nauczycieli ludowych, podziwiał ich pracowitość, znajomość swojej profesyi i nieugiętość w obec władz szkolnych niemieckich.

Był to wieczór, Ludwik znajdował się u jednego zamożnego gospodarza w okolicach Cieszyna. Urządzenie tej siedziby było bardzo porządne. Dom mieszkalny murowany, jak również inne gospodarcze budynki; naokoło domu było drzewek kilka i mały ogródek; wewnątrz domu mieszkanie składało się z kilku pokoiów czystych i światłych po dwóch stronach. Po jednej mieszkał gospodarz z rodziną, a po drugiej była kuchnia i pokój dla czeladzi. W największym z pokoi pod oknem stał stół dębowy wielki, nakryty białym czystym obrusem, na którym leżał chleb, sér, masło, mleko i wi-na butelka. Przy stole siedziała rodzina Jana Macury, składająca się z jego żony i jedynaczki córki, obok której siedział przyjaciel ich i krewny, nauczyciel szkółki, Andrzej Borówka, a przy nim Ludwik. Jan Macura był mężczyzną wieku lat pięćdziesięciu, blondyn, dziś już nieco szpakowaty, oczy miał światło-błękitne, twarz okrągłą, bez zarostu, opaloną od słońca, zawsze wesołą i dobronudszą, wzrostu był średniego i pełny. Andrzej Borówka był nauczycielem szkoły parafialnej ewangelickiej w jednej z pobliskich wsi; był on nieżonatym, o jakie lat dziesięć młodszym od Macury, wzrostu wysokiego, miał twarz pełną, wygoloną, oczy pełne dobroci i prostoduszności, zresztą był to ten sam typ szlázki, jakich niemało tam się spotyka. Ubrani byli obaj w strój narodowy szlázki, składający się z kurtki i kamizelki,

przy których guziki srebrne się świeciły, i spodni nieco obcisłych; całe ubranie było zrobione z czarnego dosyć grubego sukna. Przyjaźń ścisła łączyła tych dwóch ludzi od dawna, gdyż obadwa pracowali w jednym kierunku, oba narodowce i apostołowie odrodzenia się. Zona Macury była to kobietaw wieku średnim, małowówna, bojaźliwa, dobra matka, żona i gospodyni, przytém porządną duszą i dobrego zdrowia. Dla scharakteryzowania jeszcze całej rodziny wspomnę o córce — słynącej z piękności w okolicy — Maryi. Było to hoże dziewczę lat 18, blondynka, wysokiego wzrostu, pełna, twarzyczka uśmiechnięta, a z jej siwych oczu, otoczonych dużemi rzęsami, zdawałyby się ciągle pojawiać jakieś nowe projekta do psot i figlów, jakie bardzo lubiła. Ładne, gęste zwoje włosów, skręcających się w naturalne loki, spadały na ramiona, któremi się dziewczyna chciała pochwalić, bo z wyjątkiem tylko noszenia włosów, reszta ubioru, który był bardzo czystym, jak u matki tak i u córki, był ubiorem krajowym ludu, jaki noszą kobiety w Cieszyńskim. Krótka spódnica i sznurówka, w dniu świąteczne z kosztownej nawet materyi, zapięta bardzo starannie, ślicznie zarysowywały kibić 18-letniej dziewczyny.

— No, niech pan jeszcze nam co opowie o waszych stronach, jak tam żyją ludzie? To bardzo ciekawe.— Tak mówił Macura do Ludwika.

— Nic wam nie mogę więcej opowiedzieć; u was wszystko jest daleko lepszym, jak u nas, my przeciw was jesteśmy biedni i bezzaradni, a od was wiele jeszcze moglibyśmy się nauczyć.

— Grzeczni jesteście, że u nas wszystko chwalicie, przerwał mu Macura.— Pamiętam, jak przed parą laty jeździłem do Krakowa, a ztamtąd do Warszawy, ale

wasza Litwa to jeszcze dalej,—tam inny kraj zupełnie, jak u nas, a to ztąd jest bardzo daleko. Choć lubię bardzo zwiedzać polskie kraje, nie wiem jednak, czy się tam kiedy wybiorę—to dla nas prostaków za daleka podróż.

Rozmowa długo się jeszcze toczyła o rozmaitych przedmiotach, nareszcie pożegnawszy się Ludwik wyszedł razem z Borówką; pierwszy z nich wrócił do hotelu w Cieszynie, w którym przemieszkował, a drugi do swojej wsi poblizkiej śpieszył, bo następnego dnia z rana musiał odbywać lekcye ze swemi uczniami.

W kilka dni potem Ludwik razem z Borówką zwiedzali szkoły ludowe, zaznajamiając się z innymi nauczycielami, a gdy wracali, to na zapytanie Borówki: gdzie teraz pójdziemy? Ludwik nadmienił nazwisko Macury, a więc podążyli do nich na gawędkę. Co dni parę Ludwik chodził do nich potem codziennie, a jeżeli ich którego dnia nie odwiedził, tęsknił za czémś. Z dnia na dzień ciągle Ludwik zwlekał z wyjazdem, a myślał, że będzie musiał prędko rozstać się z Cieszynem, smuciła go wielce.

Pewnego dnia Borówka zapytywał Ludwika o przyczynę jego zmartwienia od pewnego czasu.

— Wyznam wam szczerze, że myśl wyjazdu nabawia mnie tęsknoty za wami, odpowiedział mu Ludwik.

— Ej! czyż tylko za nami?

Ludwik zwiesił głowę.

Kiedys wróciwszy od Macury, noc całą spać nie mógł, całe szeregi myśli tłoczyły mu się do głowy, nareszcie pochwycił pióro do ręki i pisał co następuje:

Cieszyn, 186... Czerwca.

„Drogi Przyjacielu!

Z dnia na dzień wybieram się ztąd wyjechać i do domu powrócić, lecz coś mnie zatrzymuje. Jakaś dotąd nieznana mi siła, jak ją nie nazwiecie, dzieciństwem czy uludą, lub miłością — mnie tu przykuła. Naród, pośród którego żyję, trzeci miesiąc przywiązał mnie do siebie całą moją duszą młodzieńczą. Oświata, praca domowa i umiarkowanie robią go wielkim i niezwykłym, co daje wielką rekojmie jego przyszłości. Kiedyż dojdziemy do tego stanu? może wieki przemina. Nauka ludowa pozostaje tutaj na takim stanowisku, o jakim nie mamy pojęcia, kochany pedagogu. To, co u nas żyje w idei, to tu w czynie. Każdy prawie włościanin kończy szkołę ludową, a często i gimnazyum, a później wraca do domu, wkłada kurtkę i bierze się znowu do pługa; ci co wracają z wojska, postępują w ich ślady. I któż uwierzy, że naród pozostawiony sam sobie, straciwszy swoich panów, szlachtę i duchowieństwo, sam wywalczać musiał narodowość, w obec silnej misji cywilizacyjnej kilkowiekowego germanizmu stawiać opór,—oświata u nich znacznie się podniosła a dobrobyt materialny przyrósł znakomicie. Naród, co w pocie czoła wywalczył sobie prawa i krwią swoją to stwierdził, ma warunki bytu i egzystencji w przyszłości.

„Podoba mi się tutaj córka pewnego gospodarza.— O jej zaletach nie będę cię powiadamiał, bo ich będzie wiele dla człowieka w mojem położeniu zostającego. Otrzymała ona wychowanie wyższe, aniżeli wszystkie tutejsze dziewczęta i łączy w sobie zalety kobiety wykształconej

z wrodzoną prostotą Szlązaczki—i to właśnie najwięcej mnie się w nią podoba. Przesiaduję w gronie tej rodziny codziennie. Tego, że ona mi się podoba, dotąd nie okazałem ani przed nią, ani przed jej rodzicami. Ojciec mój nastaje, abym powrócił i czekają na mnie w domu z niecierpliwością, lękając się bym nie schłopiał zupełnie i wyrodził się od nich. Wiem jednak sam, że tu żyję życiem przyspieszonym, pulsującym i że tak długo pozostać nie może, a projekta moje na przyszłość musiałyby się rozbić o niemożebność spełnienia ich—to mnie przestrasza i doprowadza często do rozpacz. Ojciec mój nigdy by nie zezwolił na taki mezalians. On, jak wiesz, człowiek zacny, lecz nie dzisiejszy, a mając swoje zasady z przekonania, któremi się rządzi, nie odstąpi od nich za nic w świecie. Wyobrazisz sobie drogi Kazimierz moją położeń bez poparcia z nikąd. Nakazują przyjechać, a tu nie mogę. Ty szczęśliwszy ode mnie, niezależny od nikogo, jeden, a praca sumienna wystarcza na twoje potrzeby. Dochodzę często do tego, że zaczynam złorzeczyć przeciw wszystkiemu co przedtem czciłem i kochałem. Koresponduję z siostrą; ona jeszcze młoda, dziecinna, podzielić się z nią moimi myślami nie mogę. Pisz do mnie, niech choć od ciebie otrzymuję słowa przyjaźni i współczucia.

Twój Ludwik.”

Po napisaniu listu Ludwik z dnia na dzień czekał odpowiedzi od Kazimierza, czuł potrzebę podzielenia się z kimkolwiek ze swym uczuciem, a tego mu brakowało. Chodził codziennie do domu Macury przepędzając tam najprzyjemniejsze chwile i zapominając o swoich biedach. Tej rodzinie także często to-

warzyszyl w dnie świąteczne na rozmaite spacer y i do kościoła.

Razu pewnego, w niedzielę, wszyscy byli w kościele ewangelickim w pobliżkiej wsi, w której był jarmark, a ruch zgromadzonego ludu, przyodżanego w odświętnę szaty, nadawał bardzo uroczysty widok całemu zgromadzeniu. W kościele, w ławkach i na galeryach siedziało dużo ludu zgromadzonego, by posłuchać kazania swego sławnego kaznodziei. Cisza i spokój panowały w kościele, a kapłan donośnym głosem wygłaszał naukę całkiem nieznaną w naszych kościołach wiejskich katolickich. Mówił językiem poprawnym, wyrażen używał zrozumiałych, treść kazania była prostą i przekonywającą, zrozumieć ją mógł każdy ze słuchających; nie trzeba było być katolikiem, lub ewangelikiem, a prosto—człowiekiem, ażeby pojąć te słowa tchnące prawdą, rozumne, uwzględniające potrzeby i dobro ludu mające na celu. Ludwik siedząc w ławce na jednej z galeryi, obok rodziny Macury, słyszał mowę wypowiedżianą czystą polszczyzną przez kapłana, który jak prorok mówił do ludu z namaszczeniem, o starożytności jego, że należy do jednej wielkiej słowiańskiej rodziny, od której Niemcy usiłowali go oderwać przez tyle wieków,—a więc zachęcał swoich parafian do zgody, miłości i jedności, bo te tylko są w stanie zapewnić im lepszą przyszłość, i tęp zakończył kazanie. Postawa, głos i wymowa nadawały mówcy tyle potęgi i siły, że słowa krasomówcze wypowiedane przez niego, porywały słuchaczów, a płacz i głosy uwielbienia przerywały mowę. Pocziwi Szlązacy w ten dzień zebrali się i ze wsi sąsiednich, ażeby mieć możność usłyszenia słów wypowiedżianych czystą polszczyzną i w dobranej formie.

Po nabożeństwie proboszcz przy ołtarzu nauczał dzieci, starając się zastosować do ich pojęcia. Wkrótce zaczęli ludzie wychodzić pomału z kościoła, każdy mając cichą łzę w oku i podniesiony na duchu. Na około kościoła parafianie, pogrupowani w kółka, prowadzili ożywioną rozmowę, to zachwycając się nad kazaniem proboszcza, to mówiąc o polityce lub o urodzajach. Rodzina Macury a z nią i Ludwik podążyli do domu.

— A co?—zapytał stary Ludwika—a co, a jakie kazanie—prawdziwie to głos Boga!

— Śliczne—odparł Ludwik—ale powiedzcież mnie, panie Macura, zkąd macie takich kaznodziei dzielnych i znających tak dobrze język polski?

— Mamy niewielu takich, to prawda; ale mamy jeszcze jednego kapłana ewangelickiego z Warszawy, ten u nas jest pierwszą powagą, a ten którego kazania słyszeliście przed chwilą, to nasz Szlązak, człowiek tak-że wielkich zasług, nasz dobrodziej, choć młody jeszcze; trzeba wam wiedzieć, że dziś u nas młodzi księża są narodowcami, a starzy—szwabi.—Kiedy te ostatnie słowa domawiał Macura, zaczęli podchodzić po drodze i przyłączać się do ich towarzystwa rozmaici gospodarze: witali się i wyciągali ku sobie przyjacielskie dłonie. Macura poznał niektórych z Ludwikiem: rozpytywano go o urodzajach, gospodarce i o zwyczajach na Litwie.

Tak rozprawiając towarzystwo podzieliło się na części; Macura z kilkoma gospodarzami pozostali w tyle żywą prowadząc rozmowę, żona jego z niektórymi starszymi wiekiem kobietami poszły naprzód, a przed nimi los tak zrzucił, że postawił obok siebie idących Ludwika z Maryą. Piękna, urodziwa postawa Ludwika,

z ładnym sutym blond wąsem i włosami nie powstydziała się stać w parze z piękną dziewczyną. Z początku oboje wysilali się zacząć rozmowę, ale ona jakoś nie bardzo kleiła się pomiędzy nimi. Ludwik kaszłał, zająkiwał się, a ona spuszczała na dół oczki, rumieniąc się ciągle. Nareszcie Ludwik uzbrowszy się w odwagę, powiedział frazes jakiego zwykle używają w towarzystwach.

— Co pani lepiej woli, wieś, lub miasto?

— Miasta nie lubię, chociaż większą część mojego życia przepędziłam w mieście Cieszynie, gdzie musiałam zostawać pomimo woli, dla nauki—odpowiedziała mu Marya.—Wież zaś przeciwnie kocham całą duszą, ona mnie do siebie przykuwa; lubię i zajęcia wiejskie około gospodarki i w nich znajduję największą rozrywkę, lecz przytém potrzebuję mieć i jakiś umysłowy pokarm.

— Słyszałem od wielu, że pani jesteś wielką gospodynią?

— A to od kogo?

— Od pana Borówki.

— Pan Borówka zbyt łaskaw; mnie się zdaje, że u nas na Szlázku każda kobieta pracuje, zabaw nie zna, stroić się nie umie;—ja może mniej jeszcze od innych pracuję, bo wiele czasu odejmuje czytanie i szycie, a przytém przez zimę uczę niektóre dzieci naszych biednych sąsiadów przygotowując je na lekcye do szkółki.

— I pani czas wystarcza na wszystko? Jakiemu rodzajowi literatury pani się oddaje?

— W obecnym czasie przeważnie poezyi polskiej. Na pensyonacie zapomniałam wszystko prawie po polsku, lecz będąc w ostatniej klasie, miałam jedną dobrą znajomą panią, żonę kupca w Cieszynie, rodem z Wielko-

polski, która zaczęła mnie obznajmiać z literaturą polską i jej arcydziełami, gdyż do tego czasu delektowałam się tylko czytając Goethego, Szyllera, Heinego i byłam tego przekonania, jak i moje towarzyszki, że polska literatura nawet nie istnieje. Pani ta dobra odkryła dla mnie swoją niewielką bibliotekę, w której znalazłam wszystkich cenniejszych poetów polskich i pisarzy. Z początku było to trudnem dla mnie, nie znając zupełnie prawie języka książkowego, zrozumieć te bogactwa, które są w nim ukryte, ale powoli zaczęłam się do tego przyuczać i w końcu zachęciłam i koleżanki do czytania owoców zakazanych, jak wówczas nazywałyśmy polskie książki. Czytałam wtenczas po raz pierwszy rzewne poezye przejęte prawdą Mickiewicza, płakałam nad losem Maryi Malczewskiego, tęskniłam za waszą ubogą, lecz malowniczą naturą pocziwiej Litwy, żałowałam z Syrokomlą i Szewczenką uciemiężonych włościan, co przypominało nieraz los nasz własny. Chwytałam wszystkie słowa spisane, płakałam nad niemi ucząc się ich na pamięć, i niejedną noc spędziłam w tęsknocie i w nieznanem dotąd rozrzewnieniu. Mickiewicz stał się moim ideałem i wyrugował z serca przeszłych wieszczów niemieckich, uważałam go jako świętego, namaszczonego przez Boga proroka, widziałam twarz jego natchnioną we śnie w obrazach, słowem byłam prawie pomieszaną; lecz nikt mnie wówczas w Cieszyźnie nie pojął, przeciwnie, byłam nawet prześladowaną przez zwierzchność niemieckiego pensjonatu. Kiedy wróciłam do domu to i tu nie miałam się z kim podzielić z marzeniami lat młodych: nie rozumiano mnie i zamieram przykuta do prozaicznych obowiązków życia!

— Pani—zawołał Ludwik w uniesieniu — jesteś młoda, znajdziesz jeszcze ludzi co cię pojmą i oceniają!

— Nikt mnie tu nie pojmie, niestety!—pędzę życie tułacza, odludka, z ojcem jednym choć w części mogę się porozumieć, on mnie przynajmniej stara się wysłuchać, bo reszta naszej rodziny, choć to są dobrzy nawet ludziska, jednakże nie mają żadnych zachceń i dążeń, oprócz tych, jakie im dać mogą zarobek lub wygodę w życiu. Kocham ludzi i świat i chciałabym ich uszczęśliwić!

Zkąd w tej prostej dziewczynie tyle poezyi, tyle potrzeb ducha, pomyślał sobie Ludwik, pierwszy raz posłyszawszy wyrazy wychodzące z ust jej i wymawiane z takim zapalem. Chciał jej coś powiedzieć może o swoim współczuciu, ale zatrzymał się i zamyślił... i tak podążali prędko drogą poważni i zamyśleni do Macurów na obiad, wyprzedzając resztę towarzystwa.

III.

Dzień 26 Lipca był uroczystością familijną w rodzinie Sędziego od lat sześćdziesięciu pięciu, bo był dniem św. Anny, patronki Szambelanowej, która rozległe posiadając stosunki i liczne parantele, zmuszoną była corocznie, często pomimo nawet chęci, obchodzić ten dzień jeżeli nie hucznie i z tańcami, to przynajmniej przyjmując kilkadziesiąt osób, wśród wesołego gwaru biesiady, gier w karty, które w owym czasie były podstawą wszystkich zabaw w sąsiedztwie, i nakoniec lic-

nych plotek, które przyjeżdżali powierzać sobie wzajemnie zacni panowie sąsiedzi, panie i panienki.

W tym roku w owym dniu zjechało się niemało osób: nie tylko sąsiedzi litwini i szlachta okoliczna z Królestwa Polskiego, przez Niemen tylko ztąd odległego, ale nawet przybyło parę osób z Wołynia i jedna jedyna z Ukrainy, chcąc godnie reprezentować żyzną Ukrainę i jej obywateli.

Wejdźmy do dworu Wierzbiańskiego i zobaczmy co się w nim dzieje. Wieczorem, gdy zabawa była u szczytu świetności, a pokoje napelnione gośćmi, Sędzia z matką pod rękę chodzili po wszystkich pokojach wyszukując gości, w obawie, aby któremu z nich nie uchybiono w uprzejmości, i prosili wszystkich zarówno, aby jedli, pili, mówili, śmieli się, lub grali w karty, kawalerów zaś proszono, aby pannom nie pozwalali po kątach siedzieć i drzemać. Tańców w tym roku ani muzyki nie było. Część towarzystwa grupowała się przy grających w karty, ludzie zaś czujący się być uzdolnionymi do wymowy i mogący zabawić innych, do kart nie siedli, ale mówili bez ustanku pobudzając innych do śmiechu, lub rozmyślań. W wielkiej sali reszta gości grupowała się po kilku lub kilkunastu w jedno kółko, z których jedni siedzieli, drudzy stali z uwagą przysłuchując się cyceronom stojącym w środku kółka z podniesionymi rękoma do góry i wygłaszającym rozliczne zasady, zdarzenia lub anegdoty. Każde kółko, względnie do tego, z jakich osób się składało, nosiło na sobie właściwą cechę; tak na przykład były takie, w których najwięcej było dam, starców, lub młodzieży, w innych znowu byli ludzie rozmaitego wieku i płci.

Przyjechali w tej chwili do Wierzbiańskiego dworu Kazimierz z ks. Janem, i poprawiwszy ubranie w oficynie, pośpieszyli do dworu. Aby nie robić wiele hałasu swoim przybyciem, ks. Jan wszedł pierwszy pocichu, przywitał się z gospodarzem i znikł wśród tłumu gości, witając się z tymi, którzy mu bliżej byli znani; Kazimierz, pozostając w tyle, miał na widoku widzenie się z Elżusią, która dziwnym trafem, lub może przeczuciem wiedziona, jeżeli ono istnieje, gdy przechodziła przez przedpokój śpiesząc do kredensu, zatrzymała się, spostrzegłszy Kazimierza, i podając mu prędko rękę, zawołała:

— A czy to się godzi tak późno?!

— Przepraszam panią, zajęcia moje codzienne stały na przeszkodzie, wcześniej nie mogłem—była odpowiedź Kazimierza.

— Mów pan co nowego w naszej sprawie, jak ona idzie?

— Oprócz zawodów i rozczarowań, nie mogę pani nic nowego powiedzieć; jak każda nowa sprawa i początek jest trudną,—trzeba wytrwałości, wytrwałości i jeszcze raz wytrwałości,—odrzekł Kazimierz z westchnieniem.

— Nie trać więc pan tej wytrwałości, panie Kazimierzu, o której mówisz—odezwała się Elżusia, grożąc mu paluszkami. — Co do mnie, to praca, której się poświęciłam, ani mnie zastrasza, ani rozczarowuje; czém więcej temu się oddaję, tém silniejszą mam wiarę, że potrafimy nasz lud z czasem przez oświatę pobudzić do życia. Dziś otrzymałam z Warszawy elementarze ludowe, o których pan wspominałeś, i rozdałam je pomiędzy dzieci wioskowe, no, ale o tém potem. Nie mogę dłużej pozostawać z panem bo to zwróciłoby na mnie uwa-

gę. Jeżeli Ludwik przyjedzie, wtenczas będziemy mieli jeszcze jednego popiecznika w sprawie naszej. Za parę godzin bądźcie z ks. Janem w gabinecie ojca mego, a tam pomówimy o wszystkim—i wymawiając te wyrazy zakręciła się nagle i wbiegła do kredensu, a Kazimierz prędko wszedł do sali.—Nie będąc uważany za wielkiego dygnitarza, nie ściągnął on swoim przybyciem niczyjej uwagi, tylko ks. Jan spojrzał na niego z drugiego końca sali, a spotkawszy idącą panią Szambelanową, podszedł, pocałował ją w rękę, a ona mu wymawiała, że tak późno przyjechał, i prosiła, aby bawił panny grzecznie. Sędzia zajęty był wśród liczного grona gości w innych pokojach. Kazimierz więc wołał nie być spostrzeżonym przez niego, aby znowu nie ściągnąć na siebie wymówek że tak późno przybył, podszedł prosto do ks. Jana, który przysłuchiwał się rozmowom i wesołym śmiechom, lecz w tej chwili spostrzegł niedaleko stojącego jegomościa tuszy porządnej i nieznaną sobie twarz. Był to pan Laurenty Świstalski, obywatel z Ukrainy, od dni paru bawiący w Wierzbianach, który przejazdem z zagranicy przyjechał odwiedzić swoją daleką krewną p. Szambelanową. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu, niegdyś bardzo przystojny, dziś zaś w 60-tym roku życia ślady tego tylko pozostały, a wy czernione włosy i broda, jak również wstawione śnieżnej białości zęby, jaskrawo odbijały się przy pomarszczonej twarzy i ukryć nie mogły wieku. Ubrany był bardzo starannie, głowę trzymał nieco podniesioną do góry a głos jego nosowy domagał się pewnego odznaczenia i przypominał tego wzbogaconego dziedzica i arystokratę ukraińskiego—dawnego ekonoma, który mawiał, że „pchły, muchy i drobna szlachta są najniepotrzeb-

niejszemi na świecie.” P. Laurenty szczycił się, że ś. p. ojciec jego dwa razy miał szczęście mówić i podać rękę hr. B..., a ś. p. matka bywała co zimę w Warszawie i siedziała w łożu pierwszego rzędu, a ks. L... pocałował ją dwa razy w rękę; ale mało jeszcze tego, ciotka nieboszczki matki była rezydentką u jednej wielkiej pani.—Pan Laurenty nie otrzymał żadnego wykształcenia oprócz powierzchownej znajomości francuzkiego języka, z którym w rozmowie zwykle wyjeżdżał, wygłaszając nieraz fałszywe makaronizmy. Niezła wioseczka i dawniej konstrukcyi ogniowa fabryczka cukrowa na Ukrainie dawała p. Laurentemu dobre zyski, z których mógł pędzić wygodne kawalerskie życie starego sybaryty, jeździć co zimę na kontrakty do Kijowa, mieszkać w hotelu Europejskim i szczycić się podaniem ręki hr. P... W końcu życia ten zacny obywatel postanowił zwiedzić stolicę świata i mody, zkąd wracał obecnie oczarowany.

P. Kazimierz zapytywał ks. Jana zcicha wskazując na p. Laurentego:

— Co to za jeden, nie znasz go?

— To jakiś z Ukrainy, pierwszy raz go widzę, wiele mówi o swoich koligacyach i pieniądzach—szeptał ks. Jan.

— Pan zna Paryż? — zapytywała w tej chwili jedna z dam otaczających p. Laurentego.

— Kto może go nie znać, o moje panie! Jednej tylko rzeczy straconej w życiu żałuję i mam to sobie do wyrzucenia, że dopiero teraz po raz pierwszy poznałem Paryż, odparł p. Laurenty, poprawiając wstawione zęby i przygotowując się do długiej perory.—Według mnie, kto nie zna Paryża, nic nie zna. Bo też nie możecie panie sobie wyobrazić, co to za miasto ten Paryż. Ach Paryż! Paryż! nie ma na świecie nad Paryż!... Przyjechawszy na dwo-

rzec Strasburgski koleją, wyszedłem z wagonu z jedną damą, która mnie nie spuszczała z oka przez całą drogę; ja patrząc na nią paliłem cygaro (cygaro doskonałe hamburgskie), a ona nadzwyczaj skromnie spoglądała na mnie, a jednak kiedy niekiedy mrugała oczkiem błękitnym, zauważałem to dobrze; ale co to za oczko figlarne... ma foi! c'est quelque chose de magnifique, ładne stworzenie, dalibóg powiadam państwu, to cud piękności, jak żyję nic piękniejszego nad nią nie widziałem. Jadąc kilka stacyi koleją, milczeliśmy oboje, nareszcie ja podchodzę do niej i mówię: Madamel je ne me trompe pas vous allez à Paris, a ona mnie na to: Monsier, votre accent slave me prouvo que vous êtes polonais, i tak spojrziała na mnie, że choć nam ludziom lat pod czterdziestu trudniej się wzruszyć, jednakże tak trafiła w słabą moją stronę, że powiedziałem: Tak, pani, jestem obywatelem z Ukrainy, posiadam tam włości i dla użycia rozkoszy życiowej przybyłem do tego nowożytnego Babilonu. Ona na mnie tak spojrziała, myślałem, że mnie zje oczami. Konduktor tymczasem objawił, że już jesteśmy w Paryżu, i zadzwoniono dzyn... dzyn... dzyn... Zdawało się, że oszaleję z radości, gdy mi podała jeszcze swą śliczną rączkę; przycisnąłem ją do ust (to mówiąc pan Laurenty ucałował swoją rękę) a ona spuściła oczki, nieśmiało na mnie spoglądając,—zakochała się we mnie szalenie, pomyślałem sobie. Pytałem gdzie mieszka, ofiarując jej moje usługi. Mieszkała na boulevard Montmartre, nie pamiętam numeru. A jak mieszkała! Co za wschody wspaniałe, jakie pokoje, a... a... co tam za przepych! to tylko można widzieć w Paryżu! Ach, Paryż! co to za miasto ten Paryż, co tam za mieszkania, za meble, a jakie kobiety!—i w tej chwili pan Laurenty poprawiał

wstawione zęby, co było u niego téż znakiem nieutajonego zachwyty. Co u tych paryżanek za nóżki, a jaka kibić, toalety, kwiaty, bućki i buzie! a co za suknie, o jakich panie nie macie pojęcia, c'est quelque chose d'admirable, jak żyję nic podobnego nie widziałem. Byłem wtedy ubrany w paletot ciemno-niebieskiego koloru, a jaka przedziwna jego robota! Ach, Paryż! nie ma na świecie nad Paryż! Wolałbym umrzeć tam w rynsztoku, niż u nas w pałacu—to zachwycający ten Paryż, moje panie!

Pan Kazimierz w tej chwili szepnął do ks. Jana: Oto plecie!

— Rad, że ma słuchaczy. Chodźmy ztąd—odpowiedział mu ks. Jan.

— Kontynuując swoje opowiadania p. Laurenty zaczynał pomału klonić do snu swoich słuchaczy, którzy powoli poczynali od niego uciekać, bo w drugim końcu sali toczyła się rozmowa pomiędzy dwoma majorami. Oba służyli w wojsku i byli z sobą niejako koledzy; jeden służył przed laty w dragonach, drugi zaś w ułanach, dziś już niemłodzi, byli obaj gospodarze. Jeden z nich słynął z krzyku, którym chciał każdego mówiącego z nim zagłuszyć, i zwał się u sąsiadów majorem-krzykaczem, przez co rozmowa z nim stawała się często uciążliwą, a nawet niemożliwą; drugi znów z nich był pedantem w najwyższym stopniu posuniętym aż do ostateczności, zajmował się dnie całe karmieniem gołębi, pilnowaniem kwiatów, czyszczeniem guzików od munduru i robieniem wódek i likierów; listy prywatne wpisywał zwykle do ksiąg, a numerować i przepisywać było świętym obowiązkiem żony, przez co był przezwany majorem-ciemną. W tej chwili pomiędzy majorami toczył się spór zawzięty, który zwrócił na siebie uwagę obecnych.

— Czegoto major tak się nachmurzył? — mówił ciemiega.

— Bo to niemożliwe i nigdy być nie może — odparł krzykacz.

— Dlaczego?

— Ach! mój Boże, jakto dlaczego?

— Dlatego, że w tym samym pułku, o którym wspominasz, sam służyłem i nosiłem ten mundur: mankiety i kołnierz były czerwone.

— Czer.... wo.... o.... ne! — zakrzyczał krzykacz na całe gardło, jakto czerwone? gdzie czerwone? co czerwone? Co pan takie absurda prawisz.

— Daję panu słowo honoru. Ja służyłem w tym pułku krótko, bo byłem do niego oprzydzielony (sic!) a potem przykomendarowany (sic!) do innego, gdzie służył mój wujaszek baron Brük, na dowód czego mogę pokazać państwu jego mankiety i kołnierz od munduru, które są schowane u mojej żony.

— Ale nie czerwone, a sine.

— Czerwone, daję panu słowo.

— Ja idyotą nie jestem, abym nie pamiętał munduru mego wujaszka!

— Za kogo mnie pan uważasz: przypuszczając, że mogłem nie pamiętać tego munduru jaki nosiłem...

— Pan pułkownik mój teść to rozsądzi, trzeba go poprosić.

— Co mnie pułkownik, na co mnie pułkownik, ja sam mam rozum! — zakrzyczał ciemiega.

— I ja mam rozum! — krzyczał krzykacz.

I słowo za słowem, ząb za ząb, wszczęła się ogromna sprzeczka pomiędzy dwoma majorami jazdy pancernej, i gdyby przeczuciem wiedzione, dwie panie ma-

gorowe nie nadbiegły w tej chwili rozbroić swoich mężów, inaczej niewiedomo co by z tego mogło wyniknąć.

W drugim końcu sali siedziało parę pań; jedna z nich, pani Biegunkowa, zwierzała się swojej pupilce, pannie już niemłodej, nieładnej, ale zato bardzo rozumnej, jak wówczas mówiono, a przytém bardzo bogatej. — Bo to widzisz, moja Franiu, mówiła zcicha do niej pani Biegunkowa, podnosząc chustkę do nabielonej twarzy, a oczy wlepiając w jakiś punkt sufitu — pan Sędzia chce złowić tego magnata z Ukrainy co tam tyle mówi, dla swojej córunki: piękna partya, nie ma co. Powiadają, że trzyma kilkunastu kozaków na swoim dworze, ma muzykę nadworną, stadninę sławną, a jak sam opowiadał, sprowadził dla jakiejś tam aktorki w czasie kontraktów Kijowskich broszkę z Paryża, za którą zapłacił około trzech tysięcy rubli. Noblesse oblige, moja droga, piękna to partya!

— A cóż, gdyby tak jego dla ciebie naprzykład przywabić. Cóżbyś na to powiedziała?

— Trochę za stary — odparła Frania.

— Ależ, ma chère, czyż ci tylko fircyki mogą się podobać? Patrz jak na nas z ukosa pogląda p. Kazimierz, ręczę, że ma jakąś szelmowską myśl o nas i szatańskie plany, bo z oczów mu patrzy złośliwie. Boże! co to za zepsuty człowiek, on na nas wszystkich podusza chłopów i emancypuje. Jeżeliby więcej było takich jak on, niewiedomo co by się z nami stało. Dziwna rzecz jednakże, że takiego czerwonego — pan Sędzia przyjmuje do domu, a on jeszcze za ten honor dobrze się odplaca — zawraca głowę Elżuni, wmawia jej jakieś brednie, że wszyscy ludzie są jednakowo stworzeni, że chłopci powinni lepiej mieszkać i żyć jak dotąd, chce ich jeszcze uczyć,

a nie wie, że to prowadzi tylko tych chamów do... — tutaj się zakaszlała p. Biegunkowa i nagle zawołała:—do rzeczy... do rewolucyi francuzkiéj! —i ton rozmowy zwracając na inny przedmiot dodała: Czy uważasz machère jak hrabina chce wciągnąć w swoje sidła młodego Wołyniaka, ale ona tego nie doczeka! ja jéj przeszkodzę i wybawię biednego chłopca z jéj szponów!—To mówiąc przysiadła do hrabiny przysłuchując się rozmowie z p. Szamotulskim z Wołynia. Rozmowa toczyła się o koligacjach, bo pani hrabina знаła wiele osób na Wołyniu, o ruinach pałaców sterczących dumnie, o herbach i starożytnościach rodowych. Nareszcie p. Szamotulski mówił jéj o swoich poezjach „Pod południowem włoskiem niebem” i o „Westchnieniach arystokraty w pałacu” i tak zając potrafił hrabinę Skorupską, że miała oczy łez pełne, jak to zauważała p. Biegunkowa, którój bacznej uwagi nic ujść nie mogło, i zakomunikowała wiadomość tę pod sekretem swoim przyjaciółkom.

— Pani hrabina czegoś dziś bardzo sentymentalna zagadnęła żywo p. Biegunkowa.

— Głowa mnie boli, od niejakiegoś czasu przez dzień co wieczór doświadczam migreny, odparła hrabina.

— A szczególnie silne wrażenia i wstrząśnienia nerwowe, jak na przykład dzisiejsze, muszą wpływać na te paroksyzmy, podobnie jak to już zauważałam w niedzielę na mszy, również jak na poobiedniem nabożeństwie do Serca Jezusowego, a dziś się przekonałam, że oprócz głosu ks. Jana są jeszcze inne motywy, które wpływają na rozbolełe nerwy pani hrabiny i...

— Pani jesteś kobietą rzadkiego dowcipu; słowa i baczność z jaką pani śledzisz postęпки i kroki wszystkich, a szczególnie moje, robią panią godną stanowiska

pierwszego męża stanu—zawołała przekrzywając usta hrabina z zadowoleniem, że może choć czémkolwiek podziękować swojej inkwizytorce.

P. Szamotulski, jako zdolny lew salonowy, tak umiał zręcznie pogodzić obie zwaśnione strony i zając je swoją zajmującą rozmową, lub téż osobą do tego stopnia, że panie te na jakiś czas zapomniały o swoich urazach i z niewypowiedzianą rozkoszą słuchały z ust jego opowiadania o rozmaitych wypadkach, które miały miejsce ostatnimi czasy w kołach wyższego towarzystwa. Opowiadał o wartości toalet pań znajdujących się na tym wieczorze, a ztąd one dowiedziały się o jego wysoce pojętym arystokratycznym smaku i wielce się ucieszyły; potem mówił wiele o psach, koniach, w czém siebie uważał za wielkiego znawcę, i jak w Warszawie tego roku wyścigał się z księciem L... i otrzymał nagrodę, — był ubrany w kostium składający się z barw swojego herbu i nakoniec nie zapomniał poruszyć kwestyi pałacéj w owym czasie społeczeństwo, o którój mówić było modnie — o uwłaszczeniu włościan.

— Chodzą pogłoski mówił p. Szamotulski, — że chamom mają ziemię darować, ale to niemożliwe, to kłamstwo, chyba nastąpi skończenie światła bo chami wtenczas wezmą się do nożów i zawładną wszystkiem co Bóg nam przeznaczył: czém więcéj chama biją, tém więcéj z niego korzyści da się wyciągnąć,—tak mawiał s. p. ojciec mój, bo to bydlę do nas nigdy ani przywiązania, ani wdzięczności nie czuło. Biedny szlachcic, on za wszystkich musi myśleć, pokutować i ciężko pracować, a oprócz kłopotów nic nie otrzymuje w udziale. Niechby to oni popróbowali być na naszém miejscu? Każdego z chamów odziać i nakarmić! Ja na przykład

wybudowałem na wsi pałac: kilka lat pracy i zabiegów on mnie kosztował. Mój Boże! ileż tam myśli w tych ceglach zaginęło, bo mój gust arystokratyczny prawie nie mógł się zadowolnić, a dążył ciągle do doskonałości piękna. Jakież tam meble! kwiaty! oranżerye!

Obie panie spoglądały na siebie ruszając głowami. Tymczasem nasz mówca zapalając się coraz więcej, mówił:—Tak, tak, pańszczyzna to grunt; podstawą ona jest całej budowy organizmu społecznego, a wolność zdemoralizuje tylko lud, który potrzebuje naszej ojcowskiej opieki. Ś. p. ojciec mój bił chłopów, jeżeli na to zasługiwali, a czasami o śmierć ich nawet przyprowadził; jednego, pamiętam sam, że prawie o mało co nie zabił, ale zato i po doktora posłał i kazał leczyć: miał dobre serce i zasady zacne ten człowiek. Cóż będziemy robić, jak przywileje obywatelskie utracimy, będzie to nie lada ciosem dla naszej kieszeni szlacheckiej.

P. Kazimierz słysząc tę rozmowę drżał z gniewu i postanowił zaprzeczyć mówiącemu, w którego wpatrywał się czas jakiś i dawał znaki zaprzeczające, a nareszcie mruknął coś sobie, kiwnął głową, machnął ręką i odszedł. Wszyscy tam obecni zwrócili uwagę na Kazimierza, z którego twarzy wyczytać mogli silne oburzenie. W tej chwili właśnie przechodząca przez pokój Elżunia, dała znak Kazimierzowi, aby pośpieszył za nią, ten pociągnął ks. Jana za rękę nic mu nie mówiąc i poprowadził do gabinetu. Gabinet Sędziego był oświetlony przyćmionym światłem wychodzącym z pod zielonego kloszu lampy stojącej na stole, co nadawało tajemniczą postać całemu pokojowi.

— Słowni panowie jesteście—zawołała Elżunia do wchodzących Kazimierza i ks. Jana.—No, jakże czas

przepędzacie?—Nie gracie w karty, panien nie bawicie; ja sama zajęta domem i przyjęciem tylu gości, nie mam czasu zwrócić się do każdego z osobna, spełniając powinność gościnności.—No, cóż, czy wiele panowie macie uczniów w nowej szkółce? Czy z czytelni biorą książki? A o założeniu kasy oszczędności co słyhać?... Czy macie pozwolenie na założenie jéj i czy są odpowiednie fundusze?

— Trudno z tém wszystkiem załatwić się—odpowiedział ks. Jan,—bo oprócz najlepszych chęci trzeba i odpowiednich funduszy. Kiedy zaproponowaliśmy kilku panom zamożniejszym, aby zechcieli przyjąć udział w téj sprawie, to wymawiali się tém, że teraz ciężkie czasy, że brak pieniędzy; pomimo tego zagranicą corocznie i po miastach tracą tysiące żyjąc wystawnie lub grając w karty, a kilka rubli wydać w pewnym przeciągu czasu dla wsparcia i oświecenia swojej uboższej braci, uważają za zbyt ciężkie, szkodliwe, lub wymawiają się brakiem środków; a hrabia wyraźnie mi powiedział, że my ucząc chłopów i oświecając uboższą szlachtę, zachwileliśmy mocno byt ludzi wyższego świata.—Nauka—powiada—podnosi ludzi w pychę: wtedy stają się oni nie tylko zuchwałymi względem swoich panów i dobroczyńców, ale szemrzą przeciw Bogu i wierze Jego świętej, i dziwi go, że osoba duchowna takie niedorzeczności propaguje;—dać ludowi oświatę to znaczy go unieszczęśliwić, a wtedy do komuny i nożów niezbyt daleko.—Oto jest dosłowna odezwa hrabiego, od której pomimo przekonywań, za nic w świecie nie chciał odstąpić. Przekładając mu mówiłem o mającym być prędko uwłaszczeniu włościan i o położeniu gdy zastanie nas do niéj nieprzygotowanymi; dowodziłem mu, że ten rozbrat, który się

może z tego wyrodzić pomiędzy szlachtą a ludem, nie tak prędko znowu nas połączy. Włościanin będzie patrzeć na każdego pana jak na wroga-pasożyta, który tyle wieków wyzyskiwał jego pracę daremnie, a nienawiść ztąd powzięta, przejdzie z pokolenia w pokolenie. I tak niechęć z mlekiem matki wyssana, choćby z czasem ustalała, to przejdzie tylko w zobojętnienie pomiędzy dwoma stanami, bo ani interesu, ani węzła wspólnego nie będzie, który je połączy w nowym tak ważnym zwrocie podwalin państwowych, a wtenczas stan szlachecki zginie, zatrze się wśród innych i wytykać go będą wrogowie palcami, że zgnił i nie dojrzał do współczesnych reform i że nie miał sił żywotnych do żadnych zmian postępowych, a tak ustąpi miejsca innym przed niezbitymi faktami historii a jego miejsce sterownika narodu obejmie nowy żywioł powstały z pośród ludu, mający więcej za sobą siły moralnej i umysłowej dla podźwignięcia go z ciemnoty i ubóstwa. Traciła nasza szlachta miliony i dzisiaj traci, ale tylko na szkodę narodu, lecz nie dla jego pożytku, i dlatego ona, jako kasta uprzywilejowana, ginie, choć ze szkodą dawniej tradycji i narodowości, gdyż odegrała niemałą rolę w dziejach Rzeczypospolitej, ale cóż robić, to nieunikniona konieczność, smutny fakt, nieubłagana logika czasu.

I gdy tych słów domawiał ks. Jan, wszyscy troje zamilkli, zamyśleli się, bo nikt nie śmiał przerywać tej uroczystej ciszy. Zdaleka dolatywał ich uszu szum i gwar hucznnej biesiady; biesiadnicy nie spodziewali się tego, że się znajdują w przededniu zmian ustosunkowań społecznych, a następnie smutnych wypadków, które wprędce miały nastąpić, i że o kilkadziesiąt kroków pod

tym samym dachem w tej chwili panowała cisza po proroczym przemówieniu naszego Skargi ks. Jana, którego słowa, gdyby były wypowiedziane publicznie w obec całego towarzystwa, na jakie on gromy miotał, nie wpłynęłoby to ani na zmniejszenie wesołości, lub jakichbądź rozmyślań, a tylko mogły zapewnić mówcy bez funduszu, znaczenia i z imieniem szaraczkowem, choć pocziwem, nazwę waryata.

Cisza w tej chwili panująca w gabinecie, została przerwana szelestem sukni p. Biegunkowej, której bacznej uwagi ująć nie mogło zniknięcie najprzód z sali Elżuni, a później p. Kazimierza i ks. Jana; postanowiła więc śledzić co robią, i nie będąc spostrzeżoną przez rozmawiających, stała długo pod drzwiami gabinetu podsłuchując ich rozmowy. Nakoniec po długim milczeniu usłyszała głos Kazimierza:

— Panowie — mówił — najlepszym dowodem potwierdzenia słów ks. Jana, jest uroczystość dzisiejsza, gdzie tyle osób się zebrało z rozmaitych stron kraju, i pomimo tak ważnego czasu jaki przeżywamy, który powinien by nas skupić w jedno do wspólnej pracy, a tu, patrzcie, jaka pstrokaczna zdań, jaka blaga wszędzie. Czyż nie jest to dowodem naszego upadku? O! powinniśmy pracować ciężko, ażeby pracą okupić sobie lepszą przyszłość.

Gdy tych wyrazów domawiał Kazimierz, wszyscy trzech podali sobie ręce łyzy mając w oczach, a Elżunia nawet na dobre już płakała. Gdy spostrzegła to pani Biegunkowa, podpatrująca przez dziurkę od klucza we drzwiach, nie wiedziała co ma począć, czy biedz oznajmić o tém swoim przyjaciółkom i kumom, lub pozostać jeszcze dłużej na straży, aby nie stracić co z ich rozmowy, aż wtém znowu usłyszała głos Elżuni:

— Już czasu nie mamy, bo przyzwoitość niestety, dla której jestem stworzoną, każe mieć się na baczności, aby nie ulegnąć potwarzom tak często rzucanym niesłusznie, bo już na pewno nie jedna z pań zauważyła że pozostaje tutaj z panami.

— Obludnica! jak Pana Jezusa kocham—rzekła do siebie pani Biegunkowa stojąc pode drzwiami,—ja ją nauczę, jak to młodych ludzi bałamucić, no proszę, przez tę paskudnicę, ile to panien i nas młodych wdówek próżnuje nie wychodząc zamaż, i na księdza wyciągnęła swoje pazurki panięńskie niewinne. O! skończenie świata prędkie.

— A więc jutro o szóstej godzinie wieczorem pod dębem na drodze spotkamy się?—ozwał się z gabinetu głos Kazimierza.

— Nie, tam to za blisko domu, nie można, lepiej w inném gdzieś miejscu—odpowiedział ksiądz.

— Niedaleko od mojej strzechy—zaczął Kazimierz—jest śliczny gaik brzoźowy, powiadają nawet, że w nim przedwieczni litwini palili ogień poświęcony dla któregoś tam ze swoich bogiń. Spotkać się tam najlepiej.

— A więc doskonała myśl—zawołała z radością Elżunia,—ja tam jeszcze nigdy nie byłam; powiadają, że to ma być uroczne miejsce, poznam je zarazem, przecież uwielbiam wszystko co starożytne lub poetyczne.

— Dobrze, zawołali wszyscy: o szóstej wieczorem w gaiku Mildy.—To powiedziawszy, zaczęli się rozchodzić; pierwsza wyszła z gabinetu Elżunia a za nią wszyscy. Pani Biegunkowa zaś najprzód uciekła z pode drzwi jak furja wlatując do sali i rzucając na wszystkich swój wzrok złośliwy ciesząc się niewypowiedzianie z tego co odkryła.

— Wiesz, droga Franiu—mówiła do swojej pupilki—co odkryłam, co usłyszałam—i klaskała w dłonie—prawdziwie, że Panu Bogu i Maryi Pannie najprzód muszę podziękować, bo Im jestem obowiązana, że chcieli tak skierować moje kroki... bo przeczuć byłam tam wiedziona...

— Dokąd? dokąd?—przerwała niecierpliwie się Frania, chcąc usłyszeć jak najprędzej o co chodzi.

— To Bóg nas tak strzeże, moja droga, że przeze mnie objawia nam wszystkim niegodziwe ludzkie myśli i postęпки.

Gdy tak mówiła, niedaleko od niej p. Laurenty rozwlekał swoje opowiadania bez przerwy, coraz mniej mając słuchaczy, o psach, koniach, kobietach i innych wypadkach, które go spotykały w przeciągu długiego sześćdziesięcioletniego kawalerskiego żywota.

Wtém dano sygnał do wieczerzy; wszyscy zaczęli śpieszyć się do stołu i zajmować miejsca według wskazań gospodarzy, stosując się do stanu, wieku i zamożności, a Frania była zasmuconą, że z tego powodu nie miała jeszcze czasu dowiedzieć się o co chodziło jej przyjaciółce i o zasługach o jakich mówiła. Towarzystwo całe siadło nareszcie do stołu, jadło, piło, mówiło i śmiało się, a każdy z obecnych musiał się do tego stosować. Ks. Jan i Kazimierz tylko mniej jedli i ciągle z sobą coś zcicha mówili. Elżunia zapraszała gości uprzejmie, choć znać było, że robiła to ze zwyczaju więcej i z konieczności jak z chęci, bo zamyślała się często i zdawała się być smutną. P. Biegunkowa spoglądała wciąż złośliwie na Elżunię, chciała coś jej powiedzieć, ale każdą razą kończyła tém, że wdychała i podnosiła oczy do góry. P. Laurenty siedzący blisko, opo-

wiałał jęć o rozmaitych przygodach, a kiedy pani Biegunkowa sama zaczęła rozmowę o kwestjach społecznych, pan Laurenty z wyrazem człowieka poważnego i pewnego siebie potakiwał jęć głową, a ona znowu przez wdzięczność mu, jak on mówił, patrzyła na niego z uwielbieniem, a na dowód tego wytrzeszczała oczy i otwierała szeroko usta, kiwając głową, że na wszystko się zgadza.

— Bo to, widzi szanowna pani—mówił p. Laurenty poprawiając swe wstawione zęby — c'est quelque chose d'effrayant, co sobie myślą ci pustogłowi fireyki, oni chcą cały świat do góry nogami wywrócić. Co się mnie tyczy, to jeźelibym kiedykolwiek usłyszał jakie brednie pomiędzy niedowarzonemi temi głowami, tobym ich, ma parole d'honneur odesłał do stanu, niech choć assessor ma nas w opiece przynajmniej. Naprzykład teraz ci młokosi wzięli się nauczać naszych chłopów, chcąc aby oni więcej umieli od nas samych, c'est une chose très agréable, nie ma co mówić; a potem abyśmy sami zostali przez nich wywłaszczeni, bo dać im wolność, to znaczy trzeba oddać siebie pod ich pręgierz—miła perspektywa, być w ręku chamów!

Kazimierz słysząc tę całą rozmowę, zniecierpliwwszy się odezwał nakoniec:—Uwłaszczenie włościan według pana, ma pociągnąć za sobą nieszczęście całego społeczeństwa i zagładę nas samych!

— Nie inaczej—odparł gniewnie p. Laurenty i był bardzo nie rad słyszeć zaprzeczenie z ust młokosa, który mu nie mógł odpowiedzieć ani stanowiskiem, ani kiepską, bo przytęm czuł siebie nieomylnym sędzią w tak domostwój kwestyi jak emancypacja włościan, i dodam nawiasem, że za takiego nietylko sam się uważał, ale został uznany przez swych współpowietników na Ukrai-

nie, będąc wybrany prędko potem na komisarza do spraw włościańskich.

— A więc pan nazywasz uwłaszczenie demoralizacją ludu—mówił Kazimierz powoli;—a przecież czy mało już odpokutowaliśmy za ten pogląd? Czy mało nam jeszcze wojen domowych w pośród siebie; owe rzezie, wojny kozackie, odpadnięcie Ukrainy, nie były one ruchami socyalno-demokratycznymi, walką w zasadzie kapitału z pracą i ubóstwem? A co spowodowało upadek Rzeczypospolitej, jeżeli nie równy podział ziemi, bo przy jednostkach władających ogromnemi włościami, demoralizującymi ogół swoim przykładem i nie znoszącymi sprzeciwiania się w czémkolwiek, cały naród był pogrążony w nędzy i ciemnocie. Każdy arystokrata-magnat sprzedawał swe sumienie i przekonania, nie mając ani ojczyzny ani zasad; władał on życiem, lub śmiercią każdego poddanego, mogąc bezkarnie podkopywać fundamenta dawniej złotiej wolności, nadużywać lub burzyć prawa, łamać postanowienia sejmowe; dwór każdego z magnatów był najczęściej zbiegowiskiem swawoli i zepsucia, gdzie zbierała się zgraja pijanych trefnisiów, pieczeniary, *de jure* ludzi wolnych, których głos miał być równym głosom senatorów i wojewodów, ale *de facto* ludzi zależnych, czołgających się w pokojach i całujących w ręce, a nawet i w brzuchy nie jednego z panów, zebrząc ich łaski i względów, bo inaczej często szlachcie nie mógł być zabezpieczonym od niejednego napadu, niełaski, lub zemsty możnowładczej. Czyż nie jest to zależność i poddaństwo? A cóż mówić już o ludzie, który był zostawiony sam sobie bez opieki prawa? Czyż nie bywało takich wypadków, kiedy chłopą wbijano na pal i mordowano? Cały dobytek jego pracy, żona i cór-

ki czyż nie stawały się nieraz własnością swawolnego pana? Czyż nie handlowano ludźmi, ich przekonaniem i sumieniem? A i dziś może niezbyt rzadkie są podobne fakta, zapewne mniej jaskrawe, mniej bijące w oczy, bo o nich zaledwie sąsiedzi wiedzą i to nie wszyscy.

— Ale... ale... co to pan dobrodziej wygadujesz takie kalumnie, to są brednie, to kłamstwo, to... to... pan wiesz, że za paszkwil koza, pan zadrasnąłeś do żywego naszą historię i tradycję świętą, pan podeptałeś nogami naszą narodowość...

— Narodowość nie zginie, ale odrodzi się — przerwał mu Kazimierz.

— Jak pan śmiesz — zawołał trzęsąc się od gniewu p. Laurenty — tak pogardliwie wymawiać o stanowisku naszych panów a moich przyjaciółkach... to nasza ozdoba, to chluba narodu, to...

— Przecież żadnego nazwiska nie wymieniłem, żadnej osobistości nie dotknąłem, a tylko powiedziałem gdy mnie wyzwano, to co czuję. Zresztą panów nie uważam za nietykalnych, a więc o ich przeszłości mam prawo mówić swobodnie — odparł spokojnie Kazimierz.

— Jakto? to wszystko co pan mówiłeś, dotyka nie tylko ich, ale i moich przodków, którzy posiadali także wielkie włości i poddanych tysiące; pańskie słowa to paszkwil, to kalumnia na naszą szlachtę — wołał p. Laurenty bez ustanku.

Wszystkich oczy w tej chwili były zwrócone w stronę zwaśnionych, gdy wtém Sędzia się odezwał.

— Moi panowie, dajcie tam pokój waszym sprzeczkom, każdy ma w części słuszość, lecz zgódźcie się lepiej z tém, że trzeba wspólnymi siłami iść naprzód, myśląc o tém co ma nastąpić, poprawiając błędy prze-

szłości. Wznoszę toast gości moich dzisiejszych, których mam honor w domu moim podejmować. — Tomówiąc, Sędzia podniósł kielich węgryna do góry, wydobytego na tę uroczystość ze starych piwnic, a lokaje nalewali go gościom.

Powstał gwar wielki a staroświecka sala odbijała wciąż echa licznych toastów. Pili zdrowie Szambelanowej — solenizantki i po porządku wszystkich gości i gospodarza. Po skończonej kolacyi goście powstawali od stołu i rozeszli się po różnych pokojach zapalając fajki i cygara.

Pani Biegunkowa, rada, że teraz mogła swobodnie opowiedzieć co słyszała i widziała, załamując ręce, mówiła swoim przyjaciółkom: — Skończenie świata, co się dowiedziałam! ale pod sekretem ci o tém moja droga komunikuję i to tylko tobie. — Te słowa mówiła każdej z osobna znajomej. Zwierzenie składało się z przesadzonej o dziesięć razy podsłuchanej rozmowy, która z szybkością błyskawicy obiegła pomiędzy paniami i jak wpływ musiała wyrzucić na niejedną słabą, nerwową istotę, możemy sądzić z tego, jak jedna młoda mężatka marszałkowa Bujwidowa, dodajmy nawiasem, dowiedziawszy się pod sekretem o zajściach w Wierzbiańskim dworze, noc całą nie śpiąc i płacząc, rozbudziła nareszcie swego małżonka porywając go za brodę; pan Marszałek, mężczyzna porządną tuszą, tak się tém przestraszył, że omal nie został tknięty apopleksją.

— Patrz, moje życie — mówiła tuląc się do męża prawie bezprzytomnie — zaproszono nas na imieniny, a nie wiedzieliśmy tego co się tu święci: chcą nas w pień wyciąć, czy słyszysz ten krzyk? to pijana zgraja chłopów na nasze życie godzi.

— Co ci się zdaje? czy przez gorączkę bredzisz?— zapytał strwożony małżonek żony.

— O! to okropnie zakończyć życie w podobny sposób; ratuj mnie! ratuj mnie! oni nas chcą zgubić— wołała żona z płaczem.

— Co ci takiego? Kto nas chce zgubić?—zapytywał mąż poziewając.

— Jakto, czyż nic nie wiesz? — zaczęła Marszałkowa płacząc. Wczoraj odkryto spisek w domu Sędziego, do którego należy niestety, i jego własna córka; widziano jak ks. Jan błogosławił chłopów święcąc noże ażeby nimi wyciąć szlachtę i panów. To okropne! to okropne! Mój drogi o tém wszystkie panie wiedzą i chciały także uprzedzić Sędziego, gdyż jutro o szóstej wieczorem mają dzieło swojego zniszczenia rozpocząć. Cóż z nami się stanie z ludźmi wyższego stanowiska i arystokracją?

— To być nie może—zawołał marszałek przecierając oczy.

— Czyż ty temu nie wierzysz? Wtenczas uwierzysz, jak już będzie późno, jak zginiemy.—To mówiąc zanosila się od płaczu.

— Ale cóż mam robić? Naucz mnie?

— Musisz mój drogi obmyśleć jakie środki przynajmniej dla ocalenia siebie i swojej żony. Obudź Sędziego i opowiedz mu wszystko jak na spowiedzi—daj to Boże aby córka nie pośpiała go jeszcze obalamując, powiedz wszystko, ale tylko, proszę cię, pod sekretem. Cicho, cicho, sza, bo i ściany mają uszy.

— Co mówisz żono? mam iść zaraz do Sędziego, budzić go w nocy, gotów pomyśleć, żem oszalał.

— Teraz wierzę słowom powtarzanym przez naszych

wrogów—zawołała małżonka załamując ręce.—Upadliśmy niestety! Powtarza to codziennie młodzież, depreczując publicznie wszystko, tradycją i religię, a my nie jesteśmy w stanie wznieść się do bohaterstwa spełniając czyn obywatelski. Ten czyn na tobie ciąży, pamiętaj że od niego zależy los rodzin szlacheckich i kraju, a ty wtenczas będziesz żył w tradycji, i kiedyś napiszą, że taki to a taki marszałek uratował tyle to a tyle szlachty od zagłady proletaryatu. Idź, tylko bądź pewny siebie, nie marudź,—to czyn godny marszałka.

— Zawsze ty mnie moje życie dodajesz otuchy i pobudzasz do wielkich czynów, gdy mnie energii brakuje—odrzekł pokornie małżonek całując rękę żony.

— Śpiesz się, śpiesz — zaczęła znowu Marszałkowa, idź do Sędziego, rozbudź go.

— Może lepiej pójść do pani Biegunkowej i za jej pośrednictwem wszystko urządzić, bo Sędzia czegoś mnie nie lubi i dał się nieraz z tém słyszeć. Kiedy między Bogiem a prawdą powiedziałem, przez twój duszyczko rozum zostałem marszałkiem, to Sędzia powiedział: winszuję wam—to nie marszałka będziecie mieli, a osła.

— Idź, idź mój drogi zresztą i do pani Biegunkowej, rozbudź ją i powiedz o wszystkiém, że mianowicie doszło to i to do twojej wiadomości o zaniepokojeniu się wszystkich, i ty jako marszałek i obywatel prawy chcący spokojności, czy rozumiesz, chcesz zapobiedz jedném słowem tym niebezpieczeństwu. Mów ogólnikami i frazesami, to najlepiej. Ty potrafisz to zrobić, jak tylko zechcesz.

— Dobrze, ale czyż nie lepiej będzie to wszystko odłożyć na jutro, a teraz pospać trochę, bo przecież tak

późno położyliśmy się — dodał mąż wyciągając się na łóżku, a pani żona utuliwszy twarz w poduszki, zaczęła szlochać.

— Ty mnie nie kochasz — mówiła z płaczem do męża — ciągle mi dajesz tego dowody, lekceważysz mną, jak jaką ostatnią i jeżeli cię o co proszę, to tylko twoje własne dobro mam na celu. O! cierpię. Gdyby choć raz Pan Bóg zlitował się nade mną i skrócił dni moje. Powieszę się! otuję, utopię! a ty będziesz wtenczas cieszyć się bo zostaniesz wolnym.

To była częsta zwrotka, jakiej używała pani Marszałkowa w wypadkach dosyć ważnych, w których potrzebowała natychmiastowego i bezwarunkowego posłuszeństwa pana Marszałka, jak to miało miejsce w chwili obecnej.

Pan Marszałek zerwał się nagle z łóżka, pochwycił co najprędzej za szlafrok, włożył papucie i chciał biedz nie pamiętając dokąd, lecz przedtém zbliżył się do żony dla ucałowania jęej ręki, ale pani Marszałkowa gniewnie odepchnęła męża i wciąż płakała.

— Teraz już nie chcę — zawołała po chwili — nie lubię nikogo zmuszać i narzucać się z nieproszonemi radami, nie chciałeś iść gdy cię o to prosiłam a teraz nie trzeba.

Mąż wtenczas zaczął przeproszać żonę i nareszcie stanęło na tém, że miał pójść i rozbudzić panią Biegunkową i opowiedzieć o wszystkim, która lokowała się w boczną oficynę. Kiedy wyszedł po jęej błogosławieństwie to zegar wybił czwartą godzinę po północy i dzień już był dobry; psy jeszcze czekały i nie były wzięte na łańcuchy, co następowało zwykle dopiero z rana; biedny Marszałek obawiając się aby nie być pokąsanym

przez psów, podbiegł, podjawszy szlafrok, pod oficynę, spróbował drzwi otworzyć — były zamknięte, podszedł więc pod okienicę i zaczął stukać, lecz nikt się nie odzywał — a więc znowu do drzwi, coraz silniej i silniej. Tymczasem dał się słyszeć głos kobiecy, był nim cienki głosik pani Biegunkowej zapytującej:

— Kto tam? Cóż się stało tak wcześnie?

— Bardzo w ważnej sprawie przychodzę, proszę otworzyć pani dobrodziejko.

— Kto tam taki — zawołał znowu głos kobiecy.

— Bujwid jestem, do usług pani dobrodziejki.

— Co pana Marszałka sprowadza do mnie o tęg porze?

— Sprawa niecierpiąca zwłoki; proszę otworzyć pani dobrodziejko.

W parę minut drzwi się otworzyły, pani Biegunkowa zaledwie zdążyła narzucić na siebie ranny strój, ciekawą będąc dowiedzieć się niezwykłej wiadomości. Jęej szpakowate włosy były w nieładzie, a pudr i róż nie pokrył jeszcze twarzy, a więc ciekawości swojej i wdzięki musiała tą razą przynieść w ofierze. Nie lepiej wyglądał i marszałek w swym rannym stroju, i lat pięćdziesiąt z ręcznie ukrytych, wystąpiło teraz z całą przestraszającą rzeczywistością.

— W niebezpieczeństwie nie ma co myśleć o strojach — zaczęła pani Biegunkowa nieśmiało i zakryła ręką oczy spostrzegłszy Marszałka w szlafroku.

— Naturalnie, naturalnie, pani dobrodziejko — odrzekł ostatni.

— Co się stało? może kto chory? — wołała pani Biegunkowa zapominając o polityce zupełnie.

— Niech mnie pani dobrodziejka pozwoli odechnąć — i Marszałek to mówiąc nabierał w swe piersi powietrza, a potem zaczął. — Niestety! nieszczęście! spiski przeciw nam knują, chcą nas zgubić; nie dość na tém, że bzdurzą o uwłaszczeniu włościan buntując ich przeciwko nas, ale jeszcze uczą i wmawiają w nich ku nam nienawiść i ksiądz stoi na czele téj zgrai razem z Ławrynajtisem. A co jeszcze powiem pani dobrodziejce za najpewniejsze, tylko pod największym sekretem, że widziano tych panów około kościoła, jak chłopów buntowali, a ks. Wikary jak święcił noże do rzezi, i dziś jakoby mają zacząć dzieło swego zniszczenia. Brz... brz... aż dreszcz przechodzi po mojej skórze jak o tém pomyśle.

— To być nie może! — zawołała pani Biegunkowa, a radość tryskała jęj z oczów, że dopięła swego.

— Upewniam panią, że tak jest prawdziwie, a ostrzedz i powiedzieć wcześniej, kiedy można temu zaradzić, jest obowiązkiem każdego prawego obywatela.

— Ależ mnie się temu jakoś wierzyć nie chce. Wczoraj wprawdzie słyszałam coś podobnego na własne uszy...

— Jakto? pani sama słyszałaś?

— Słyszałam; ale dziś, gdy słyszę z ust wiarogodnych takiego człowieka jak pan Marszałek, wierzę temu święcie i dziękuję za to zaufanie, jakiem mnie pan zaszczyca. — To mówiąc podała mu rękę.

— Ależ pani dobrodziejko... — odrzekł kłaniając się Marszałek.

— Zaufanie tak wielkie, jakiem mnie pan zaszczyca, robi mi honor wielki, szczyć się tém...

— Ale tylko pod sekretem, pod sekretem — dodał Marszałek; — a nie mając czasu do stracenia, śpieszmy więc do pana Sędziego, aby mu o tém zakomunikować, on nie śpi już pewnie. — To mówiąc podał ramię pani Biegunkowej i w rannych strojach podążyli oboje do Sędziego, który już nie spał i w gabinecie swoim pracował.

Sędzia wstawał zwyczajnie latem o trzeciej z rana, objeżdżał pola i łąki, a później wracał do domu dawać dyspozycyą oficyalistom swoim na dzień cały. Pomimo uczty, noc całą ciągnącej się, Sędzia nie odstąpił od swego zwyczaju i nie kładąc się spać zajął się swoją codzienną pracą. Sędzia siedząc przy stole palił fajkę z długiego cybucha i robił rachunki wpisując je do księgi. Gdy wtém posłyszał czyjeś stapania i ujrzał w szlafroku wpadającego Marszałka z panią Biegunkową. Podbiegł naprzeciw i ze zdziwieniem wpatrywał się w ich twarze wylekłe i w stroje poranne.

— Co się stało? — wołał w przestachu Sędzia.

— Niestety się zdarzyło — odpowiedziała mu pani Biegunkowa, — zmowa na nas panów: chłopci chcą nas wyrznać; p. Marszałek był na tyle dobry i zakomunikował mi tę wiadomość, choć sama o tém jeszcze wczoraj słyszałam; a więc przyszliśmy aby opowiedzieć to panu Sędziemu dla wspólnej narady i wynalezienia ratunku... i...

— Dziękuję państwu za zaufanie, jakie we mnie pokładacie — odparł Sędzia. — Że chłopci nie są dobrze, szczególnie dla niektórych z nas usposobieni, to pewna; nie szukając jednak pochwały, wyjątek w tym względzie stanowi mój dom, z którym włość na tyle się zrosła, że jakby stanowi jedną rodzinę. Od dawien dawna

o ile zapamiętać sobie mogę, za czasów ojca i dziada mego, ludzkie obchodzenie się z poddanymi było zasadą, skutkiem czego stała się włość nasza i zamożniejszą i oświeconszą od okolicznej i nie czuje ani do mnie ani do rodu mego nie tylko urazy, ale ma nawet pewne do nas przywiązanie, czego dowodów nie mało otrzymuję. Włóścianie moi dla tych powodów nie są skłonni słuchać jakichbądź podszeptów niedowarzonych ludzi, którzyby chcieli pomiędzy nas rzucić kość niezgody.

— To pewno, to pewno—zawołał Marszałek—ale... niech pan Sędzia będzie ostróznym jednak, aby ci łajdacy nie zrobili jakiego napadu—im dowierzać to trudno.

— Mówilem już panu Marszałkowi, że obawa z mojej strony byłaby zbyt dużą, a nawet i ze strony państwa. Nieukontentowanie i niechęć przynajmniej na Litwie nie zaprowadzi jeszcze lud do gwałtów i mordów.

— A ja panu Sędziemu powiem — mówił dalej Marszałek—że największe zło widzę w ucywilizowaniu chłopów: wszystkie te szkoły i nowe wymysły prowadzą tylko do zepsucia, nic więcej.

— Tego nie przypuszczam—odparł Sędzia; — jeśli by tylko włóścian uczono, tém lepiej byłoby dla nas; kraj nasz zyskałby więcej dobrych obywateli, na których nam zbywa. Oświata nie przynosi nigdy ani zepsucia, ani nieszczęścia. Daj Boże tylko dobre chęci naszym młodzieży, a praca ich może w przyszłości przynieść plon pomyślny, aby tylko nie zabrakło im wytrwałości.

— Oni nas chcą zgubić te chamy, a my im jeszcze za to przyrzekamy dać wolność i oświatę! Panie Sędzio, czyż pan nie widzi tych nadużyć i nienawiści ja-

kich oni codziennie nad nami się dopuszczają?— wołała z gniewem pani Biegunkowa.

— Ja nic nie widzę jeszcze i niczego nie mogę domyślać się ze słów państwa — mówił Sędzia wzruszając ramionami.

— Dla miłości Boga! chciej uwierzyć panie Sędzio słowom naszym—mówiła pani Biegunkowa rzucając na niego błagalne spojrzenie. To, o czém mówimy, widziałam na własne oczy, jak zmowa przeciw nam szlachcie toczyła się w domu pańskim; wtenczas uwierzysz pan jak będzie już zapóźno i kiedy stryczek podciągną nam pod szyję.

Sędzia zamyślił się, a pani Biegunkowa już nie mówiła a krzyczała:

— Jeżeli pan mnie nie wierzysz, to ja go przekonam i o godzinie szóstej wieczorem pokażę czarno na białém co się w około nas dzieje i kto zarazem podkopyje rodzinne szczęście domu pańskiego!

Mówiąc to i uważając że Sędzia na nią mało zwraca uwagi, zakręciła się gniewnie i wybiegła z pokoju, a za nią Marszałek.

Wróciwszy do gościnnych pokoi, pani Biegunkowa zaczęła teraz głośno opowiadać co zaszło, uskarżając się, że Sędzia, ten ździecinniały starzec, już nie jest w stanie nad niczém się zastanowić i nie widzi niebezpieczeństwa jakie mu grozi.

Marszałek zaś wrócił do żony i został przez nią wyłajany, że nie umiał przekonać Sędzię, i żadne jego perswazyje nie pomogły; żona dostała spazmów i długo potem płakała.

Wspomnijmy także o innych gościach i spójrzmy co oni robią. Ks. Jan i Kazimierz mieli na nocleg

wspólny pokój w oficynie. Długo jeszcze rozmawiali o wrażeniach wieczoru, zanim sen ciężki nie skleił im powiek. Nazajutrz rano wstawszy, widzieli z okien wracających od Sędziego Marszałka i panią Biegunkową w rannych strojach; zdumieni tém byli bardzo, lecz nikogo o to nie pytali. Wypiwszy później razem z Sędzią kawę, pośpieszyli każdy w swoją stronę, zostawiając większą część towarzystwa jeszcze śpiącą. Prędko potem wszystko co żyło w Wierzbiańskim dworze zaczęło się przebudzać. Damy zajęte były swemi tualetami, służące po dziedzińcu biegały wciąż nosząc spódnice krochmalone, czesząc przed lustrami siedzących pań swoich i ubierając je.—Najdłużej ze wszystkich przystrajał się p. Laurenty; musiał swe siwe włosy wyczernić, twarz upudrować i zęby wstawić, co zajęło mu kilka godzin czasu przyjemnie przepędzonego.

Rano herbatę roznoszono po pokojach gościnnych, a w południe zebrani goście w sali jadalnej przy wesołej gawędce jedli śniadanie, aby pośpieszyć do swych domów. Rozmawiano o polowaniach, balach i sprawach sąsiedzkich a nakoniec o zeszłym wieczorze, jak się kto na nim bawił i był ubrany, kto z kim mówił najwięcej i tym podobne rozmowy nieuniknione po każdej większej zabawie.

Prędko goście zaczęli się rozjeżdżać i dwór Wierzbiański pozostał znowu cichy i pusty jak zwykle, bez gwaru, krzyku i głośnych śmiechów.

Po wyjeździe gości Sędzia się nachmurzył i zaczął rozmyślać o zaszłych nieprzyjemnościach, którym zresztą nie przypisywał wielkiego znaczenia, więc go niepokoiły od pewnego czasu oziębłe listy Ludwika, jedyne-go syna. Dłuższy pobyt jego na Szlázku niżby się spo-

dziewał, nie wiedział czemu miał przypisywać. W obec tłumnie zgromadzonych gości ożywił się nieco Sędzia i umiał skryć w sobie dręczące niepokoje; teraz, gdy został osamotnionym a cisza zapanowała w domu jego, objęła go jakaś trwoga i tęsknota za synem, dotąd mu nieznana i nie mógł pozbyć się tych nieprzyjemnych myśli, które go tak silnie dręczyły.

IV.

Kazimierz po powrocie do domu znalazł list na stole i przeczytał go; był to list od Ludwika. Z niego dowiedział się o miłości, która zatrzymuje Ludwika w Cieszynie, a o jakiejś domyślał się już przedtém. Zatrwożył się tém, bo niepokoiły go skutki, jakie z tego mogły wyniknąć dla Ludwika przez zerwanie z rodziną. Kochał on go serdecznie od lat dziecinnych i jako dobry przyjaciel ubolewał nad złem, które zająć mogło, przewidując tego następstwa.

Kiedy szósta godzina wieczór była już blisko, Kazimierz zaszedł do plebanii i z ks. Janem podążyli w miejsce naznaczone, gdzie mieli się spotkać z Elżunią. W téj chwili obaj oni zapomnieli jaki cel był ich dzisiejszego spotkania, myśleli tylko o Ludwiku i o jego przyszłości, jak mu dopomóż, i w tym celu chcieli rozmówić się z Elżunią. Gdy przyszli na oznaczone miejsce, oddalone od pomieszkania Kazimierza o jakie pół wiorsty, usiedli na trawie pomiędzy drzewami rozmawiając pomiędzy sobą i oczekując z niecierpliwością przyjścia

Elżuni, którą spostrzegłszy weszli w głąb lasu i zaczęli z cicha mówić. Przedtém jednak już siedziały w krzakach schowane trzy panie: Biegunkowa, Marszałowa i Hrabina podsłuchując każde słowo uważnie. Wszystkie te panie były z sobą jak najgorzej, lecz w ważnych wypadkach podawały sobie ręce dla wspólnej obrony przeciw napaściom bezbożników—to sprowadziło ich dziś do lasu dla podsłuchiwania rozmowy. Nie będąc spostrzeżonemi przez nich, usłyszały co następuje:

— Mamy ważny interes do pani — mówił Kazimierz—który nie cierpi zwłoki. — Otrzymałem dziś list od Ludwika, może pani zechce go przeczytać. To mówiąc podał list Elżuni, która po odczytaniu go, zbladła i zmieszła się.

— Trzeba prosić ojca—mówiła—aby zmiękł dla niego, trzeba go uprzedzić o tém, przebłagać. On nawet tego nie podejrzewa, sekret przed ojcem gorzej go jeszcze rozniewia na Ludwika. Napiszę do niego, niech on...

— Nie radzę tego pani: Ludwik z tém jęć się nie zwierzał, ja lepij naprzód go uprzedzę w liście, że po naradzie z panią, zdecydowaliśmy się starać, ażeby wpłynąć jakkolwiek na ojca, który o jego zamiarach nic nie wie—przerwał jęć Kazimierz.

Długo jeszcze rozmowa trwała o wszystkiém, zanim nareszcie nie zdecydowano się odpisać do Ludwika, a przed ojcem nic nie mówić i do pewnego czasu skrywać. Jeżeli to jest możebne to uznano za najlepsze wpłynąć na Ludwika, ażeby wrócił do domu i pozostawił Szlązk choć na czas jakiś zanim nie dowie się zamiarów ojca względem siebie. To postanowiwszy smutni i ze spuszczone głowami zaczęli się rozchodzić. Panie ukryte, wtenczas powychodziły z za krzaków uradowane

że coś słyszały, sprzecząc się pomiędzy sobą, która z nich i w jaki sposób spełni obowiązek chrześcijański, wybawiając już nie tylko Sędziego, ale jak owe panie myślały, całą okolicę, ba, a nawet kraj cały od potajemnych knońców czerwonych.

W tym właśnie celu, po ogólnej naradzie, pomimo pory spóźnionej, udały się owe panie pobożne do Proboszcza, aby ten świątobliwy człowiek dał im błogosławieństwo swoje i instrukcyę, jak mają postępować w tej sprawie. Gdy przybliżały się do plebanii, Proboszcz siedział na ganku pałac fajkę.—Zobaczywszy gości podskoczył z siedzenia, a panie rzuciły się dla ucałowania jego rąk przewielebnych i za nim weszły do pokoju.

— Co was sprowadza do mnie? moje wy panie pobożne — wołał Proboszcz—o takić porze spóźnionej, w której zabieram się zwykle do spoczynku, ażeby jutro rano znowu uwielbiać Pana Zastępów.

— Ważne zrobiliśmy odkrycie ks. Proboszczu:—wołała klaskając w dłonie pani Biegunkowa—chęć naszej zguby czerwoni...

— Módlcie się za ich dusze grzeszne—odparł pobożny kapłan gładząc swój brzusek.

— Powiemy Proboszczowi dobrodziejowi, tylko pod największym sekretem, że... ale... nie mogę powiedzieć, chyba pod największym, tak jak przed Bogiem, na spowiedzi, mówiła pani Biegunkowa.

— Ale ks. Proboszcz nas nie wyda — zawołały w jeden głos dwie pozostałe panie temu obecne.

— Ja was wydać? Ależ dzieci moje ukochane, najlepsze wy moje parafianki, chodźcie, niech was uściśnę.—Panie znowu rzuciły się do ucałowania rąk przewielebnych, a ksiądz uściśkał je z ojcowską czułością

— Otóż, uważa ks. Proboszcz—mówiła pani Biegunkowa—odkryliśmy spisek przeciw panu Sędziemu i to córka jego rodzona do tego należy... Syn jego ma się żenić na Szlżaku,—a dwie drugie panie temu obecne zakrzyczały w jeden głos:—już się ożenił.

Natenczas Proboszcz zrobił minę wyrażającą wielką ciekawość, twarz jego okrągła wzdłuż się przeciągnęła bardzo, a oczy podniósł ku niebu na krzyż składając ręce.

— I to zrobił w tajemnicy przed ojcem—dodała pani Biegunkowa. — Ożenił się z chłopką i dlatego nie wraca do domu. Otóż chcemy opowiedzieć o wszystkim Sędziemu, ostrzegając go—przecie to uczynek chrześcijański, bo pan Kazimierz i ks. Jan, jako przyjaciele Ludwika, otrzymują od niego listy, skrywając to przed Sędzią.

— Horendum! Co się dzieje, Jezu Chryste przez Twe rany najświętsze! — krzyczał z przerażeniem Proboszcz.— Pójdę zaraz do Sędziego, opowiem mu wszystko, a wy panie pobożne bądźcie spokojne i módlcie się na jego intencją. O ks. Janie też nie zapomnę: napiszę o wszystkich jego intrygach do biskupa. Popamięta on tych wszystkich sztuczek.

Pożegnały wkrótce panie swojego proboszcza, choć niezupełnie zadowolone, że będą spełniać rolę drugorzędną w sprawie, nad którą pracowały tak gorliwie, a tymczasem teraz miejsce ich zajął Proboszcz. Zgadzały się zresztą z wolą Bożą, pojechały do domu uspokojone i zadowolone, że znalazły w osobie Proboszcza takiego zastępcę, który im pomógł do spełnienia tego pobożnego czynu.

Na drugi dzień z rana, po mszy ks. Proboszcz szedł do domu mając przedtém rozmowę z ks. Janem. Wymawiał mu, że nie pilnuje ołtarza i mało się modli, że ma jakieś konszachty z czerwonymi i wdaje się w romanse, i mówił mu, że jeżeli coś podobnego się powtórzy, to przy pomocy Bożej osadzi go na rekolekcyach. Im mówiąc: „jegomość to popamiętasz“, Proboszcz chwycił się za brzuch i chichotał wesoło.

Ks. Jan tłómaczył się z godnością i powagą, że co robi, to ma do tego prawo, nie mając zamiaru przekraczać praw kanonicznych—i na tém tą razą się skończyło.

W godzinę potém Proboszcz siedział w gabinecie Sędziego prowadząc z nim następującą rozmowę:

— Straszne się rzeczy dzieją, ojcieńku — mówił Proboszcz—skończenie świata!

— At, Bóg wie co jegomość pleciesz—odparł Sędzia machając ręką.

— A czy waś nie widzisz „dokąd dażymy, co się z młodzieżą naszą dzieje, to zgroza Sędzio dobrodzieju! Zaczne nasze damy pracują dla odkrycia ich niecných zamiarów.—Podbuntowują oni chłopów przeciw panom, nie wierzą w Boga, bluźnią i szemrzą przeciw kapłanom, i do tego jeszcze, niestety, należą sługi ołtarza i młode dziewice!

— Cóż wam się to stało, mój ojciec. Wczoraj pani Biegunkowa i Marszałek przynieśli mnie podobne wieści, ale nie chciałem wierzyć im o żadnych spiskach, a dziś...

— A dziś—przerwał Proboszcz—mogę panu Sędziemu zaręczyć, że i pobyt syna jego zagranicą nie nam pomyślnego nie wróży; a mówiłem wtenczas: nie puszczaj

go do tych krajów nowomodnych, bo nie będziesz miał z tego pociechy—tam Sodoma i Gomora. Dosyć go już napsuli w szkołach koledzy i profesorowie, że jak przyjeżdżał na wakacje, to nieraz bluźnił przeciw ojcom kościoła i wierze świętej, tego było dosyć; a tu jegomość posłałeś jedynego syna, nie słuchając rad moich i ostróg, na ostateczną zagładę jego duszy gdzieś w kraje niewiernych, do lutrów, odszczepieńców, co to Chrystusa Pana męczyli z żydami—to są ci złoczyńcy co to ludzi czartu zaprzędają.

— Ależ daj mi waść pokój! Co takie androny pleść, to lepiej...

— Ja spełniam nic innego jak tylko obowiązek pasterza dusz, ażeby kiedyś przed Bogiem nie odpowiadać, że widząc nieszczęście, nie upomniałem was przedtém i nie wyrzekłem głosem proroczym: upamiętajcie się zaślepieni! A pan Sędzia dobrodziej wpadłeś w sieci chłopskie i w nich zgubiłeś syna swego — wołał Proboszcz podnosząc głos i zapalając się ciągle.— Syn twój siedzi gdzieś w kraju, w którym ludzie pół psy pół kozy, łajdacy, i powiem jeszcze lepiej panu Sędziemu, żeni się z chłopką, jakąś luterką, o czém wie i córka pańska będąc powiernicą jego planów. Czegóż więcej! A my nie wiemy co się pod okiem naszym dzieje, że po lasach pod pretekstem oświaty ludu i postępu, odbywają się schadzki romansowe nocne, w których córka pańska przyjmuje udział.

— Co!?—krzyknął Sędzia zrywając się z miejsca—co? będziesz pan czernić mój dom szlachecki! Pan zapominasz, że to mu płazem ująć nie może: to krzywdą, za którą srogo możesz być ukaranym. Kto się ośmieli

rzucać kalumnię na mój honor niczém niesplamiony, temu biada!

— Panie Sędzio dobrodziej, niech się pan nie unosi, więcej pokory chrześcijańskiej, więcej uległości.

— Na co mnie się zda wasza pokora, wasza uległość, daj waść pokój tym głupstwom, a nie, to go każę wyprowadzić, a to tylko jeszcze tego nie dostawało, aby w domu moim własnym robić mi afronta podobne. Ja nie uwierzę, choćbyś tysiąc razy krzyczał i rozdarł sobie nawet gardło, aby które z dzieci moich miało splamnić nasz ród pocziwy, nie uwierz! W domu moim nie nie widzieli gorszącego, oprócz cnót i dobrych przykładów. A to, co mi mówicie, to kłamstwo, to potwarz...

— Niech będzie pokój temu domowi i niech go Bóg strzeże, jeżeli tak nie jest, — odparł Proboszcz z pokorą aż do ziemi się kłaniając. — Każdy policzek mnie zadany, zniosę w imię prawdy i nauki Chrystusa.— To mówiąc błogosławił wszystkie kąty i zabierał się do wyjścia.

Gdy drzwi gabinetu już się za nim zamknęły, wybiegł Sędzia wołając:

— Kochany Proboszczu, jeżeli cię obraziłem, to najmocniej przepraszam, ja starszy od ciebie wiekiem, powinienes mi przebaczyć. — Pochwycił Proboszcza za rękę, wprowadził go do gabinetu i pocałowawszy, zaczął znowu rozmowę.—Widzisz mój ojczénku, przecież jakby nie było, a dla ojca rodziny, to rzecz przykra bardzo słyszeć podobne potwarze i niegodziwe plotki o swoich dzieciach.

— To dopuszczenie Boże, jakie Pan w dobroci swojej niepojętej zśła przez dzieci na ojca, na które nie trzeba szemrzeć, ale w pokorze ducha i z wdzięcznością

znosić, a gdzie można zapobiegać — odparł spokojnie kapłan.

— Dajże pokój Proboszczu z temi głupstwami. Wprawdzie niepokoi mnie bardzo Ludwik, bo teraz rzadko pisuje; miał już od dawna wrócić, a tymczasem nie oznacza dnia swojego przyjazdu, siedzi na Szlązku od trzech miesięcy, nie wiadomo dla czego. Listy jego krótsze są jak dawniej, obojętniejsze, przeprasza w każdym, że brak mu czasu na list do ojca.

— Dlatego, że czas cały używa na łajdactwa, na marnotrawstwa; ożenił się z chłopką — odparł ksiądz.

— Co mówisz! czy to może być? — uderzając ręką o stół, zawołał Sędzia.

— Sam o tém przekonasz się wkrótce, panie Sędzio, a także i o tém, że w naszych oczach odbywa się romans drugi, bo Ławrynajtis bałamuci twą córkę.

— Jeśliby to było prawdą i jabym się o tém przekonał, to kazałbym go obić, nie wyszedłby on cało z rąk moich — wołał trzęsąc się z gniewu Sędzia.

— Nie pora będzie wtenczas zapobiegać, gdy się zło stanie, lepiej to teraz uprzeczyć — odrzekł Proboszcz.

— A więc cóż pocznę? To nie te czasy, kiedy mogłem sam karać i wymierzać sprawiedliwość, inne czasy, inni ludzie.

— Poradzić temu nie trudno. Najprzód zabronić wstępu do domu Kazimierzowi, powtórnie śledzić kroków panny, a co do Ludwika, sprowadzić go natychmiast, wysyłając list z dobrą perorą.

— Ksiądz zabierał się już do wyjścia, wyprosiwszy pierwiej u Sędziego kilkanaście sztuk owiec, które tenże przyrzekł mu darować; radził mu napisać natychmiast

do syna i zacząć indagacyą z córką. Proboszcz odjechał zlewając błogosławieństwa Boskie na Sędziego i jego rodzinę.

Po odjeździe Proboszcza Sędzia długo siedział nieruchomie, potem zapalił świecę, gdyż już zmrok zapadał i chodził długo po pokoju. Było widac na jego twarzy walkę, którą staczał z sobą. Niezadługo wszedł do pokoju lokaj, oznajmiając o podanej wieczery. Sędzia poszedł do sali jadalnej, przywitał się według zwyczaju z matką i córką, nie jednak nie jadł prawie, mówiąc tylko z rządcą o gospodarstwie. Szambelanowa zapytywała syna czy nie chory. Sędzia odpowiadał lakonicznie, nie chcąc długo mówić. Po wieczery wszyscy się porozchodzili, Szambelanowa radziła synowi wypić rumianku na noc, upewniając, że to niedomaganie przeminie. Elżunia udając się na spoczynek, musiała najprzód według zwyczaju odprowadzić babkę do jej sypialni. Potem pocałowała ojca w rękę, nie podejrzewając bynajmniej na jaką burzę się zanoszą i co się wewnątrz jego dzieje, a na dobranoc jeszcze dodała: — Niech ojculek mnie popieści, przecież mnie kocha, — a ojciec całując ją w głowę pomyślał sobie — o! ile w tej dziewczynie chytróści i przewrotności.

Sędzia w swym gabinecie wydał dyspozycyą rządcy a następnie chodził wielkimi krokami po pokoju jak człowiek przebywający przesilenie i przezwyciężający siebie.

— Mój Boże! — mówił sam do siebie — czyż to być może, aby te dwoje dzieci, dla których żyłem tylko, nad któremi rozpylałem się w miłości, tak mnie gorzko zawiodły, i oprócz zmartwień i rozprzężenia w naszym społeczeństwie, muszę jeszcze się rozczarowywać w mojem

życiu prywatném!—Mówiąc to Sędzia, ukląkł przy łóżku i gorzko zapłakał.

W tym czasie przechadzała się po ogrodzie Elżunia—miała ona zawsze przyzwyczajenie przejść się trochę przed udaniem się na spoczynek. Rozmaite myśli cisnęły się jęj tego wieczoru do głowy, gdyż marzyć zresztą jest naturalną rzeczą dla dziewczycy w szesnastym lub siedmnastym roku życia. Gdy tak marzyła, spostrzegła światło w oknie gabinetu wychodzącego na ogród, w tak niezwykłej porze, w której ojciec jęj zwyczajnie już spał, gdyż wraz z jutrzeńką i on rozbudzał się do pracy. Strwożyło ją to; podeszła pod okno, i z trudnością się dostawszy blisko, podniosła się na palcach w obawie czy ojciec nie chory, zajrzała w okno, lecz nie małe jęj było zdziwienie gdy ujrziała ojca strasznie zmienionego, przechadzającego się po pokoju, a później modlącego się przy łóżku z niezwykłym wzruszeniem. Cała przestraszona, nie wiedziała co ma czynić. Potęm ojciec wstał, otarł łzy, podszedł do biurka i siadł do pisanja. Elżunia nie była na tyle do ojca zbliżoną, aby mogła przyjść do niego i zapytać o przyczynę zgryzoty, bo wnioskowała, że musi mieć jakieś silne zmartwienie, które tak bardzo nim wstrząsnęło. Przypuszczała, że ojciec dowiedział się szczegółów o Ludwiku, choć nie pojmowała, od kogoby ta wiadomość pochodziła i ani przez myśl nie przeszło biednej dziewczynie, noc całą nie śpiącęj, że to było dziełem dam pobożnych, siedzących w krzakach i ich pasterza.

Był już dzień wielki kiedy Sędzia zgasił świecę i usnął snem gorączkowym.

V.

Parafia Wierzbiańska, jak już wiemy z poprzedniego opowiadania, należała w tych okolicach do lepszych. Pracę swoją ks. Proboszcz Rudys podzielał z Wikarym ks. Janem Wilużysem, choć dochodami nie dzielili się wspólnie i ks. Wikary oprócz pracy nic nie pobierał w udziale.—Rzadko w jakiej parafii można spotkać znośne stosunki pomiędzy proboszczem i wikarym, najczęściej pomiędzy nimi panuje antagonizm największy. Każdy z nich posiada między parafianami swoich zwolenników i przeciwników, lecz w walce zawsze otrzymuje zwycięstwo proboszcz, jako silniejszy, a wikary staje się ofiarą. Podobne stosunki panowały pomiędzy naszymi osobami.—Główną osobą w plebanii a zarazem najbardziej wpływową, czynną i pośredniczącą we wszystkich sprawach domowych była Brzuchalska, gospodyni Proboszcza, rodem z pod Warszawy. Była to niska, przysadzista, czerwonej twarzy kobieta, w wieku lat trzydziestu kilku; dobra ochmistrzyni, robiąca doskonale kołduny litewskie i flaki warszawskie, wciąż zajęta koło domu; protektorka naturalna ze stanowiska, które zajmowała, każdego wikarego, bo od nięj każdy z nich był więcéj często zależnym aniżeli od samego Proboszcza; a jeżeli dodamy nawiasem, że i sam Proboszcz nieraz schylał głowę i powodował się swoją gospodynią, to rzecz cała jeszcze się lepięj wyświeci. Co do wikarych, to powiem, że dwóch poprzedników ks. Wilużysa musieli opuścić Wierzbiańską parafię z przyczyny pani Brzuchalskiej, która od lat już dziesięciu panowała w plebanii. Ks. Jan

w mniejszych rzeczach musiał ustępować gospodyni dla świętej zgody — jak sam powiadał, nie mogąc plynąć przeciw prądowi, bo wiedział jak wysoko stoi kre dyt Brzuchalskiej w parafii. Największe bowiem powagi parafialne okazywały jej swoje względy; i tak: Marszałkowa mawiała do niej Brzusi, a pani Hrabina przywiozła dla niej przed parą laty różaniec z Rzymu, — mawiano o tém nieraz, że ten dar sam Ojciec święty jej przysłał za życie bogobojne i pełne poświęceń dla parafii. Jak ludzie mówili, to wszystkie postęпки ks. Proboszcza zależały od Brzuchalskiej, a ks. Jan chcąc w ważniejszych kwestyach być samodzielnym, musiał nieraz walkę z nią staczać, przez co przychodziło do starć dość ostrych i z samym Proboszczem. Szczególnie ks. Jan naraził się Proboszczowi i Brzuchalskiej w czasie utworzenia pewnego arcy-chrześcijańskiego stowarzyszenia „dusz pobożnych”, założonego w celu zapobieżenia szerzącej się zarazie książkowej w okolicy, do którego wezwani zostali, jako prezes, pani Biegunkowa, a jako sekretarz, ks. Jan, który nieprzyjawszy tego wysokiego urzędu, naraził się bardzo nie tylko „duszom pobożnym” i całej parafii, ale najwięcej ks. Proboszczowi, zostającemu pod niewidzialnym wpływem pani Brzuchalskiej. Proboszcz uważając owo stowarzyszenie, jako jedyny przewóz, mogący wywieść całą parafię z toni grzechowej, i dowiedziawszy się o odmowie ks. Jana w uczestnictwie, poirytował się tém bardzo, i razu pewnego przyszło pomiędzy nimi do silnego starcia. Proboszcz wyrzucał Wikaremu, że jest bluźniercą przeciw prawom Bożym, że kara Niebios będzie go ściagać przez całe życie i inne tym podobne złorzeczenia, które dorzucała od siebie Brzuchalska.

Od tego czasu zaczęli ks. Janowi szkodzić na opinii przed wszystkimi, a nawet przed Sędzią, który dotąd o nim trzymał bardzo dobrze, i jego zdanie ks. Jan bardzo szanował.

Po powrocie Proboszcza z Wierzbian z podarkami otrzymanymi od Sędziego, Brzuchalska całowała mu ręce, dziękując za nie, a dla ks. Jana w tym dniu nastąpiła scena przykrejsza jeszcze jak poprzednie. Proboszcz urosłszy w dumę po śmiałem i pomyślnem wystąpieniu w Wierzbiańskim dworze, chciał ukarać swego wikarego i w obec gospodyni i służby zaczął mu wyrzucać jego postępowanie:

— Bo to widzisz, ojczyńku — mówił do ks. Jana — okazują się za tobą grzechy niemałe, za które będziesz musiał w swoim czasie odpokutować. Chodzisz, jak słyszałem, na jakieś tam przechadzki, nieodpowiednie ani twemu stanowi, ani powołaniu, jesteś powiernikiem spraw miłosnych, intrygantem, ojczyńku, — to brudna sprawa, to grzech, wdajesz się w sprawę czerwonych — to obraza Boska, za którą jest kara na tamtym świecie.

— Mylisz się, księżu Proboszczu, jeżeli posądzasz mnie tak niesłusznie — odezwał się ks. Jan; — a nie wiedząc, nie masz prawa posądzać; możesz mnie oskarżyć przed sądem, ale w jednym i tym samym czasie sędzią i instygatorem być nie możesz.

— Co! — zakrzyczał Proboszcz — ja instygator, ja nie mam prawa! ach ty psi synu, ty poczwaro, dyable w ludzkiem ciele, niech dusza twoja przekłeta idzie na wieczne potępienie do piekła! Ty mnie wyrzucasz i chcesz uczyć, ja cię nauczę rozumu, którego szukasz i waszych nowomodnych szalów, nauczę, pocze-

kaj, osadziwszy na chleb i na wodę u Rochitów na re-kolekcjach. Nie wyjdiesz ty z piekła, bądź spokojny, po same uszy w smole siedzieć będziesz. — Panno Najświętsza i wszyscy święci Pańscy! ukarście go za takie bluźnierstwa, to heretyk, poganin, bezbożnik! — i posypał się cały szereg słów najordynarniejszych i przekleństw, do których przyłączyła się jeszcze i Brzuchalska.

Ks. Jan pomimo słów i poniżeń, które otrzymał, chciał się jeszcze tłómaczyć przed Proboszczem, przedstawiając mu jego niesprawiedliwość.

— Milcz! — zawołał Proboszcz, — ja wiem, to są knowania przeciw mojej osobie, przeciw Brzuchalskiemu i wierze świętej, ja cię ztąd wysadzę, ty wolteryaninie, lutrze, bezbożniku!

Ks. Jan widząc niemożebność dalszych objaśnień, wszedł do swego pokoju zamknął drzwi za sobą, wziął książkę i chciał czytać, ale nie mógł, bo cały ogrom przekleństw i grad obelg sypał się obficie, przebijając się przez drzwi zamknięte i dochodząc do uszu nieszczęśliwego Wikarego. Krzyki te ciągle i ciągle wzmacniały się pod wpływem nastawionych na stole trunków alkoholicznych, któremi uraczali się wzajemnie, posyłając przekleństwa Proboszcz i jego gospodyni.

VI.

Zobaczmy teraz, co się dzieje w Cieszynie. Ludwik czekał z niecierpliwością odpowiedzi od Kazimierza; dzień każdy spędzony w oczekiwaniu, wydawał mu

się rokiem, bo pragnął rady przyjaciela, którego znał z praktycznej strony. W głębi duszy jednak był przekonany, że jakaby rada nie była Kazimierza, on postąpi idąc za popędem serca, któremu oprzec się było nad siły jego, a przy tém wszystkiém czekał listu od niego z gorączkową niecierpliwością. Chodził jak nieprzytomny: przedstawiał mu się rozgniewany ojciec i straszne tego gniewu następstwa. Codziennie tymczasem chodził do Macurów, wyręczał ich w pracy polnej, a w dniu świąteczne towarzyszył im na spacerach, i tak przywiązał się do tej rodziny, że myśl opuszczenia jej więcej go dręczyła, jak zubożenie stosunków, lub ich zerwanie z ojcem i rodziną.

Pewnego poranku, gdy słońce zaledwie wschodzić zaczęło, Marya była przy dojeniu krów, bo to było jej codziennym zajęciem, — bydlę pędzono w pole, parobcy szli na robotę przy wesołych śpiewach i gwarach, a na ich czele sam Macura. Dzień był prześliczny, odzywał się wszędzie śpiew ptaszek, cudowny koncert tych nadpowietrznych śpiewaków, którzy całym chórem harmonijnie przyspiewują latem w polu pracom rolnika. Ludwik noc całą spędziwszy na marzeniach, nie śpiąc, wstawszy rano podążył do wsi Macury. Marya była wtenczas sama jedna przy mleczynie w piwnicy przelewając je i zbierając nabiał. Po przywitaniu się z Ludwikiem zaczęli rozmowę:

— Kiedyż nas pan opuścisz? — pytała Marya Ludwika.

— Albo prędko, albo nigdy, — odrzekł śmiało Ludwik, — a po chwili dodał: — ale powiedz mi pani, co byś z tego wolała?

Marya spuściła na dół oczy i ani słowa nie mogła wymówić; było to na pozór małej wagi, ale dla śledzącego za każdym jej ruchem Ludwika wiele dało do zrozumienia, bo odtąd czuł swoje nad nią zwycięstwo i ośmielił się jej powiedzieć:

— A więc chciałabyś, ażebym pozostał na zawsze przy tobie?

— Wielebym chcieć mogła, ale czyż mało jest żądań ludzkich, które się nie spełniają, — odpowiedziała mu Marya.

— Ale to, co ci mówiłem — jest możebnem; — zostanę z tobą na zawsze — i nikt mi nie jest w stanie stanąć na przeszkodzie, niech tylko usłyszę z ust twoich wyraz, że mnie kochasz.

— Kocham — odrzekła Marya i twarz zakryła rękami.

— A więc mnie kochasz? — zawołał cały zapłoniony Ludwik, pochwyciwszy w swoje objęcia Maryę i twarz jej bladą w tej chwili pokrył gorącemi pocałunkami; lecz bladość jej twarzy stawała się coraz większą, chwiała się na nogach i byłaby upadła, gdyby ją nie był utrzymał w swych silnych rękach.

— Co ci jest? moja luba, moja złota, — wołał w przerażeniu, a Marya zaczęła pomału przychodzić do siebie, starając się wymówić słów parę, aby wyprowadzić z przestachu zakłopotanego Ludwika.

— Co ci było, Maryo? — zawołał znowu Ludwik.

Lecz ona zamiast odpowiedzi zaczęła płakać, a po niejakić chwili odpowiedziała:

— Mam jakieś złe przecucia, panie Ludwiku, projekt wasz i dane nasze słowa nie spełnią się.

— Dlaczego?

— Ja chłopka, a pan szlachcic. Rodzice pańscy na nasz ślub nie zezwolą, mój ojciec będzie się temu sprzeciwiać także, a przy podobnych okolicznościach, wątpię czy doznam szczęścia, choćbyśmy i wstąpili w związek małżeński i choćby te wszystkie przeszkody pana od tego zamiaru nie powstrzymały.

Ludwik ją przekonywał, że dla niej wyrzecz się dziedzictwa, rodziny i wszystkiego co będzie zawadzać ich szczęściu i że będą wspólnie pracować na ziemi jej ojca. On pozostając starszym parobkiem, będzie chodzić za plugiem i woły paść, a ona mu pomagać; ale nic nie pomagało, dziewczyna wciąż była smutną i zapłakaną.

Ludwik nareszcie pożegnał się z Maryą po długich upewnieniach o swoim przywiązaniu, a po obiedzie miał przyjść znowu dla oświadczenia się jej rodzicom. Powracając do Cieszyna do hotelu, rozmyślał w drodze jak ma sobie postąpić, ażeby nie narażając się ojcu, zadość uczynić popędowi swojego serca. W swoim pokoju Ludwik znalazł dwa listy na stole; na jednym z nich poznał na kopercie rękę ojca, — drgnął cały, jakby wiedziony przecuciem złowieszczém i czytał co następuje:

Wierzbiany 186... Lipca.

„Drogi Synu!

Niepokoi mnie od dawna treść twoich listów, za nadto są one krótkie i obojętne, nie tak jak przystało dla syna, a mam na myśli, że musi być temu jakaś przyczyna, która cię odciąga od twego gniazda i każe szukać cudzych bogów po świecie. Otóż przypominam

ci obowiązki i zaklinam na wszystkie świętości, nie skracaj dni moich, które już i tak może są policzone u Boga, bo doktorzy mówią, że zdrowie moje chyli się ku upadkowi, przyjeżdżaj więc jak najspieszniej.—Urodza się u nas dobre. Panien wiele na wydaniu. Włościan na pewno mają uwłaszczyć, i wkrótce oczekujemy urzędowej wiadomości. Chociaż połowa ziemi blisko ma odejść od naszych Wierzbian, jednakże cieszę się z tego i uważam, że zmiana ta jest wywołana potrzebą czasu, a tego będzie nam dosyć, co pozostanie, aby Bóg najwyższy dał mnie tylko zdrowie. Przyjeżdżaj jak najprędzej do domu mój synu drogi: ja stary i słaby, a nasze gniazdo potrzebuje lepszego i młodszego gospodarza ode mnie. Bądź zdrow.

Twój Ojciec."

List pomimo silnego wewnętrznego wzruszenia ojca, kiedy go pisał do syna, był jeszcze dosyć umiarkowany; Sędzia, choć stanowczo ale jeszcze łagodnie przemawiał do uczuć swego jedynaka.

Ludwik przeczytawszy list zatrzęsł się, krew mu uderzyła do głowy, pociemniało mu w oczach, nie wiedział co ma dalej czynić—czy dla widoków kastowych ojca, wyrzec się miał najlepszych uczuć młodzieńczych, które z latami i tak wystygają i człowieka zubożniają do wszystkiego, lub też poświęcić dla jego spokoju swoje szczęście, Maryi i jej rodziców,—sam nie wiedział. Rozwiązanie tego zadania było zbyt trudnym. Znając charakter ojca, wiedział o tém dobrze, że doprowadzając do skutku zamiar ożenienia, na prześlągnięcie jego wtenczas liczyć już nie może. Tak rozmyślając odchodził prawie od przytomności, lecz poznawszy pismo

Kazimierza na kopercie—jakby ostatnia deska ocalenia mu się nasunęła. Kiedy rozpieczętował list, to nadzieja zabłysła na jego twarzy. Kazimierz pisał:

Lukiszki 186... Lipca.

„Ludwiku!

List twój mnie przeraził. Czyż miłość, przypuszczam nawet i godna ciebie, miałaby zniszczyć wszystkie nasze nadzieje pokładane w Tobie w przyszłości. Nie ludź się prózną nadzieją, bo ojciec Twój, o ile go poznałem, jest dla swoich dzieci surowym i nieubłagany i nie przystanie nigdy na twoje ożenienie. Nie tylko że wyrzeknie się ciebie, ale jeszcze może wydziedziczyć, a więc pozostaniesz tułaczem, wtenczas kiedy mogłeś być obywatelem kraju, pożytecznym członkiem społeczeństwa. Kraj nasz ubogi i ciemny, potrzebuje ludzi do pracy, którzy rozporządzają i materjalnymi środkami, a ty dla dogodzenia swoim chwilowym, egoistycznym popędem, pozbawiasz kraj zacnego ziemianina. Czemu nie zastanowisz się nad stanem naszego włościanina, który pozostaje w ciemnocie i potrzebuje opieki.—Smutny stan okolicy. Starzy choć są ludźmi dawnych pojęć, wyznają przynajmniej pewne zasady; ale młodzi żadnych nie mając, tracą i marnują fortuny. Gdzieś się podziały te słowa, któremi napelniałeś swoje długie listy do mnie, że kochasz Litwę i żyjesz dla ludu. Ludwiku, upamiętaj się, co czynisz? Nie bądź odstępca naszej sprawy świętej. Odpisz i przyjm moje rady przyjacielskie.

Twój Kazimierz."

W końcu listu był przypisek.

„Drogi Braciszku! Z listu do pana Kazimierza pisanego, dowiedziałam się o twoich zamiarach. Ojciec od niejakiego czasu niezdrów, zmieniony do niepoznania i zmartwiony czegoś; nikt nie może do niego przyjść jak dawniej i pomówić, wszystko go gniewa i irytuje. Zauważyłam, że stan ojca znacznie się pogorszył od czasu otrzymania listu twego ostatniego do pana Kazimierza pisanego, z czego wnioskujemy, że ojciec musi coś wiedzieć o projekcie twoim i tём się niepokoi. Wracaj do nas. Babcia zdrowa i często o tobie wspomina. Nie uwierzysz jak u nas teraz głucho i smutno. Całuję cię po tysiąc razy braciszku drogi. Twoja siostra
Elżbieta.”

Ludwik przeczytawszy list, nie uczuł żadnej ulgi w swoich moralnych cierpieniach, przeciwnie był jeszcze więcej zgnębionym, nie otrzymawszy najmniejszego współczucia, a tylko nielitościwe wyrzuty i zaklinania jak od ojca tak i od najlepszego przyjaciela. Starał się choć na chwilę zapomnieć i nie myśleć o tём, co go tak srodze bolało, ale nie mógł; zlorzeczył sam sobie mówiąc:—Czemuż nie urodziłem się lepiej prostakiem, wyrobnikiem, on szczęśliwszy ode mnie, ma swobodną wolę, na nim nie ciąży żadne obowiązki w świecie. Ojcowie takich ludzi nie mają szlacheckich uprzedzeń i przesądów.

Wieczorem tegoż dnia zmęczony Ludwik poszedł odpocząć i pokrzepić się na duchu do Macury. W tym domu wówczas panowała radość ogólna, tylko sam Macura był czegoś smutny i zamyślony. Za przybyciem Ludwika wszyscy go powitali, jakby swego kre-

wnego, po kilka razy całując. Borówka uściśnął go serdecznie, łyż mając w oczach i cieszył się tём, że on zamieszka na Szlążku. Całe towarzystwo wesoło się bawiło, a Ludwik widząc wciąż na siebie spoglądającą Maryę, zapomniał o zgryzotach swoich i zdawało mu się, że świat cały powinna mu zastąpić owa rodzina, w której nie było fałszu ani obłudy, a tylko szczerość i prostota, nie mówiąc o saméj Maryi, która w tój chwili była dla niego aniołem.

Po dłuższej gawędzie nareszcie Macura poprosił Ludwika do drugiej stancyi, gdzie zapaliwszy świecę i zamknawszy drzwi za sobą, prosił go usiąść i zaczął z nim rozmowę. Ludwik cieszył się przed chwilą, że zapomniał o swoich biedach, a teraz przeczuwał znowu, że będzie musiał zetknąć się z rzeczywistością.

— Panie Ludwiku!—mówił do niego Macura poważnie—dowiedzieliśmy się dziś z żoną od naszój Maryi, że podobacie się sobie wzajemnie i że masz pan stały zamiar pojąć ją za żonę. Przeciw wam nic nie mamy; ale że należysz pan do rodziny szlacheckiej, a więc nie możemy być pewni jój na to przyzwolenia, bo my jesteśmy chłopci i nic więcej, lecz że kochamy nasze dziecko, tak jak was wasi rodzice, to bez zgody ich na to się nie zgodzimy. Bo Marya, gdyby została waszą żoną i weszła do rodziny bogatszej, to nie dozna tam szczęścia, będąc pomiataną przez nią, i będzie przez naszą niebaczność pokutować całe życie. Powtóre, my już sami gospodarować nie możemy, wolelibyśmy ażeby nasza jedynaczka pozostała tutaj, nie rozstając się z nami. Nakoniec jeszcze jeden warunek — nieco może drażliwy dla pana, ale u ludzi prostych na Szlążku jak my, stanowi on ważną podstawę małżeństwa. Córka

nasza posiada oprócz dobrego kawałka ziemi, gospodarki i inwentarza—co można będzie przy uproszonych świadkach ocenić, jeszcze piętnaście tysięcy reńskich w gotówce, z których dziesięć tysięcy pozostawiamy sobie na dożywocie, a od nich będziemy płacić procent za utrzymanie nas starych, bo nie chcemy być w zależności od dzieci naszych, choćby one były najlepszymi. Wyjaśniwszy o posagu naszej córki, chcielibyśmy teraz wiedzieć zażycie pańską, bo według nas, jej mąż przyszedł oprócz zalet osobistych, powinien mieć jakiś fundusz; a że pan mieszka w kraju tak odległym, potrzebowalibyśmy pewnej rękojmi i zapewnienia, jaką pan masz własność, lub co mu ojciec przeznaczył, albo przeznaczy. Inne zaś punkta, dotyczące się małżeństwa, jak śmierć córki naszej, lub jej męża, albo na wypadek rozvodu dla zapewnienia losu pozostałych sierot, napisze uproszony przez nas proboszcz.—Miłość panie Ludwiku — zawołał Macura, ściskając go za rękę—jest to tylko chwilowe uniesienie, ona nie daje rękojmi przyszłego szczęścia. Zresztą, oprócz tego, na świecie bywają rozmaite powody miłości, a my mając tylko jedno dziecko, nie możemy jej losu powierzać temu ślepemu trafowi, ale chcielibyśmy zabezpieczyć dla niej trwale szczęście. O tém wszystkiém napisz pan list do swego ojca, niech o wszystkiém wie i na zawarcie małżeństwa da swoją zgodę, a wtenczas pobłogosławimy was i pójdziecie do ołtarza wypełnić przysięgę zobowiązanej miłości.

Ludwik w czasie całej rozmowy z Macurą mienił się straszliwie, to czerwieniał, to bladł znowu i byłby może zemdłą, gdyby rozmowa jeszcze się dłużej przeciągnęła. Wymagania i warunki, jakie Macura podawał, były wypowiedziane jasno, dobitnie i bez ustępstw.

Macura widząc silnie zmienioną twarz Ludwika, powiedział:

— Widzisz pan, za chwilę nieprzyjemności dla stron obojga, okupujemy sobie spokój całego życia. Jeszcze jedno słowo, choć widzę, że to pana trwoży. Uspokój się pan, napij się wody, usiądź i nie bądź tak nerwowym jak kobieta.

Ludwik usiadł, napił się, znowu usiadł, a pot chłodny wystąpił na jego czoło. Macura tak dalej mówił:

— Jeszcze jedno słowo. Jeżelibyś pan chciał zaraz zerwać z nami, nie mamy do pana najmniejszej urazy—lepiej pierwiej, jak później. Marya posmuci się, popłacze, a w końcu zapomni. Jeżeliby z powodów od pana niezależnych, ożenienie tak prędko nie mogło nastąpić, to prosiłbym pana w domu moim nie bywać, bo córka moja będzie tracić i na opinii i na konkurentach, którzyby o nią myśleli na seryo. — To powiedziawszy, uściśnął Ludwika i dodał:

— Ale słabi i nerwowi u was tam ludzie.— To mówiąc, otworzył drzwi i wprowadził do drugiej stancyi wielce zmieszanego i zaniepokojonego Ludwika. Wszyscy goście zwrócili na jego zakłopotanie uwagę i nie wiedzieli czemu to mają przypisać; według nich powinien był się cieszyć, bo ma wziąć najpiękniejszą i najbogatszą dziewczkę w okolicy, a on się smuci—pewnie to takie zwyczaje w jego kraju, tak szeptali pomiędzy sobą goście obecni. Marya tylko zrozumiała wpatrując się w oczy Ludwika, powód jego zaniepokojenia i smutku.

Wszyscy goście prędko opuścili domek Macury. Ludwik powróciwszy do hotelu, noc całą chodził

po pokoju nie śpiąc, która mu się wydała wiekiem; Marya zaś nie śmiała zapytać ojca o Ludwika, co pomiędzy nimi zaszło, a tylko noc całą płakała.

VII.

Dom Sędziego nawiedziło nieszczęście; Szambelanowa zasłała nagle. Wezwano lekarzy. Najprzód przyjechał jeden stary lekarz, dawny przyjaciel ich domu; ten oznajmując o niebezpieczeństwie Sędziemu, zawezwał jeszcze dwóch innych na konsylium. Zjechali się lekarze, radzili z sobą długo, najpierw przy chorą Szambelanową, leżącą na wyniosłym staroświeckim łóżku, podtrzymywaną przez czterech lwów, które na głowach swoich je podtrzymywały. Nad łóżkiem był zawieszony baldahin z zielonego adamaszku, dziś już spłowiałego i starego, a w głowach łóżka wisiał obraz staroświecki, bardzo stary, N. Panny Ostrobramskiej, przed którym przed laty odbył się chrzest pani Szambelanowej.—Bo też ciekawy był to pokój staruszki; w nim były pozbierane pamiątki z całego jej życia. Pakowne kufry wypełniały pokój, a w szafach nadpsutych ze starości, odwieczne stroje leżały; na ścianach wisiało kilka mundurów szambelańskich ś. p. jej męża, a na nich poumieszczane były gwiazdy i wstęgi. Nad komodą umieszczony był krzyż dawniej roboty, a nad nim wisiała gromnica. Lekarze opuściwszy łóżko chorą, wyszli dla ostatecznej narady do innych pokoi,—idąc kiwali głowami, machali rękami, wzruszali ramionami i nic nie mówili. Sędzia, córka jego i cała służba dworska

z przestraczem spoglądali na ten milczący areopag mądrości. Z ich oczu i ruchów chcieli wyczytać dekret dla ośmdziesięciokilkoletniej staruszki — życia lub śmierci; patrząc jednak na nich, nie mogli nic wyczytać z ich twarzy i postaci. Po długiej naradzie na koniec, po zażyciu tabaki i utarciu nosów, powychodzili sędziowie ogłaszając wyrok śmierci. — Choroba to niebezpieczna—mówiono—jest to *marasmus senilis*, wyniszczenie przez starość i upadek sił zupełny—nic już pomoc nie może. Jednakże przepisali jeszcze lekarstwa i wyjechali. Na drugi dzień znowu powtórzyło się konsylium i po naradzie powtórzono to samo. Tegoż wieczoru staruszkę opuściły już siły, niemoc odjęła połowę korpusu, choć mowy jeszcze nie utraciła zupełnie i mogła jeszcze coś wymawiać niezrozumiale; posłano wtenczas po księdza dla udzielenia ostatnich sakramentów. Przyjechawszy Proboszcz, gdy wszedł i znalazł staruszkę tak słabą, gniewał się bardzo, że tak późno posłano po niego.

— Wzywaliście rozmaitych lekarzy, lecząc jej ciało, a zapomnieliście o duszy i o kapłanie, do którego udaliście się najpóźniej—wołał zagniewany Proboszcz.

Wszedł jednak do pokoju Szambelanowej, a pozamykawszy drzwi szczelnie, mówił, że chora go prosi chcąc z nim pomówić. Ksiądz usiadł przy konającą: zalecał jej poprawę z grzechów i pokutę, przypominając, czy nie zechce dla przebłagania Boga za swoje grzechy w przeciągu długiego żywota, zapisać coś na kościół i dla sługi jego. Dodajmy do tego, że ksiądz wiedział, iż staruszka miała kilkanaście tysięcy rubli, które ulokowała na majątku syna, pobierając od tej sumy pewny procent na utrzymanie siebie. Proboszcz mówił, namawiał, lecz

chora go już nie mogła słyszeć, twarz jęj była bez życia, oczy martwe, nieporuszające się, puls nie uderzał, a ciało było chłodne—Szambelanowa już nie żyła. Ksiądz uważając, że zapóźno robić jakiegobądź starania, przeklinał w duchu Sędziego, że go tak późno wezwał a siebie samego za to, że był opieszalym w wypełnianiu obowiązków kapłańskich; nie więc mu już nie pozostawało, jak pożegnać umarłą, namaścić Olejami, zakryć oczy i otwierając drzwi do drugiego pokoju, objawić rodzinie i zebranej służbie dworskiej, że Szambelanowa umarła, nakazując im zmówić trzy razy Anioł Pański.—Płacz wielki powstał pomiędzy domownikami, oq téż wszyscy bardzo staruszkę kochali. Jeden tylko Sędzia chodził smutny nie płacząc, ale zato na twarzy jego przebijał się żal nieukoiony i straszna rozpacz. Biedna Elżunia sama ubierała staruszkę po śmierci i z płaczem i łkaniem całowała jęj zimne ręce, a potem z rozkazu Sędziego powiadomiła Ludwika listem o śmierci babki.

Dwie całe doby trzymano umarłą w domu; w noccy włościanie śpiewali pieśni odpowiednie, mając jадła i wódki tyle, ile tylko żądali. Trzeciego dnia po otrzymaniu listów zapraszających, zjechało się na pogrzeb liczne sąsiedztwo, a nawet z okolic odległych. Z wieczora była eksportacya ciała do kościoła, a dnia następnego pogrzeb. Liczny orszak pogrzebowy przeprowadzał zwłoki Szambelanowej; modlono się i płakano, wygłaszano mowy i żałowano—wszystko za pieniądze, któremi hojnie dla uczczenia pamięci matki, Sędzia szawał. Pani Biegunkowa wiele okazywała współczucia, i choć nie proszona, zajęła się pogrzebem.—Sędzia bytniezdrow i zmartwiony, nie miał sił towarzyszyć smutnemu

obrządkowi, na którym trzy pobożne dusze z rozczulenia leżały jak nieżywe, i gdyby nie Kazimierz który zlał je wodą, nie wiadomo jakby to długo trwało—za co go do brze wyłajano i omal nie obito. Na pogrzebie szli wszyscy parami panowie i panie; Elżunia podała rękę Kazimierzowi, a potem całe towarzystwo zostało zaproszone na wspaniałą stypę do Wierzbiańskiego dworu.

W parę dni otworzono szafy i kufry staruszki, gdzie oprócz odwiecznych gratów, znaleziono pomiędzy papierami rozporządzenie, w którym Szambelanowa z pozostawionych przez nią piętnastu tysięcy rubli, przeznaczyła po pięć tysięcy dla Elżuni i Ludwika, a pozostałe pięć tysięcy, dla wszystkich bez wyjątku domowników, stosując się do rodzaju służby, wieku i zasług. Z téj sumy przeznaczyła także na kościół i dla księży po rs. sto, obowiązując ich, ażeby modlili się za jęj duszę przez lat kilka i kilka miesięcy.

We dwa dni potem Elżunia pisała znowu do brata z polecenia ojca, donosząc o smutku, w jakim spędzają dnie całe, i uwiadamiając o przeznaczonych pieniądzech przez babkę,—prosiła brata o prędkie przybycie.

W plebanii po pogrzebie zaszła przykra scena. Proboszcz, dowiedziawszy się o rozporządzeniu staruszki i o jęj zapisie na kościół i dla obu księży w równęj kwocie po rubli srebrem sto na mszę, narzekał i łajał nieboszczkę Szambelanową za jęj bezbożność, niesumienność i niewdzięczność, a ks. Janowi przy téj okoliczności, jako żywemu, jeszcze się więcéj dostało, do czego zresztą był aż nadto przyzwyczajonym i mówił zwykle, że kochając rodzinę, przyjaciół i kątek rodzinny, na którym chciał pracować, trzymał się tego probostwa

i znosił z godną podziwiania cierpliwością i spokojem krzyż Pański.

VIII.

Nadszedł rok 1861. Któż z nas nie pamięta owego roku pamiętnego w dziejach naszego ludu, w którym on odzyskał prawa obywatelstwa i wyszedłszy z pod tyłowiekowego ujarznienia i niewoli, powołany do życia, stał się nagle człowiekiem. Miliony nowych obywateli nam przybyło, a jak nasza szlachta nowy ten wyrąb w jej prawach przyjęła, to rzecz historyi; powiem tylko, że uwłaszczenie włościan, jak każdy nowy zwrot w życiu społecznym, wywołało nie jedno smutne westchnienie za lepszymi czasami poddaństwa, lub lżę radośną do lepszej przyszłości.—Inaczej być nie mogło. Mówiono i pisano tylko o tém.

W domu Sędziego panowały cisza i smutek: jednę staruszkę tylko nie stało, a zabrakło życia w całym tém ognisku, przedtém tak patryarchalnym i harmonijnym.

Było to wieczorem w jesieni; wiatr i chłód przejmujący wkradał się przez szczeliny starego domu a w komnatach był nielitościwie, opadały żółte liście na ziemię, łamały się gałęzie drzew starych, które spadając z łoskotem i obijając się o okna domu, niemiłe sprawiały wrażenie. Choremu gospodarzowi domu, zapadającemu na zdrowiu coraz więcej, ten świst wiatru z deszczem w dzień jesienny wydawał się wróżyć jemu i jego domowi prędki upadek. Sędzia był w swoim pokoju; siedząc na łóżku oparty jedną ręką o poduszkę, pod-

trzymał swą siwą głowę wpatrując w palący się ogień na kominku. W pokoju panowała cisza, tylko w kącie wiszący stary zegar wymierzał czas nielitościwie. Zdrowie Sędziego chyliło się z dniem każdym ku upadkowi a temu nie mógł zaradzić żaden ze sług eskulapowych tamtejszej okolicy, u których Sędzia rady zasięgał; wiedział, że cierpi na chorobę nieuleczoną, co go jednak nie przestraszało. Dawniej lubił Sędzia częste pogadanki przyjacielskie przy kielichu starego węgryna i wylania się ze swemi projektami w kółku rodzinnym; dziś zaś znudzony i zbolący, unikał prawie ludzi a schorzała postać jego mogła tylko obudzić w każdym współczucie. Patrząc na te chude i blade policzki, zapadłe oczy, czoło zorane licznymi zmarszczkami — mogłeś wyczytać na jego twarzy silne cierpienia tak moralne jak i fizyczne, które miały zabrać ostatnie siły i przyspieszyć zgon strudzonego starca. Choć schorzała była to postać, a jednak było tyle sympatycznego wyrazu w tej napiętnowanej szlachetnością i pięknnością twarzy starca, którego nie zatarły ani czas, ani cierpienia. Charakter Sędziego jednak od czasu choroby znacznie się zmienił, stał się podejrzliwym i niedowierzającym nikomu.—Jak mogę komu ufać i dowierzać—tak mawiał sam do siebie nieraz — kiedy dzieci moje własne mnie opuściły i zdradziły; — a smutny i zamyślony oddalał się od rodziny pod pretekstem niezdrówia i zamykał się najczęściej dla pozostawiania w swoim gabinecie.

Dla towarzystwa córki po śmierci Szambelanowej, Sędzia sprowadził daleką krewną z Kijowa, wdowę po urzędniku, panią Stasiewiczową, kobietę już niemłodą, z dwojgiem dzieci: synem dwunastoletnim i córką lat

dziesięciu, z warunkiem, że przyjmie do jęj dzieci nauczyciela, aby z niemi mógł mieszkać na wsi. Otóż opierając się na tęg umowie, pani Stasiewiczowa, przywiozła z sobą nauczyciela do dzieci, byłego studenta uniwersytetu Kijowskiego, Jarosława Niemierowskiego.

Od czasu śmierci Szambelanowęj, Sędzia córkę widywał bardzo rzadko, najczęściej płaczącą po niedawnęj stracie babki, która ją bardzo kochała i zastępowała miejsce matki. Ojciec, choć ukrywał swoje nieukontentowanie względem córki, jednakże to nie mogło ujść bacznej jęj uwagi, że rzadziej z nią mówił i zawsze krótko i nie tak ją pieścił, jak bywało dawniej. Elżunia sama często przybiegała do ojca, śmiała się do niego, chcąc go rozweselić, pieściła się z nim, ale ojciec wciąż bywał nachmurzony i nierad. Biedna dziewczyna—mocno to ją bolało, płakała często, użalając się przed panią Stasiewiczową i przyjaciółkami swemi nie mogąc odgadnąć ojcowskiego gniewu, lecz w końcu takie postępowanie ojca przypisywała chorobliwemu nastrojowi jęgo usposobienia.

Do Ludwika po śmierci Szambelanowęj Sędzia więcej nie pisał, kazał tylko córce — jak wiemy z poprzedniego — parę listów napisać i z dnia na dzień oczekiwał z niecierpliwością przybycia syna; lecz nie doczekawszy się przez parę miesięcy, stracił już nadzieję ujżenia go.—Ludwik pisał do ojca kilkanaście razy, ale nie otrzymał odpowiedzi. Pisał o swojej miłości, która go zatrzymuje na Szlázku, a potem pisał, że kocha Maryę i za nic w świecie jęj nie porzuci, i że się z nią ożeni. W końcu listów od syna wcale nie czytał, lecz po przekonaniu się po adresie, że od niego pochodzą, rzucał w ogień palący się na kominku, który je pochła-

niał. Rozmowy unikał i nie lubił; jeżeli kto o synu wspominał, czasami tylko odzywał się: „nie mam syna.”

Kazimierz rzadko teraz bywał u Sędziego, przekonawszy się, że go zbyt oziębłe przyjmuje; ale wynagradzał to sobie często bywając u pani Stasiewiczowęj, dla której z synami przeznaczona była oficyna na pomieszkanię, gdzie się spotykał często z Elżunią, która przed nim uskarżała się na rozmaitego rodzaju nieprzyjemności, jakich doświadczała w domu. Kazimierz natomiast mówił jęj często o Ludwiku, do którego często pisywał, doradzając mu zaniechać ożenienia a powrócić w ojczyście strony; Ludwik jednak nie chciał usłuchać rad przyjaciela i korespondencyą pomiędzy nimi stawała się coraz rzadszą i mniej serdeczną. Jedna tylko Elżunia korespondowała częściej z bratem, a będąc zupełnie neutralną co do jęgo spraw sercowych, mogła pozostawać w braterskich stosunkach. Ks. Jan także nie bywał u Sędziego. Przyczyną temu był Proboszcz, który mu wszędzie psuł opinią, a nawet parę razy oskarżał przed biskupem, lecz ten nie znalazłszy żadnego występkę, kazał się pogodzić obu stronom zwaśnionym, objawiając przytém, że jeżeli coś podobnego się powtórzy, to tak Proboszcza, jak i Wikarego przeniesie do innych parafii, co nie na rękę byłoby Proboszczowi, a więc nic mu nie pozostawało, jak siedzieć spokojnie i zgadzać się z wolą Bożą. Proboszcz jednak i w tęg dopiął swego celu i przez samo zaskarżenie skompromitował Wikarego w oczach parafian, a przez to i te małe stosunki, jakie miał ks. Jan w sąsiedztwie, stały się bardzo naprężonemi. Proboszcz przedstawiał go wszędzie z jak najgorszej strony, siebie w tym razie podnosząc. Brzuchalska tęg prześladowała ks. Jana i morzyła głodem; dewotki

małomiasteczkowe pisywały do niego anonimne listy, arcybractwo dusz pobożnych prowadziło intrygę przeciw niemu też na swoją rękę, tak, że biedny księżyna staczać musiał walki na wszystkie strony.

Pomimo tego, że Proboszcz był także chłodno przyjmowany przez Sędziego, jednakże na to nie zwracał uwagi, i do niego jeździł, choć dziesięciny otrzymywał mniejsze, jak dawniej. Razu pewnego postanowił to wymówić Sędziemu, że o Bogu zapomniał i że to Bóg go karze, zsyłając obłęd na dzieci. Sędzia tłumaczył się tępem, że teraz są złe lata, że będzie musiał znaczne ofiary ponieść dla ludu, jeżeli nastąpi uwłaszczenie, — przykładając się do założenia szkół, czytelní, banków, i t. d. i że jego zdaniem, powinno to wychodzić z inicjatywy obywateli, którzy powinni przyjąć na siebie obowiązek przewodniczenia ludowi.

Na co Proboszcz rozniewany odpowiedział: — U was zawsze tak: dla ludu, dla ofiarności, dla publiczności, a dla Pana Boga nie ma nic.

Od tego czasu stosunki pomiędzy nimi stały się bardzo naprężonemi.

Panie Hrabina, Marszałkowa i Biegunkowa — owa śmietanka towarzyska okolicy, także rzadko nawiedzały dwór Wierzbiański, raz dlatego, że panie te w obecnym czasie były bardzo zajęte zreformowaniem „stowarzyszenia dusz pobożnych”, a powtóre, może i dlatego, że je tam niebardzo zapraszano.

Jednym słowem, że dom słynący jeszcze tak niedawno z gościnności swoich gospodarzy, dziś był ponury i pusty, i jeżeli kto do niego zbaczał, to chyba jakim trafem, lub okolicznością niezwykłą.

Sędzia rzadko kiedy wychodził ze swego gabinetu, czasami tylko na obiad zjawiał się w sali jadalnej. Najczęściej dnie całe spędzał na łóżku, leżąc i odczytując gazety, które mu co rano przynoszono. Czasem tylko z przyjazdem jakiego sąsiada, ożywiał się nieco i z energią rozprawiał o sprawach bieżących.

W tym czasie został ogłoszony Najwyższy manifest o uwłaszczeniu włościan. Obiegał on wszędzie po sąsiedztwie; chwytało i czytano gazety, mówiono i dysputowano o tępem, jako o fakcie spełnionym; rozjeżdżały komisye w tym celu urządzone i interesowano się tępem, jak każdem nowém prawem, wchodzącem w życie.

Sędzia, pomimo tego, że był potomkiem starego rodu szlacheckiego i właścicielem ziemi, poznał jednakże całą doniosłość nowej reformy, którą oddawna przewidywał i o nią w swęj wzniosłej duszy marzył. Nie jeden ze szlachty rozprawiając dawniej z Sędzią o pogłoskach dotyczących się uwłaszczenia, dodawał: — Ależ to, panie Sędzio, choć rzecz piękna i chwalebna, lecz niemożliwa do spełnienia — to przecież zamach na naszą tradycję świętą i kieszeń szlachecką.

A Sędzia go przekonywając, mówił: — Nic w tem nie widzę nieprawdopodobnego, szanowny sąsiedzie, owszem widzę sprawiedliwość wymierzoną ludzkości, a my uprzedzając ową wielką reformę, powinniśmy przygotowywać nasz lud do niej, przez podniesienie oświaty i dobrobytu. Tradycja w tym względzie nie powinna nam szkodzić, lecz owszem pomagać do ofiarności. — Takie to były słowa przez Sędziego powtarzane, przy których teraz dodawał: — Gdybym dziś jeszcze był nieco młodszym, to inaczejbym postępował, niż

mój syn, za wiedzioną tą moją nadzieją—lecz mnie brak zdrowia i siły.

IX.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus—zawołał z litewska stary gospodarz Ptaszyński, jeden z najmniejszych, wchodząc do mieszkania Kazimierza.

Kazimierz na przywitanie uściśnął serdecznie spracowaną dłoń starego gospodarza i mówił: „siadajcie kumie“, podał mu krzesło.

— Bóg wam zapłać, panie Kazimierzu. Wy jesteście prawdziwą Opatrznością, jaką Bóg do naszej biednej wsi zesłał. Wspieracie nas dobrą radą, nie wstydzicie się z nami obcować, choć więcej znacie i umecie od nas prostych chłopów, a rada wasza nieraz i nam starym ludziom zdać się może.—Tak mówił stary Ptaszyński skrobiąc się w głowę.

— Cóż tam za kłopot kumie macie? Chory kto? bydlę pada? lub może do nauki kogo mi przyprowadzacie?

— Ani jedno, ani drugie. Ale kiedy swobodę z łaski Najjaśniejszego Pana wszystkim darowano, trzeba pomyśleć, ażeby ją na dobre użyć.—Wyczytałem z książek, któreście ostatnią razą mnie dali, o nowych kasach, gdzie to ludzie pieniądze zaoszczędzone mogliby składać. Otóż przyszło mi na myśl, że dobrze byłoby takie banki czy kasy pozaprowadzać i u nas. Ileż to mój Boże zapracowanego grosza marnie idzie. Każdy z chłopów, widząc, gdyby wiedział, że może jakie kilka groszy zaoszczędzić i złożyć, toby się o to starał.

Pijaństwo już nasz Maciej ¹⁾ przekroczył przez założenie bractwa wstrzemięźliwości, ale trzeba grosza, który traciliśmy na wódkę, schować i umiejętnie go użyć, wtenczasbyśmy nie mieli tylu ubogich, żebrzących pomocy na starość.

— Macie słuszość, panie Ptaszyński — odrzekł mu Kazimierz—myśl wasza bardzo jest piękną, podzielam ją w zupełności; będziemy się starać, ażeby ją skutecznie. Dotąd u nas zapracowany grosz szedł do karczmy żydowskiej, albo leżąc bezużytecznie w schowaniu, lub gdzie zakopany, nikomu korzyści nie przynosił, a często przechodził w ręce jakiego oszusta i najmniej przynosił pożytku właścicielowi, który go zdobył krwawą pracą. Myśl podobna o założeniu kasy, dawno mi przychodziła do głowy, ale nie byłem pewny, czy się na to zgodzą inni, trzeba pierwsi ich przygotować, ażeby mieli do tego projektu zaufanie, a wtedy dopiero w czyn go wprowadzić.

— Szkółka nasza dobrze idzie — przerwał mu gospodarz — wam i to także zawdzięczamy panie Kazimierzu, bo z przeszłej zimy i moi chłopcy wiele skorzystali z nauki—czytają dobrze i piszą, a książki, jakie im dajecie, chętnie czytają w dniu świątecznym. Bieda nam tylko z panem Sędzią. Powiadają, że źle mu bardzo. Czy słyszeliście co o nim?

— Źle, źle—odrzekł Kazimierz z westchnieniem.

— Oby Bóg Najwyższy lata jego przedłużył — podnosząc ręce do góry, wołał wzruszony gospodarz,

¹⁾ Biskup Wołoncewski, przed kilku laty zmarły, jedna z najpopularniejszych osobistości na Litwie pomiędzy ludem.

lzy mając w oczach.—A o Ludwiku co słyhać, kiedy przyjedzie?

Kazimierz nic nie odpowiedział a tylko zamyślając się, na dół smutnie spuścił głowę.

Gdy tak siedzieli gwarząc z gospodarzem, posłyszeli czyjeś stąpanie w sieni i do pokoju weszło dwóch gospodarzy ze wsi sąsiedniej. Starszy z nich, wysokiego wzrostu, z szumiastym czarnym wąsem, w granatowej sukmanie, wyglądał na dworaka, młodszy zaś, niskiego wzrostu, krępy, z rudym niewielkim zarostem na twarzy, był widocznie zawołanym gospodarzem i jak wszyscy wieśniacy, oprócz swojej zagrody, nie widząc innego świata, wszedłszy do pokoju Kazimierza, lękliwe dookoła rzucił spojrzania.

Starszy, nazwiskiem Butkos, pozdrowiłszy Kazimierza zwykłym: Niech będzie pochwalony, zaczął go prosić, aby tenże pomiędzy nim a szwagrem jego Burmosem rozsądził sprawę, i że oni słysząc o dobrych radach, które Kazimierz ludziom udziela, uradzili zdać się na jego sąd.

— Bardzo dobrze, moi kochani—odpowiedział im na to Kazimierz—siadajcie i powiedzcie mi, o co rzecz idzie, a jeśli wam moja rada przydatną będzie, to skorzystajcie z niej, jak zechcecie.

— Proszę was—zaczął Butkos pokręcając wąsa—ten oto — rzekł wskazując na Burmosa — jest moim szwagrem; ja zwykle służywałem po dworach, nie z jednego pieca chleb się jadło, różnie, i źle i dobrze bywało, do Tylży nawet kilka razy odwoziłem drzewo, choć Bogiem a prawdą powiedziawszy, o małym tam życia nie postradał; jak nas burza napadła, o włos, że tratwy na dno nie poszły, ale dzięki Bogu, niebezpie-

czeństwo minęło i dotychczas żyw jestem. Więc proszę pana, po śmierci nieboszczyka mego ojca, nieśpieszno mi było odbierać na siebie naszą zagrodę i pozwoliłem temu oto człowiekowi, mężowi méj siostry, gospodarować w domu, a teraz proszę pana, ożeniłem się, uciulało się trochę grosza i chce się spocząć pod własnym dachem na starość; powiedziałem po powrocie, tak siostrze, jak i Burmosowi, aby opuścili zagrodę, dając im odstępnego kilkadziesiąt rubli, a on ani chce słyszeć i mówi, że od połowy nie odstąpi, że żona jego jest tak samo dzieckiem ojca mego Wojciecha Butkosa, jak i ja, i że skrzywdzić się nie da. Czyż to z krzywdą jego, proszę pana? Czyż do córki ojcowizna co należy?

— Proszę panicza — odezwał się nieśmiało Wincenty Burmos, mnąc czapkę w rękę — moja żona i ja przez lat kilkanaście pracowaliśmy ciężko i w pocie czoła na ten kawałek chleba, — tam wszystko było spustoszone, chata się zawaliła, postawiliśmy nową, starego ojca utrzymywaliśmy do końca, wtedy, kiedy on i grosza staremu nie dał, a w chorobie ostatniej starego, na doktora i na aptekę nie mało poszło.

— To cóż — przerwał Butkos — dawaliście może tam cokolwiek, a zaprzeczyć nie możecie, żeście i dochód jakikolwiek mieli — cztery morgi, to było na czém gospodarować.

— Przecież ojciec wasz nieboszczyk—odezwał się Burmos—nie miał żadnego dobytku; wszystko co było, to karczma zjadła a Moszko arendarz nie mało się pożywił; własnymi pieniędzmi musiałem podźwignąć gospodarke i co miałem zapracowanych sto rubli, to musiałem za nie konie kupić, reszty już jakoś dorobiłem się namozoliwszy co nie miara, — i mnie teraz, proszę pa-

na mają na starość wyrzucać z zagrody, na której tyle pieniędzy i czasu straciłem?

Kazimierz słuchał uważnie, ani słowem nie przerywając mówiącym, a gdy przestali, smutnie pokiwał głową i rzekł:

— Przykro mi nawet słuchać, panie Butkosie, że tak stateczny człowiek, jak wy, taką wielką niesprawiedliwość chce wyrządzić i komuż? — swojej rodzonej siostrze, dziecku jednej z wami matki, której nawet żadne prawo ludzkie ani Boskie odsądzić od połowy dziedzictwa nie może.

— Proszę pana — przerwał mu Butkos — myśmy się już sądzili i to nieraz, a w zeszłym tygodniu rozbierali tę sprawę kilku naszych sąsiadów i jednogłośnie mnie słuszność przyznają, u nas to nawet nie słychać, żeby się kto z siostrą dzielił majątkiem.

— Jeżeli nie chcecie słuchać mojej rady, to pocście przyszedli? — zapytał Kazimierz.

— Niech się pan nie gniewa — rzekł zafrasowany Butkos, — my jesteśmy ludzie prości, z książek rozumu nie mamy, a jak nasi dziadowie postępowali tak i my też chcemy postępować...

— Tém bardziej, że to się zgadza z waszym interesem — wstydzicie się nawet tak mówić; a jeźliby dziad wasz lub pradziad się powiesił czyż i wy podążylibyście za nim na gałęź? — Dobrze to jest w dobrém iść za przykładem przodków, ale korzystać z ich błędnego sposobu zapatrywania się, aby kogoś skrzywdzić — to jest niegodne uczciwego człowieka — zawołał z oburzeniem Kazimierz.

— Święte słowa pana Kazimierza — odezwał się milczący dotychczas Ptaszyński — podajcie sobie

bracia ręce do zgody, podzielcie się po połowie ojcowizną i niech wam Pan Bóg szczęści.

— Jakże ja mam oddawać jemu połowę mego gruntu, i ja mam dzieci — powiedział Butkos.

— A myślicie, że wam Pan Bóg poszczęści i dzieciom waszym pobłogosławi, — na ludzkiej krzywdzie nigdy korzyści mieć nie będziecie; lzy waszej siostry kamieniem wam ciążyć będą i prędzej biedę niż dobro wam przyniosą — zawołał Kazimierz.

— Proszę pana, cofnijcie te słowa, rzekł Butkos — ja to nie od tego jestem, żeby dla siostry coś zrobić, ale moja baba nie chce słyszeć o tém i okrutnie mnie złaje, jeśli ustąpię.

— Taki mężczyzna, jak wy, żebyście na babskie gadania zwracali uwagę, to nawet nie miło słuchać — powiedział Ptaszyński.

— Mój Boże! nie wiem nawet co robić? — wahać się rzekł Butkos. — Wiecie co, szwagrze, pogódźmy się i koniec, sprośmy sąsiadów i niech nas podziela.

— Niech wam Bóg za to nagrodi — rzekł Burmos, schylając się szwagrowi do kolan — i wam także, panie — obrócił się do Kazimierza i ucałował jego rękę. — Oby Bóg nam zsyłał więcej takich ludzi, którzy sprawy nasze do serca biorą i ratują w potrzebie biednych ludzi.

— Ja sam jestem dzieckiem ludu, i nie ma dla mnie większego szczęścia od pomyślności moich współbraci — rzekł wzruszony Kazimierz.

— Dzięki ci panie, żeś nie dopuścił, abym popełnił niesprawiedliwość i aby lzy skrzywdzonych na moje dzieci padały; niechaj ci Bóg błogosławi — wołał Burmos do nóg się kłaniając. — No, szwagrze, póra nam

do domu, a jeśli nasze baby nas tak w zgodzie zobaczą, o, to się żdziwią; a jeśli moja mi zanadto język rozpuści, to dam jej ze dwa kulaki i będzie cicho.

Dwaj szwagrowie pogodzeni, podążyli do domu, Ptaszyński także, a Kazimierz został sam z wypogodzonym czołem, szczęśliwy, że dzień ten pożytecznie spędził i przyczynił się choć w części do pomyślności i spokoju swoich współbraci.

X.

Sąsiedztwo obywatelskie w okolicy podzielone było w tym czasie na dwa przeciwne z sobą rywalizujące obozy, białych i czerwonych. Nienawiść obu dochodziła do wysokiego stopnia. Przedstawicielką pierwszych była pani Biegunkowa i dom jej, a za moralną siłę i spójnię służyło im „stowarzyszenie dusz pobożnych”. Przedstawiciela swego przeciwny obóz nie miał, lecz najkrańcowszym ze wszystkich był Jarosław Niemierowski.—Czerwoni założyli stowarzyszenie noszące tytuł „braterstwo z ludem”, które posiedzenia swe odbywało w oficynie wierzbiańskiej, gdzie się lokowała pani Stasiewicz. Oficyna ta była oddaloną od głównego domu o jakie paręset kroków, przedzierał ją ogród, a przez to była mało widzialną dla mieszkańców dworu i Sędzia bardzo mało mógł wiedzieć, co się w niej działo. Proboszcz jednak zwracał kilka razy na to jego uwagę, lecz Sędzia odpowiadał na to, że bardzo się cieszy, jeżeli młodzież czas pożytecznie spędza. Mieszkańcy oficyny nie prowadzili osobnego domu; lecz mu-

sieli bywać na obiadach w wielkim dworze, a kolacyą im przynoszono. Elżunia czas wolny spędzała najczęściej w oficynie, w której codziennie zbierało się kilka osób dla decydowania wielkich kwestyi dotyczących się ustroju społecznego i oświaty ludu, w dnie zaś niedzielne lub święta uczono tam czytać i pisać przychodzące wiejskie dzieci.—Wszystko to się odbywało w szczupłych trzech pokojkach, gdzie się pomieszczali matka z dwojgiem dzieci i nauczyciel. Jak już wiemy, zadaniem owego stowarzyszenia była oświata ludu, propaganda pomiędzy nim w imię prawdy i nauki, zakładanie szkółek, czytelników i tym podobne instytucje, dobro i szczęście ludu mające na celu. Program stowarzyszenia jak widzimy, był bardzo obszerny. Powstało ono z ziarn rzuconych uprzednio przez Kazimierza, ks. Jana i Elżunię, którzy byli śledzeni przez swych przeciwników z wielką skwapliwością; ci sami dawni założyciele cieszyli się, że myśl przez nich rzucona, tak pomyślnie się rozwija. Teraz ani panie, ani Proboszcz nie mogli w niczem przeszkadzać lub skarg znosić i protestować, a więc dali za wygraną. Najbardziej był zajęty około tej sprawy, jak już wiemy, Jarosław. Dla poznamienia z nim czytelników, nadmienię, że miał lat dwadzieścia trzy, był przystojnym młodzieńcem, brunetem, wysokiego wzrostu, z dużą czarną brodą, oczy miał czarne, duże i wyraziste, silną budowę ciała. Ruchy jego były rubaszne i nieco gburowate.—Jarosław Niemierowski był rodem z Ukrainy, gdzie ukończywszy szkoły, postąpił na uniwersytet kijowski, w którym przez lat parę przebywał. Młoda, dzika i namiętna natura Jarosława niezmiernie się różniła od spokojnego i rozważnego charakteru młodzieży litewskiej. Jarosław był synem ubo-

gich rodziców, oficyalistów u jednego z największych panów Ukrainy. W dzieciństwie przeżył on niemało przykrych wrażeń,—w domu widział służalstwo ojca i uciemiężenie biedniejszych, i powziął jeszcze w dzieciństwie nienawiść do możnych, zazdrościł jeżdżącym w powozie i lepiej odzianym od niego, czując do nich wstręt i urazę. Po ukończeniu szkół, Jarosław postąpił na uniwersytet kijowski, jedyny może w owym czasie, który najzupełniej odpowiadał przejściowemu usposobieniu młodzieńca radykalno-demokratycznemu. Pomimo nieświetnych zasług w nauce i oświacie, uniwersytet kijowski w przeciągu swego istnienia na gruncie ukraińskim bez tradycji i przeszłości, mógł łatwo rozsiewać ideje, których ofiarą stało się niemało młodzieży, ale bez zaprzeczenia położył on zasługi, rzuciwszy ziarno demokratyzmu, co wywarło pewny wpływ na społeczeństwo szlacheckie w przyszłości. Niedawne jeszcze te czasy, kiedy synowie arystokracji nakładali siermięgi ludowe i szli do chat wiejskich, chcąc podnieść lud, w pośród którego żyli aby zlać się z nim w jedno. To uczucie tak czyste i szlachetne, mające w zasadzie braterstwo i równość, propagowała młodzież kijowska. Większość szlachty spędzającej czas przy kartach, lub wśród licznej dworni pieczeniarzy, kozaków, psów i koni, jeżdżąca hucznie i dwornie do miast, lub zagranicę, gdzie marnotrawiła tysiące, nie wiedziała co ten zwrot znaczy, przebudziła się wtedy dopiero ze snu, kiedy spostrzegła, że odebrano od niej część ziemi, że dochody znacznie się zmniejszyły, że pracę człowieka trzeba wynagradzać, a za dopuszczenie się krzywdy nad biedniejszym, trzeba odpowiadać stojąc przed trybunałem sądu. Wtenczas chwycono się do poprawy

i używano wszelkich możliwych środków, ażeby naprawić to, co było uświęcone wiekami, ale już było zapóźno. Chłop tak łatwo nie mógł zapomnieć krzywdy swojej, bo nienawiść tę wyssał był z mlekiem matki—nienawiść do panów przechodziła z ust do ust przez podania kilku pokoleń, jakże ją mogła zapomnieć masa pod wpływem propagandy kilkotygodniowej uniwersyteckiej młodzieży, która z młodzieńczym zapalem i zaparciem siebie godnym podziwienia, około tego pracowała. Byli pomiędzy nimi i tacy, którzy ulegli więcej wpływom czasu jak przekonaniom, a potem prędko przy innych okolicznościach je zmienili. Lud przyjmował te poświęcenia albo oziębło, albo, jak to bywało w niektórych miejscowościach, uważał propagandę za rzucenie się na ich swobodę i pastwił się nad nieszczęśliwymi męczennikami idei, — związywano ich nieraz i odsyłano do urzędu, jako burzycieli publicznego porządku.

Jarosław na uniwersytecie był w pierwszym roku na wydziale filologicznym, a w drugim przeszedł na fizyczny. Na lekcye rzadko kiedy uczęszczał, a dnie całe najczęściej przepędzał w mieszkaniach kolegów dla porozumiewania się w sprawie ludowej, jak ją wtenczas nazywano—lecz nie z ludem a ze studentami. Bo więcej mówiono na zebraniach studenckich, na których proklamowano okolicznościowe wiersze i płakano nad niemi, niż w obec ludu.

Było to na początku kwietnia, podczas wakacy szkolnych. Studenci zbierali się codziennie na narady gdzie mówiono wiele o sprawach publicznych, i każdemu z obecnych tam zdawało się wtenczas, że jest na tyle silnym iż może wstrząsnąć całym światem. O nie-

powodzeniach owęj propagandy nikt nawet nie pomyślał. Na jedném z ostatnich zebrań, postanowiono wysłać swoich członków na wieś dla rozpowszechnienia idei równości i braterstwa. Każdy mógł wybierać miejsce i jechać dokąd chciał, i studenci rozchodzili się w rozmaite strony. Jarosław poznał wtedy w Kijowie panią Stasiewiczową, która będąc biedną wdową z dwojgiem dzieci, utrzymywała się ze stołowania studentów, a będąc naocznyim świadkiem ich rozmów i narad w czasie obiadów, wtajemniczyła się w te sprawy. Pani Stasiewiczowa była to kobieta oddana pracy dla zarobku kawałka chleba dla swoich dzieci, i pomimo lepszej przeszłości, której zaznała za młodu, dziś zgadzać się musiała z tém co ją otaczało. Jarosław za obiad i szklankę kawy, robił ogromne kursa codziennie, dając lekcye jęj dzieciom, i wtenczas zapoznał się bliżej z mistrzynią obiadów studentckich. P. Stasiewiczowa otrzymawszy list od Sędziego, w którym ją prosił na wszystko, aby przyjechała do niego na mieszkanie a głównie dla towarzystwa córki — za co przyrzekał utrzymywać nauczyciela przy jęj dzieciach, biedna wdowa zdecydowała się przyjąć chleb łaskawy u starego krewnego, zaproponowała Jarosławowi miejsce przy dzieciach. Jarosław przyjął z radością zajęcie domowego nauczyciela w dostatnim domu na Litwie, w stronie gdzie nie było dążności i osób z takimi krańcowemi usiłowaniami jak na Ukrainie, będąc tego przekonania, że tam się wiele da zrobić. Ale jakież było jego rozczarowanie, gdy w parę tygodni po przyjeździe nie wiedział jak ma do tego ludu przystąpić, który nie tylko był mu obcym i dążnościami i zasadami, ale z którym, nie znając jego mowy, i porozumieć się nie mógł. Jedyną dla niego rozrywką były długie godziny spędzane

na spacerach lub w domu, w których mógł wiele mówić o swojem posłannictwie, wygłaszając swoje poglądy.

Opiszę tu jedno z tych zebrań w oficynie Wierbiańskiego dworu, na których każdy mógł swobodnie wygłaszać swoje ideje, a w którym także przyjął udział Jarosław i zapoznał się pierwszy raz bliżej z jego uczestnikami.

— Jedyne wyjście—wołał wciąż Jarosław, coraz więcej się zapalając w obec zebrania, składającego się z ks. Jana, Kazimierza, pani Stasiewiczowej i Elżuni — ażeby podburzywszy lud, wyciąć całą szlachtę i panów, a wtenczas tylko lud będzie z nami. Oto moje *credo*. Rewolucyi krwawej i ofiar, ofiar nam potrzeba.

— Co mówisz, zapaleńcze! opamiętaj się — podchwycił ks. Jan.

— To ani możebne, ani praktyczne — odezwał się Kazimierz. — Mniej ofiar, a więcej rozważnego czynu.

Kobiety poprzestraszały się, a Elżunia z bojaźnią i podziwieniem wpatrywała się w oczy Jarosława, który nie zważając na silny protest ze strony słuchających, tak dalej mówił:

— Będziemy propagować po chatach równość, miłość i braterstwo i pomału będziemy przygotowywać lud do rewolucyi, bez której nie może być lepszej przyszłości, zanim nie wyrzniemy całą arystokrację, panów i księży.

— Zastanów się, co mówisz? Zniesienie poddaństwa, które jest już faktem spełnionym, samo z siebie znosi dawną zależność chłopca od szlachcica, i dawne porządki padają, a zatem żadna propaganda nie ma racyi bytu. Jeżeli przystąpimy do ludu i będziemy go zachęcać do rzezi przeciw inteligencji, to nas nie usłucha,

księży on uważa za narzędzie z ręki Boga i życiem gotów jest przypłacić za ich krzywdę;—a zresztą lud litewski nie zna gwałtów i mordów i do wojen domowych nie ma usposobienia.

Ks. Jan także się odezwał, mówiąc, że wpływu nagłego, jaki chce wyrzucić Jarosław na włościan, wywołać trudno w jakimbyto nie było celu, i że dla oświaty ludu lat potrzeba, cichój i mozolnej pracy, a jak najmniej czczych frazesów i deklamacji, i że naprędce taki zwrot do braterstwa i równości doprowadzić nie może.— Nasz lud jest skryty, niedowierzający, podejrzliwy, a przytém—ciemny.

— Więc pan nie wierzysz w naszą siłę i pracę, nasze dobre chęci i poświęcenie, nazywając je czczemi frazesami i deklamacją? — zawołał z gniewem Jarosław.

— W dobre wasze chęci wierzę—odparł ks. Jan—ale tego jeszcze mało, jak również chwilowego poświęcenia i ofiar, trzeba przytém mieć silną wolę, wytrwałość w pracy i więcej czasu, którego nam brak jest.

— A więc pan zwątpiłeś w rozpoczęte dzieło, pan nie chcesz wiedzieć co się dzieje na Ukrainie—tam lud cywilizuje się i idzie ręka w rękę z młodzieżą,—to fakt świeży...

— Ale nieprawdopodobny — odezwał się spokojnie ks. Jan.

— A więc ja kłamię? Pan mnie to zaprzeczasz. Przyszłość pokaże. Jesteś zdrajcą! — zawołał unosząc się gniewem Jarosław.—Jesteś nikczemnym renegatem... należysz do białych, nie darmo nosisz sutannę — i dla tego służysz dwóm bogom. — Panowie! ten człowiek słabego ducha nas obraża, nie ufa nam i nie wierzy w to

co my wierzymy święcie, i dlatego proszę o wykluczenie go z naszego stowarzyszenia. — Taki parazyt psuje tylko całą harmonię i zdradzając podrywa najczystsza sprawę, godną uwielbienia...

— Opamiętaj się, zapaleńcze! zastanów się nad tem co wyrzekłeś — mówił z rozważą ks. Jan. — Zarzucasz mi tyle błędów i zrad, ale czyż masz na to jakie dowody, chyba te, że patrzę na wszystko okiem daleko doświadczeńszem od ciebie na podobne projekta.

— Milcz, albo cię uduszę — krzyknął Jarosław, zrywając się z miejsca.

Powstała okropna wrzawa i zamieszanie w całym towarzystwie; Elżunia tak się przelekkła, że ledwie żywa chwyciła za rękę Jarosława i podniosła na niego błagalne spojrzenie żebrzące litości dla ks. Jana, aby nie robił wadźni i nie dopuszczał się krzywdy nad niewinnym. Ks. Jan rzuciłby się na swego przeciwnika gdyby go w tej chwili nie chwycił, nie mówiąc, w swoje objęcia Kazimierz i ztamtąd nie wyprowadził.—Nic nie pomogło, ani zatrzymywania przestraszonych kobiet, ani zastąpienie im drogi przez panią Stasiewicz, ani głosy wciąż za nimi wołające:

— Pogódźcie się, nie gniewajcie, — niech to chwilowe nieporozumienie przejdzie dla dobra ogółu, panowie, dajcie temu pokój!

Pani Stasiewiczowa podbiegła do nich i zaczęła mówić:

— Panowie, dajcie pokój, nie zwracajcie uwagi na tego młodzieńca, który chce grać rolę mędrca i być wzorem dla wszystkich do naśladowania. — To dzieciństwo jego...

— A że dziećmi nie jesteśmy — odezwał się Kazimierz urażony—a więc nie chcemy z nim mieć cokolwiek

brać wspólnego. Jeżeli niedowarzone głowy podobne do Jarosława, popełnią bez namysłu jakie szaleństwo, nie chcemy być uczestnikami tego, za co mogą odpokutować i niewinni. Umywamy więc ręce od wszystkiego, co ma łączność z planami p. Jarosława, nie dla tego, aby jego dziecinny postępki miał nas obrazić, albo osobistość zadrasnąć, bynajmniej, ale że nie chcemy być odpowiedzialni za szaleństwo, i póki czas, uważamy za lepsze się cofnąć...

Zaczęła pani Stasiewiczowa prosić ich i namawiać o zmianę postanowienia, ale nic to nie wpłynęło. Po rozstaniu się z nimi pani Stasiewiczowa weszła do oficyny, a ks. Jan z Kazimierzem podążyli do domu.

XI.

Kilkanaście dni upłynęło od tego czasu. Do oficyny ks. Jan i Kazimierz więcej nie zaglądali; w chwilach wolnych odwiedzali swoich krewnych i znajomych gospodarzy z okolicznych włościan. Z Elżunią rzadko się widywali i stosunki pomiędzy nimi znacznie ochłodziły.

Razu pewnego ks. Jan z Kazimierzem wyszli na przechadzkę i szli po drodze do jednego ze znajomych gospodarzy. Był to wieczór niedzielny i lud weselił się zgromadzony w karczmie stojącej naprzeciw chaty gospodarza, u którego znajdowali się dwaj przyjaciele. Ksiądz Jan rozmawiał z gospodarzem a Kazimierz patrzył przez okno na lud spędzający czas w karczmie, i myślał kiedy to oni porzucą nieprzyzwoite zabawy karczemne i jak wziąć się do tego ludu, aby go wprędce

wzbogacić i ucywilizować. Gdy tak rozmyślał, spostrzegł pomiędzy kupką ludzi stojących około karczmy, jakiegoś niepospolitego parobka i dziewczkę, i gdy się im przypatrzył, po niemałym zdziwieniu poznał w nich Jarosława i Elżunię, oboje poubieranych w strój ludowy litewski. Kazimierz zawołał ks. Jana i rzekł do niego po polsku, ażeby nie być zrozumianym przez gospodarza chaty:

— Patrz Janie, czy widzisz w tym tłumie naszego bohatera—szkoda tylko Elżuni, że uległa jego dwactwom. O zmienne kobiety! Ciekawy jednak jest, czém się to wszystko zakończy i czy długo ta komedia potrwa. Chciałbym spotkać tylko kiedy Elżunię i przedstawić wszystkie postęпки jej niedorzeczne, któremi kieruje Jarosław, a jakie mogą ją zgubić.— Biedny stary Sędzia, gdyby o tém wiedział... — To mówiąc obaj westchnęli.

Nieza długo potem ks. Jan z Kazimierzem wracali do domu. Był już wieczór, noc była pogodna, ciepła, prawdziwie letnia, słychać było wszędzie śpiew słowika, a księżyc wszedłszy na niebie, wspaniale odbijał oświecając ziemię i jej mieszkańców jednostajnie, pomimo różnorodnych ludzi i takićj pstrokacizny ich dążeń i pojęć jakie na nią krążyły. Idąc spotkali na wpół sennego i pijanego Jarosława, prowadzonego przez paru parobków. Podeszli do niego, a że iść mu było trudno a nawet nie mógł będąc bezprzytomnym, więc zaczęli mu dopomagać i nieść go. Elżunia szła za nimi płacząc.

— Co się z nim stało?—pytał Elżuni Kazimierz, wskazując na Jarosława, i nie odgadując jeszcze prawdziwej jego słabości, lecz nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, szli całą drogę milczący. Przyszedszy pod

oficynę Kazimierz z ks. Janem wnieśli Jarosława, położyli na łóżku i jak zasnął, odeszli, pozostawiając go staraniom pani Stasiewiczowej i Elżuni, które zapraszały ich pozostać dłużej, ale nadaremnie.

Elżunia po wyjściu ks. Jana i Kazimierza zmieniła swój strój ludowy i mówiła płacząc do Stasiewiczowej: — Co to są za ludzie? oni ani poznać nas ani zrozumieć nie są w stanie. Biedny pan Jarosław, ileż on rozczarowań napotkał w życiu i ile go kosztuje poświęcenie się w sprawie ludowej: musiał powtarzać im wyuczone na pamięć frazesa litewskie, pić z nimi wódkę, aż tak oto słabo mu się zrobiło i niewyniesiono go prawie bezprzytomnego z chaty.

Stasiewiczowa także podziwiała poświęcenie Jarosława i wspólnie z Elżunią znowu płakały. Późno już było w nocy, kiedy siedzącej przy łóżku Stasiewiczowej sen twardy skleił powieki; Elżunia pobiegła na chwilę do wielkiego dworu skąd wróciła prędko do oficyny, ażeby noc całą pilnować Jarosława, zlewając głowę wodą, lub pojąc go limoniadą. Jarosław przyszedłszy powoli do przytomności, przetarł oczy i ujrawszy około siebie Elżunię, zawołał:

— Co tu pani robi przy mnie? Kiedy wróciliśmy z naszej misji, nic nie pamiętam. A cóż, źle może odegrałem swoją rolę? Bieda to tylko, że nie znam waszego litewskiego języka, a dlatego i propaganda nie tak łatwo tu idzie jak na Ukrainie. Wasz chłop kłaniający się, nieśmiały, chytry bardzo, niedowierzający nikomu, dlatego to z nim trudniej: a u nas to prosto z mostu do nich się przemawia i najlepsze tego są rezultaty. Kiedyż znowu pójdziemy cywilizować tych bydłat?

— I pan, pomimo tych przykrości, jakich doznałeś, chcesz jeszcze narażać się na nowe? O! mój Boże! — zawołała załamując ręce Elżunia.

— Na to poświęciłem się przybывая tutaj i wykonałem przysięgę.

— Ależ pan narażasz nie tylko zdrowie, ale i życie swoje. Nie znasz pan tej drogi, po której idziesz...

— Pójdę do innych wsi, nauczę się po litewsku lepiej, a wszystko dobrze pójdzie. Przysiedzę, jaką wyniosłem z Kijowa w obec kolegów, muszę pozostać wiernym. Ja nie jestem z liczby służalców i tchórzów trzymających się klamki pańskiej, jak ci wasi przyjaciele, gotowi zdradzić i spodlić się dla widoków osobistych, — to wstyd, to obłuda. — Nagle zrobiło mu się słabo i nie mógł mówić. Elżunia skropiła Jarosława zimną wodą, co go nieco orzeźwiło, i tak zaczął znowu:

— Tyle mi pani okazujesz współczucia... od ciebie jednej doznaję tyle ulgi i pociechy w cierpieniach moich i ciężkich, dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązkach, ty mi wynagradzasz brak współczucia i obojętność jaką wszędzie napotykam. I za tyle dowodów łask i poświęceń czémże ci mogę wynagrodzić i wywdziękzyć się. — Mówiąc ostatnie słowa przycisnął do ust rękę Elżuni, a ona drgnęła, z czego Jarosław poznał, że jest w jego mocy. Od tego jednego drgnięcia jej osoby w tej chwili zależało całe jej życie i los przyszły: ono ośmieliło Jarosława objąć wpół Elżunię i przytulić do siebie. Elżunia z początku uległa nie sile fizycznej, bo on jej wtenczas nie miał, ale tej silnej mocy jaką ma człowiek, który wie że jest przedmiotem miłości kobiety, — przytuliła się więc do niego, lecz nagle zerwała się i zaczęła płakać okropnie.

— Co ci moja droga, moja najmilsza? — zapytał Jarosław, przyciągając do siebie za rękę Elżunię i obsypując ją gorącymi pocałunkami. — Czegóż się tak przstraszyłaś, czy mnie nie kochasz?

Elżunia rzuciła się na szyję Jarosławowi i mówiła z płaczem:

— Kocham ciebie całą potęgą mojej młodej duszy; walczyłam tyle sama z sobą nie ośmielając się wypowiedzieć ci moich uczuć, lecz powiem ci, że ile razy zbliżałam się do ciebie, to tyle razy głos jakiś wewnętrzny mnie od ciebie odpychał i czułam obawę niewypowiedzianą. Wszystkie zalety, jakie widzę w tobie, twoje poświęcenie się dla sprawy ludowej, energia i siła woli, ustępują wtedy i wydajesz mi się niewierzącym w to co mówisz, bezbarwnym, niedołężnym, kłamcą — i znowu zaczęła płakać.

— Za coś więc mnie kochasz? — zapytał po chwili Jarosław.

— Nie wiem, czy za prawdziwe czy za udane cnoty. Bo mnie się zdaje, że w tobie złego nie być nie może: człowiek podobny tobie nie może mieć wad żadnych, prócz zalet. Przebac mi, Jarosławie, że tak myślałam o tobie! — I znowu z wiarą i z oddaniem się zupełnem rzuciła mu się na szyję Elżunia, tak jakby chciała prosić o przebaczenie, że go tak niesłusznie posądzała.

Długo jeszcze rozmowa toczyła się pomiędzy zakochanymi i noc im przeszła jak chwil kilka.

Ranek już zaczął świtać, parobcy wychodzili w pole na roboty i ruch już panował na dziedzińcu, a Elżunia rozbudziwszy wtenczas śpiącą w fotelu Stasię wiczową w pokoju Jarosława, pobiegła przez ogród,

przebrała się i poszła do ojca. Przyszedszy do niego znalazła gorzej jak zwykle strwożonego i bezsilnego.

— Co ci jest, ojcze? — zapytała, całując go w rękę.

— Niezdrów jestem bardzo, coraz to mi gorzej. — Wymioty silniejsze z dniem każdym, bóleści w żołądku i osłabienie straszne... Słyszałem przypadkiem rozmowę doktorów — jestto choroba nieuleczona, rak żołądka, choć oni przede mną to skrywają.

— Ojcze! to być nie może, oni ciebie tylko tak straszą, tobie jeszcze nie jest tak źle, jeszcze się poprawisz — zawołała Elżunia.

— Nie gadaż, proszę cię, nie jestem dzieckiem i znam dobrze stan mojego zdrowia, koniec mój już jest blizki.

W tej chwili gdy tak mówili, wszedł lokaj i oznajmił przybycie kilku urzędników, którzy są w gościnnych pokojach i mają objawiać manifest oswobodzenia włościan.

— Tak, tak, zawołał Sędzia — będą zapewne objawiać paragrafy uwłaszczenia; czekam tego codziennie. Zdobędę się z ostatkiem sił moich i będę jeszcze świadkiem tak wielkiej uroczystości szczęścia i swobody ludu!

Potem Sędzia kazał zawezwać rządzcę i ekonomę, dając im rozporządzenie o zwołaniu całej włości i o ucztowaniu jęj, a córce polecił przygotować dobry obiad dla urzędników, którzy te wieści będą zwiaśtować.

Nazajutrz od samego rana bito we dzwony kościelne, ludzie masami poschodzili się, i najprzód w kościele został odczytany manifest o uwłaszczeniu, a później około dworu Sędziego urzędnicy objawiali najwyższy ukaz ludowi. Osłabionego bardzo Sędziego

wyprowadzono pod ręce na dziedziniec i posadzono go w wysokim staroświeckim fotelu; wielki krzyk powstał i zamieszanie w tłumie. Schorzały starzec drżał cały od wzruszenia łzy mając w oczach, a kiedy urzędnicy objawili już wolę najwyższą, wtenczas z piersi swych zbolałych wydobył głos słaby i tak mówił do ludu zrozumiale dla niego w języku litewskim:

— Dzieci moje! Nie dożyję już tej chwili szczęśliwej, kiedy owoców waszej swobody będziecie używać, i nie zobaczę was więc tak uroczyste zebraniymi jak dzisiaj, wśród nowej pracy i nowego życia. — Krzywdy przez czas waszego poddaństwa nie doznaliście, ani ode mnie, ani od ojców moich — broniłem od wszystkiego, co mogło przynieść wam stratę, a zarazem pomagałem w latach nieurodzajów i niepowodzeń. Pomimo swobód, jakie wam dziś nadają, nie zapominajcie, że trzeba z nich umiejętnie korzystać. Uczcie dzieci wasze, zakładajcie szkoły i oświecajcie się wzajemnie, bo oświata i praca to są rzeczy jedyne, które będą w stanie zapewnić wam dobrobyt i lepszą przyszłość. Ziemię z radością wam ustępuje, na której wzrosliście, gdzie żyli i pracowali wasi dziadowie. Bądźcie zawsze takimi jak dotąd, pracowitymi, uczciwymi i pobożnymi. — Dłużej Sędzia już mówić nie mógł, głos mu na ustach zamierał, starał się powietrza zaczerpnąć, aby pełną piersią odetchnąć, i głowę na piersi opuścił.

Wtém jeden z gromady, szczyjący się największą popularnością gospodarz, starzec ośmdziesięcioletni zabrał głos, całując rękę Sędziego i po trzy razy kłaniając się:

— Nie pamiętamy panie najmniejszej krzywdy wyrażonej kiedykolwiek któremu z nas, lub złego z nami

obchodzenia się; — oprócz okazywanych nam dogodności i ojcowskich dobrodziejstw, niczego więc nie doznaliśmy i przekazujemy naszym dzieciom, aby i oni we wszystkich kwestjach i nieporozumieniach uciekali się do dworu, bo tam znajdą najlepszy wymiar sprawiedliwości i ojcowską radę. — Co do ziemi, którą nam mają wydzielić, łaskawy panie Sędzio — mówił stary wieśniak po trzy razy kłaniając się — to tę tylko przyjmujemy, która nie będzie dla pana ze stratą i jaką pan sam wskaże, a wiemy, że nasz krzywdy nie zechcecie, — to mówiąc, poczciwy wieśniak całował ręce i kolana Sędziego i płacząc tak dalej mówił: — Niechno pan tylko będzie zdrow i sprowadzi nam syna z tych stron zamorskich: on młody, pracowity, będzie gospodarzyć z naszymi dziećmi, bo my także już starzy.

Mówca i cała gromada płakała, Sędzia nie mógł także powstrzymać się od łez.

— Bądźcie zdrowi, odezwał się Sędzia, — niech was Bóg błogosławi i ma w swojej opiece. — Mówiąc to skinął na lokai, którzy go z fotelem ponieśli do gabinetu. Sędzia czuł się bardzo źle, bóleści żołądka znowu go niepokoić zaczęły, wznowiły się silne wymioty i chory położył się do łóżka, z którego nie miał już wstać niestety.

Na dziedzińcu dzień cały była wielka uczta ludowa; na stołach w tym celu porozstawianych, stały rozliczne jadła i napoje. Elżunia zastępowała miejsce ojca i musiała chodzić i do wszystkich z osobna przepijać maczając swe usta w kieliszku. Pomiedzy tłumem był Kazimierz, ks. Jan i Jarosław, który chcąc zyskać popularność włościan, wciąż powtarzał jedne i te same frazesy litewskie, których się nauczył na pamięć

od Elżuni. Kazimierz spotkawszy się przypadkowo sam na sam z Elżunią przy jednym stole, przy którym było mało jedzących, odezwał się do niej w te słowa:

— Rozczulającą sceny byliśmy świadkami; rzadko można spotkać w życiu podobną do téj, jaką ojciec pani miał z naszym pocziwym ludem, wyjątkowo chyba kto z obywateli może się poszczycić podobnemi stosunkami. — Ale biedny, jakże on zmieniony do niepoznania! na jego twarzy wyryta boleść, oprócz cierpień fizycznych; bo moralne cierpienia często gorsze są od fizycznych!

Elżunia posmutniała, łzy kręciły się w jęj oczach. Kazimierz spostrzegłszy to przeszedł na inny przedmiot rozmowy.

— Ludwik czy często do pani pisuje? — zapytał Kazimierz.

— Już dawno nie miałam od niego wiadomości.

— Biedny chłopiec, odparł Kazimierz; — ludzie często nie mogą być panami swojej woli i swoich chęci.

Elżunia westchnęła, rozmowa nie kleiła się i czuło było w ich głosach, że ją prowadzili z wielkim wysiłkiem, nie tak jak dawniej poufnie i swobodnie.

— Pani także o wiele się zmieniła od niejakiego czasu, posmutniałaś, zmarszczki frasunku wystąpiły na twojem młodém czole i tak wcześniej twarz ci zorały. — Mój Boże! gdzież się podziała owa swoboda i wesołość z nią nierozdzielna! — Mówiąc to Kazimierz załamał ręce.

— Pan chcesz widzieć wszystkich wesołymi a sam jesteś za młodu już stary i poważny, a ja czyż mam być zawsze kozą, czas już przecie być poważniejszą; młodość ma swoje prawa, które człowiek z latami utracą;

bardzo się nawet z tego cieszę, że pan znalazłeś mnie taką poważną... — zawołała z przymusową wesołością Elżunia.

— Nie, panno Elżbieto, nie poważną ja panią znajduję, ale smutną, przygnębiającą jakimś silnym nie-
szczęściem, zmęczoną moralnie, nie taką jaką znaliśmy panią dawniej; jest coś takiego, co panią dręczy i niepokoi. Odkryj swą ranę przed starym przyjacielem, a ona mniej cię będzie boleć; lżej podzielić się z kimś co współczuje, niż jedną dźwigać cały ciężar boleści.

Łzy obfite popłynęły z oczu Elżuni, nie mogła nic wymówić, starała się skryć przed Kazimierzem i stłumić w sobie smutek, lecz nie mogła. Czuła się przed nim winną, że go odtrąciła od siebie, pozbawiając się dobrego przyjaciela.

Kazimierz uściśnął jęj rękę i tak dalej mówił: — Biedna panno Elżbieto! powiedz prawdę, nie trwóż się przede mną, co za przyczyna jest twojego smutku? ja zawsze jestem tym samym przyjacielem co i dawniej; nie z mojej przecież winy nastąpiły takie chłodne pomiędzy nami stosunki i tak się zerwały. — Więcej jeszcze chciał mówić Kazimierz, ale wrzawa stawała się coraz większą pomiędzy zgromadzonym ludem, a Jarosław spostrzegłszy zdaleka Kazimierza obok Elżuni, podbiegł do niej prędko, pochwycił za rękę i pociągnął w tłum zgromadzonych włościan.

Do późnej nocy trwała uczta w Wierzbiańskim dworze dla przybyłych urzędników, na której ani ks. Jan, ani Kazimierz nie byli, bo z dziedzica wprost podążyli do domu. Kiedy goście się rozjechali, Sędzia czując się bardzo źle, wezwał córkę do siebie. W pokoju jego panowała cisza, tylko od czasu do czasu dolatywały

głosy z dziedzińca rozochoczonego ludu i ich wesołe śmiechy i śpiewy. Córka klęczała przy łóżku a ojciec mówił do niej co raz to więcej słabnącym głosem:

— Dziecko moje najdroższe! chwile mego życia są już policzone u Boga, a jak mnie nie stanie, pozostaniesz sama jedna na świecie. Ród mój wygaśnie, ale cóż robić, wygasały bezpotomnie najpierwsze domy w kraju, i nasze szlacheckie gniazdo pójdzie w ich ślady, bo nie mam syna, nie mam potomka krwi męskiej... Bóg przeklął nasze gniazdo przez odebranie mi syna: cóż robić, taka wola była Jego święta. Zato dziś dożyłem takiego uroczystego dnia, takiego szczęścia i pod wrażeniem jego umieram. To sprawa ważniejsza, bo to sprawa całego kraju, całego narodu, a nie jednej mojej rodziny—i z nią na ustach umieram... Słabo mi się robi.

— Ojcze! to być nie może, — wołała zanosząc się od płaczu Elżunia, — ty nie umrzesz, a Bóg byłby niesprawiedliwym osierocając mnie i pozostawiając jedną na świecie. Sprawiedliwości, o Boże! za cóż mnie tak karzesz, zabierając mi ojca!

— Nie złorzecz, córko, to konieczność nieunikniona, to prawo natury zapisane w dziejach stworzenia, pozwól niech dokończę. — Cały mój fundusz, tak w kapitałach tak i w ziemi pozostawiam tobie.

— A Ludwikowi! — krzyknęła Elżunia przerażliwym głosem, domyślając się strasznego wyroku ojca.

— Ludwikowi nic — odrzekł Sędzia stanowczo — a nawet błogosławieństwa mego odmawiam, bo on zatrul ostatnie dni mego życia.

— Ojcze! miej litość nad biednym Ludwikiem — wołała znowu z płaczem Elżunia.

— Nie prosz, bo wszystko na próżno, już zrobiłem rozporządzenie.

— Ojcze! ojcze! — składając swoje drobne rączki jak do modlitwy, wołała wciąż błagając Elżunia.

— Jeżeli względem ciebie miałem nieukontentowanie i byłem oziębły, to na to zasłużyłaś swoim postępowaniem. — Zamilkł Sędzia a po chwili dodał: ze śmiercią matki wszystko runęło.

Elżunia chciała tłómaczyć się ojcu z zarzutu jej czynionego, lecz słów jej brakowało, upadała pod ogro mem nieszczęścia, które na nią spadało, nie słyszała już słów ojca i była jak nieprzytomna.

Głos Sędziego coraz był cichszym i słabszym, w końcu rzekł ledwie będąc zrozumianym. — A teraz moje dziecko, nie płacz i znieś mężnie cios, który na ciebie spada ze śmiercią ojca, i nie splam choć ty tego imienia, które niesplamione wzięłaś po ojcu. — To mówiąc przeżegnał córkę — zabrakło mu głosu po tak długim wysileniu.

Pani Stasiewiczowa widząc niebezpieczny stan chorego, posłała po Proboszcza, ale że go w domu nie było, gdyż wyjechał na dni kilka do Kowna, więc w miejsce jego przybył ks. Jan. Elżunię tymczasem zemdlałą wyniesiono z pokoju i Jarosław ją cucił na balkonie.

Ks. Jan znalazł Sędziego mało już przytomnego, lecz starał się zaraz po przybyciu wpłynąć na niego, aby nie wydziedziczał syna, ale Sędzia kiwał głową przecząco, a gdy i tę odrobinę przytomności utracił, nie pozostawało przyjacielowi jego syna, jak zaprzestać próśb i przekonywań, i nic nie wskórawszy, spełnić obowiązku religijny przedśmiertny. Nawet nie przypomniał Sędziemu, według zwyczaju i prawideł Proboszcza przy

umierających, o kościele i jego sługach, ażeby i o nich pamiętał, jeżeli chce otrzymać w udziale królestwo niebieskie, za co, nawiasem mówiąc, otrzymał potem od Proboszcza tęą burę.

Na drugi dzień Sędzia nic nie mówił, oczy bez wyrazu w jeden punkt patrzyły, nic nie widział i nie słyszał, ciało chłodne, a tylko ciężki oddech chrapiący ustami i nosem objawiał jeszcze życie. Wezwali tego dnia jeszcze, jak mówiono, aby sobie nic nie mieć do wyrzucenia, trzech lekarzy na konsylium, choć Sędzia od niejakiemu czasu zupełnie był zarzucił leczenie wątpiąc w jego skuteczność. Wieczorem tegoż dnia Sędzia Bogu ducha oddał.—Krzyk i płacz panował w całym dworze, płakała i Elżunia może mniej bezinteresownie i nie dla zwyczaju jak inni, płakała po ojcu, nie myśląc o swoim losie i przeszłości.

Rozesłano bilety zapraszające sąsiadów na pogrzeb, który miał zaledwie nastąpić za tydzień, ciało zmarłego stało przez ten cały czas w sklepie kościelnym oczekując na przybycie Ludwika. Pogrzeb odbył się z niemałą okazałością, przy licznych zjeździe krewnych i sąsiadów. Widziano na pogrzebie ciągle mdlejącą Elżunię, podtrzymywaną przez Jarosława, na którego wskazywano jako na heretyka i czerwonego i szep-tano, że pewnie on już pochwycił w swoje szpony Elżunię. Dalej widziano na pogrzebie idącego młodego człowieka za trumną samotnie ze spuszczoną głową. — To Ludwik—mówiły panie półgłosem trącając się łokciami wzajemnie—przyjechał na pogrzeb ojca i będzie burzyć testament, bo go ojciec wydziedziczył, a majątek jest sukcesyjny. Na pogrzebie było mów kilka. Major-krzykacz wypowiadał, że Sędzia byłby znakomitym czło-

wiekiem, gdyby znał taktykę, bo nieznajomość sztuki wojennej paraliżować miała niemało jego czynności. Major-ciemięga żałował, że na pogrzebie nie było muzyki i porządku, z czego wnioskował, że w rodzie Sędziego nie było dyscypliny, a panie, mówił, szły nie tak jak gęsi szeregiem lecz jedna do lasa, a druga do lasa, a jabym poustawiał je ściśle w szeregach.

Najwięcej współczucia i żalu okazali włościanie, a nawet jeden z nich w gorących słowach uznania, stojąc nad grobem ś. p. Sędziego, streścił czyny nieboszczyka poświęcone dla dobra włościan.

Po pogrzebie, jak to zwykle bywa, wyprawiono sutą ucztę, oddzielnie dla panów a oddzielnie dla włościan, która się przeciągnęła do późnej nocy.

Zauważano na pogrzebie i o tém długo jeszcze potem szep-tano, że nie syn, a pan Jarosław wszystkiem się rządzi i gospodarza miejsce w domu sprawuje, do czego zapewne jest uproszony przez nowych dziedziców, a niektórzy jeszcze ciszej mówili: zobaczycie, że ten Jarosław zostanie przyszłym właścicielem choć części Wierzbian, otrzymawszy rękę panny Elżbiety.

XII.

W kilka dni po pogrzebie, w porze poobiedniej w gabinecie nieboszczyka Sędziego znajdowało się kilka osób. Około szafy z książkami klęczał Ludwik przewracając rozmaite stare papiery, rękopisma i książki, naprzeciw szafy w przeciwległej stronie pokoju, około otworzonego biórka stał Jarosław przepatrując

weksle i papiery tyczące się interesów majątkowych nieboszczyka. Około biórka stał stolik a przed nim kanapka, na której w tej chwili siedzieli Marszałek z Proboszczem trzymając w ręku i przepatrując rozmaite papiery, które im Jarosław podawał. Nad jednym z nich dłużej zastanowił się Jarosław, odczytywał go po kilka razy a w końcu oddał siedzącym Proboszczowi i Marszałkowi, którzy, jeden na drugiego spoglądając, i z cicha coś do siebie szepcąc, kiwali głowami i wskazywali palcami na papier znacząco. Był to testament nieboszczyka. Jarosław także co chwilę podchodził do siedzących i popatrywał na papier coś podszeptując. Jeden tylko Ludwik nie zwracał na nich najmniejszej uwagi i przepatrywał najobojętniejsze dla wszystkich papiery; Proboszcz jednak radził mieć go w ścisłej obserwacji, domyślając się, czy nie schował Sędziego jakich ważnych dokumentów do tej szafy, zawsze otwartej, że syn z takiem oddaniem się w tak ważnej dla siebie chwili, w której los jego przyszły rozstrzyga się, najobojętniej te szpargały przerzuca.—Ludwik po przyjeździe do domu, nie mówił z nikim o spadku, czy go otrzyma, lub nie, a nawet z siostrą, która przez delikatność, nie wszczyniała z nim rozmowy w tak drażliwej kwestyi. Przerzuciwszy niemało książek, wybrał z nich dwie małe broszurki, jedną trochę większą, a drugą mniejszą—były to jakieś rękopisma stare Sędziego, zamknął szafę i zabierał się już do wyjścia, gdy głośno Marszałek zawołał:

— Panie Ludwiku, zmuszony jestem objawić panu wolę ojca jego, pomimo nieprzyjemności, jaką tym panu sprawię. Proszę, niech pan ją odczyta. — To mówiąc podał testament Ludwikowi.

Ludwik wręczył go napowrót Marszałkowi, mówiąc: niech pan go przeczyta głośno, panie Marszałku.

Marszałek zaczął czytać. Testament zaczynał się od zwyczajnej formy, a więc nic nie zawierał w sobie interesującego na samym początku. Przechodzę zatem do tego miejsca, w którym wypisana była wola nieboszczyka. „Cały fundusz, jaki pozostawiam, otrzyma córka moja, składający się jak z nieruchomości tak i z kapitałów, które okażą się w pozostałych listach zastawnych, likwidacyach, rewersach i gotówce”.—Płóć kapitałów, jak w papierach tak i w gotówce pozostałych wymienioną nie była. Następnie było powiedziano: „Synowi memu nic nie pozostawiam, bo na to nie zasłużył, przyczyniając się do skrócenia dni moich; odmawiam mu nawet błogosławieństwa.”—Dalej marszałek czytał o zapisach dla oficyalistów, wymieniając kilkanaście ich nazwisk, następnie na księży i kościół. W końcu testamentu było powiedziano: „Natychmiast po mojej śmierci z pozostałej gotówki wypłacić synowi i córce po pięć tysięcy rubli, które im ś. p. babka, a matka moja przekazała.” Następnie był podpis i pieczęcie.

Wszyscy obecni patrzyli ze zdumieniem na Ludwika, podziwiając spokój i rezygnacyą, które ani na chwilę go nie opuściły. Oczy Jarosława przeciwnie, błyszczały szczęściem i radością, lecz powstrzymywał się sam jak mógł, ażeby nie wybuchnąć, zdradzając tajemnicę swych wewnętrznych uczuć. Po chwili odezwał się Ludwik:

— Mam do panów wielką prośbę. Zasięgnąłem w tym względzie pozwolenia mojej siostry i ona na to przystaje. Chciałem wziąć sobie te dwie broszurki, ręką ojca mego pisane; może dla panów będzie to śmieszném, ale dla mnie będą one wielką pamiątką.

— Nie możemy na to zezwolić, pomimo najszczerzych chęci; wtedy pan je otrzymasz, jak siostra pańska pozostanie formalną spadkobierczynią — odpowiedział mu na to Proboszcz.

— Ależ moi panowie, to zbytek ostrożności z waszej strony, to taka bagatela, na którą można nie zwracać zupełnie uwagi.

— Gdyby to była główka nawet od szpilki, to nie damy jej panu nieprawnie — odezwał się Marszałek i pomyślał sobie: tak mnie żona uczyła gdym tu wyjeżdżał. Och, to kobieta!

— Ależ mój panie! — zawołał Ludwik nieco obrażony — przecież niszczyć testamentu nie myślę, chociażbym miał na to prawo, ale ulegam woli ojca. Jeżeli wezmę te małe broszurki, to bynajmniej nikt ich dochodzić nie będzie: siostra zostanie sukcesorką wszystkiego, długów nie ma, a o ile mi wiadomo, ojciec pozostawił jeszcze znaczne kapitały.

— Wynajdziemy, wynajdziemy, jeżeli są — odezwał się Proboszcz trzymając się za brzuszek i chichocząc:

— Życzę panom wszystko ukończyć, tak skrupulatnie i sumiennie spełniając wolę s. p. ojca mego, jak zaczęliście swoje zajęcia od niewydania owych broszurek, a że tak spełnicie, o tém nie wątpię, — to mówiąc Ludwik rozgniewany wrzucił do szafy książeczki i wyszedł pozostawiając trzech stróżów sprawiedliwości w gabinecie ojca.

— To wariat, to idyota! — odezwały się trzy głosy za wychodzącym, — wlaża mu do głowy jakaś książeczka!

Po wyjściu z gabinetu Ludwik wzięwszy siostrę pod rękę poszedł przejść się z nią po wielkim wysadzo-

nym drzewami gościńcu, który był mu pamiętnym jeszcze z lat dziecińczych, kiedy to po nim z siostrą biegali swywołac i jak to niegdyś tak często po nim goście dążyli hucznie i wesoło do Wierzbiańskiego dworu.

Ludwik przez lat kilka nie widział siostry, znał ją więc dzieckiem, a teraz poznał i mówił już jak z kobietą dojrzałą i myślącą.

— Elżuniu — mówił do niej — czy pamiętasz te dnie nasze szczęśliwe dziecinne kiedyśmy razem z tobą bawiąc się, wyczekiwali i wyglądali goście jadących tym gościńcem; te same stare lipy go ocieniają, ale ileż to przez ten czas zmian zaszło... Szczęśliwy wiek dzieciństwa minął, a rozłączeni z sobą, musimy iść każdy w inną stronę. Za dni kilka, moja Elżuniu, będę musiał pożegnać cię znowu Bóg wie na jak długo, może i na zawsze, bo ze mną iść w świat razem i wszystkiego co masz wyrzekać się nie zechcesz.

— Jakto, tak prędko chcesz mnie na zawsze opuścić? — zawołała Elżunia.

— Nie zapominaj, siostro, że mam ludzi, którzy mnie kochają więcej, jak ktobądź na świecie i oczekują z niecierpliwością mojego przybycia, a z któremi jak najbliżej chciałbym się połączyć. O dwie rzeczy tylko chciałbym cię prosić, droga Elżuniu: o jednej z nich już mi naprzed powiedziano, że nie otrzymam, — są to dwie stare broszurki, ręką ojca naszego pisane przed trzydziestu kilku laty, zupełnie z odmiennym poglądem jego wtedy na małżeństwo, aniżeli w latach ostatnich. Jeszcze kiedy byłem w szkołach, w czasie wakacji przyjeżdżając, czytałem z upodobaniem te rękopisma, pisane z werwą młodzieńczą i z uczuciem, które wtenczas jeszcze nie było zatarte kastowem uprzedzeniem, a ojciec

pisząc je, był więcej człowiekiem aniżeli szlachcicem. Otóż o tych-to rękopismach panowie ci powiadają, że nie mogą ich wydać, zanim ty nie pozostaniesz formalną sukcesorką. Mój Boże, to taka bagatela, a ci pseudo-pocziwi ludzie nadają jój takie znaczenie! Drugą rzecz, o którą chcę cię prosić—może zbyt wcześnie po śmierci ojca, ale cóż robić, kiedy od niej zależy los całej mojej przyszłości—to o wypłatę tych pięciu tysięcy rubli, które mi przeznaczyła ś. p. babka nasza, a które chciałbym przed wyjazdem otrzymać, bo i ojciec w testamencie wspomina, że po śmierci jego suma ta natychmiast powinna być wypłaconą.

— Czy czytałeś już rozporządzenie ojca? — zapytała Elżunia.

— Czytałem.

— I nic ci nie zapisał?

— Nic.

— Ludwiku! — odezwała się z płaczem Elżunia — powinniśmy podzielić się po połowie tém, co pozostało po rodzicach. Jeżeli ojciec gniewał się na nas za życia i z namowy złych ludzi wydziedziczył ciebie, napisawszy testament, wierz mi, to choroba była tego powodem i ci co chcieli nas z nim poróżnić. A słyszałeś jakim był ojciec w ostatnich miesiącach, ciągle rozdrażniony, niecierpliwy i niewypersadowany. Ja sama będąc z nim razem, wiele przez ten czas wycierpiałam, — był strasznie podejrzliwym, z niczego niezadowolonym, a nawet często nie chciał mnie widywać. Umierając narzekał na mnie, że swemi postępami przyniosłam mu niemało zmartwienia. — Wiem już teraz, że to wszystko było skutkiem podszeptów naszych kochanych sąsiadów. — Tak, tak kochany Ludwisiu, przyjmiesz część ci należną,

ożenisz się, przywieziesz żonę do Wierzbian i będziemy mieszkać w jednym domu... ty mnie nie porzucisz! — To mówiąc Elżunia objęła za szyję brata i serdecznie go całowała.

— Nie, moja droga, są to tylko projekta, których nie mogę skutecznie. Spadku po ojcu za nic nie przyjmę, a zamieszkać tutaj także nie mogę. — Nie weź mi za złe, że cię zapytam: ty się kryjesz przede mną Elżuniu?

— A to z czém? — odpowiedziała zaczerwieniona dziewczyna.

— Z tém, że kochasz Jarosława, czy odgadłem?

Elżunia na dół spuściła oczki i po chwili namyślu rzekła:

— Kocham go bardzo, to prawda, i z nim tylko jednym mogłabym być szczęśliwą na świecie.

— Zastanów się dobrze, moja siostró i nie zapominać, jak ważny krok chcesz zrobić w życiu; raz go zrobiwszy, nie tak łatwo się cofnąć, a wtedy trzeba dźwigać kajdany niewoli całe życie. — A ojciec czy o tém wiedział?

— Nie, nie mu nie mówiłam o tém — była odpowiedź Elżuni.

— Pomyśl siostró i dobrze to rozważ, jesteś jeszcze młodą i niedoświadczoną; — czy ten, któremu chcesz poświęcić całą przyszłość swoją, wart jest ciebie?...

Na tém się zakończyła rozmowa pomiędzy bratem i siostrą. Wracali do domu zamyśleni, każde z nich oddane innym myślom, które im zaprzętnęły głowy w tej chwili. — Ludwik myślał o losie Elżbiety, a ona o jego losie.

Gdy wrócili do domu, był już wieczór; po herbacie mało mówiąc z sobą, udali się na spoczynek zmęczeni fizycznie i moralnie.

Noc całą w gabinecie Sędziego paliła się lampa przy której pracując i szepcząc siedzieli Marszałek, Proboszcz i Jarosław. O czym z sobą ci panowie radzili, to pozostało tajemnicą. Nazajutrz tylko objawiono sukcesorce, że pozostało kapitału w gotówce po ojcu trzy tysiące rubli. Elżbieta dziwiła się temu bardzo mówiąc przed bratem, że z pewnością słyszała od ojca, że jest ze trzydzieści tysięcy kapitału, a dwa razy jeszcze tyle w papierach procentowych. Po długich naradach i niezmienném postanowieniu Elżuni, opiekunowie i doradcy zdecydowali się oddać sumę trzy tysiące rubli Ludwikowi, a po dwóch latach zobowiązano się wypłacić jemu jeszcze dwa tysiące, to jest należność jego z zapisu ś. p. Szambelanowej.

Tegoż dnia Ludwik po obiedzie pojechał do Kazimierza, ażeby z nim pożegnać się przed prędkim wyjazdem, który miał nastąpić za dni parę. Tam zastał niezmiennego nigdy Kazimierzowi ks. Jana. Przyjęli go obadwa serdecznie po bratersku, a Kazimierz ujrawszy w progach swoich dawnego kolegę i przyjaciela, zawołał rzucając mu się na szyję:

— Choć raz przecie Ludwiku wybrałeś się do nas. Niewdzięczny! — za to że tak kochamy cię i kochaliśmy od dzieciństwa, zobojeźniałeś dla nas zupełnie. Wszak nie ci nie zrobiliśmy złego, ani Jan, ani ja, zawsze mając tylko na względzie twoje dobro i szczęście.

Potém gdy ks. Jan ucałował Ludwika, on rozczulony przyjęciem, powiedział ściskając ich ręce:

— Za tę chwilę przyjaźni i serdeczności niech wam Bóg zapłaci. Wybaczenie mi, jeżeli przyczyniłem się do zobojeźnienia nieco naszych dawnych stosunków, — wiercie mi, że to był błąd chwilowy tylko z mojej strony, teraz żałuję tego i przyrzekam poprawę. A wy jako bezstronni, przyznajcie, że wasze zimne rady i wyrachowania nie mogły zadowalniać zakochanego.

— Prawda, prawda, przecież ta miłość tyle cię kosztuje — odparł ks. Jan; — przez nią poróżniłeś się z ojcem na zawsze, utraciłeś fundusz, lecz zato dowiodłeś wielkiej siły woli i hartu duszy, ale mało obywatelskości.

— Temu jeszcze można zaradzić — dodał Kazimierz — znosząc testament, który jest nieformalny, a powtóre, że majątek dziedziczny. Mówiłem o tém nawet z pewnym adwokatem, który ręczy za wygranę. A że panna Elżbieta przeciw temu nic nie ma, a więc dobrowolnie podzielicie się z sobą bez skarg i apelacyi. — To mówiąc wprowadził Kazimierz swoich gości do drugiego pokoju czysto lecz skromnie umeblowanego, w którym porozstawiane bukiety w kubkach na prostych stołach, ponakrywanych białymi obrusami, przyjemną rozlewały woń po całym domku miejskim. Tu usiedli na kanapie dłuższej staroświeckiej, która była najwykwintniejszą ozdobą całego pokoju, i dalej mówili z sobą:

— Testamentu znieść nie mogę — odezwał się Ludwik z westchnieniem.

— Dlaczego? — zapytał go Kazimierz.

— Bo nie chcę łamać woli ojcowskiej, chociaż mogę ją uznawać za niesprawiedliwą.

— Ależ to sprawa całego kraju dotycząca, to sprawa ogółu, który się z jednostek składa, to rażąca niesprawiedliwość, to krzywda nam wszystkim wyrządzona! — wołał Kazimierz.

— Niestety, tego jednak nie uczynię, jestem z nadto dumny z siebie i ufam w swoją pracę która mi wystarczy na utrzymanie...

— A to uparty człowiek! nic z nim nie poradzimy — powiedział ks. Jan.

— Co się tyczy kraju, jeżeli to ma tak wielkie znaczenie dla niego, kto przy Wierzbianach zostanie, to lepiej że ziemia pozostanie nierozdzieloną, w ręku jednej właścicielki, mojej siostry, a która, choć młoda, jestem pewny, że użyć fanduszu potrafi z korzyścią dla siebie i dla społeczeństwa.

— Ona go straci — zawołał ksiądz. — Powierzyła swój los młodzieńcowi nieprzedstawiającemu żadnej rękojmi na przyszłość i któremu ufać niepodobna, bo jeżeli nie straci majątku, to z pewnością na dobre go nie użyje. Ożeni się, bo widzi w tém spokojne zapewnienie kawałka chleba bez pracy, zapomni prędko o sprawie ludu, która dziś go bawi, a zresztą zobaczycie, czas to wszystko pokaże.

— A przecież i kapitały powinny były pozostać po ojcu — powiedział Kazimierz.

— Z kapitałów pozostało jakoby tylko trzy tysiące rubli, które mnie oddano jako część zapisu mi przynależnego po ś. p. babce mojej, za co im bardzo wdzięczny jestem.

— To być nie może! to kłamstwo! — zawołał ks. Jan — oni cię oszukują. Słyszałem od samego niebosz-

czyka Sędziego, że posiada w gotówce oprócz papierów ze trzydzieści tysięcy rubli.

— A ja słyszałem, że oni coś przebąkują o długach.

— I ty zgodziłeś się na to, aby bez was ludzie obcy przerzucali pieniądze i papiery i potem co łaska wam dawali? To oszukaństwo widoczne, to fałsz; jesteście dziećmi i pozwalacie, aby z was korzystano! — krzyczał trzęsąc się z gniewu Kazimierz.

— Bóg z nimi, dla siostry wystarczy, co otrzyma, a ja nic nie potrzebuje.

— I obojętnie słuchasz tego wszystkiego? — dorzucił ks. Jan.

— Milczę, bo wiem o tém i spodziewałem się, że to nastąpi, gdyż od tych ludzi nic się spodziewać nie mogłem lepszego, pogardzam takimi i nie chcę z nimi mówić.

— Dziwny jednakże z ciebie filozof, mój Ludwiku, że na to wszystko z tak zimną krwią i zabawnie się zapatrujesz — powiedział Kazimierz.

— Już mnie nie przerobisz, będę takim aż do śmierci.

— Wrogiem siebie samego — dorzucił ksiądz Jan.

Potem długo jeszcze z sobą rozmawiali o przedmiotach rozmaitych, Ludwik opowiadał im o swoim projekcie ożenienia i cieszył się tém, że je nakoniec doprowadzi do skutku, że zamieszka na Szlązku, będzie sam chodzić za pługiem, siał i orać.

Śmieli się z niego przyjaciele, nie wierząc w podobne marzenia i nazywając go idealistą.

— ŚmieJCie się sobie ze mnie; jeżeli nie wierzycie w to co mówię, sami się przekonacie kiedyś — odezwał się Ludwik.

Było już późno, kiedy Ludwik po serdeczném pożegnaniu z przyjaciółmi, wrócił do Wierzbian. Idąc drogą a potem nie śpiąc noc całą, rozmyślał z jaką radością powita ukochaną Maryę i szlęzkich przyjaciół i że mając teraz pieniądze, choć niewielkie, których brakowało mu do zapewnienia szczęścia, teraz stając się niezależnym, pozostanie mężem Maryi, czego od dawna pragnął.

Jarosław odbywał wprawdzie codziennie lekcye z dziećmi pani Stasiewiczowój, więcćj ze zwyczaju jak z potrzeby, gdyż w gruncie rzeczy zaraz po śmierci Sędziego, nie znajdując w nikim opozycyi, przy pomocy Proboszcza, Marszałkowój i jój męża stał się pełnowładnym gospodarzem Wierzbian, jako mający zostać wkrótce małżonkiem Elżuni.

Pewnego poranku, wstawszy późno po nocy przejędzonej bezsennie nad kartami, Jarosław złażał jednego ze starych służących Sędziego i wydalil go ze służby za to, że nazwał go gospodarzem-samozwańcem; nic nie pomogły ani silne protestacye, ani prośby za nim pani Stasiewiczowój i Elżuni. — Tegoż dnia pani Stasiewiczowa zapytywała go czy zechce przyjąć dwoje dzieci pewnego gospodarza na naukę, który o to przychodził prosić. Odpowiedział jój coś ścicha niezrozumiale z niechęcią i lekceważeniem.

Stasiewiczowa była to dobra kobieta, lecz nie bardzo daleko widząca, i z postępowania Jarosława nie mogła nic takiego zauważyć, coby naprowadziło ją na jakiegobądź kombinacye o zamiarach jego wzglę-

dem Elżuni. Była ona zawsze tego przekonania, że ich łączyły tylko wspólne dążności zasad i miłość ludu; temu też przypisywała przebieganie się ich w litewskie ludowe stroje, nauczanie wspólne dzieci wioskowych, a nakoniec i ową noc spędzoną bezsennie przez Elżunię czuwającą ze współczuciem nad niezdrociem Jarosława — tak i dziś w zainteresowaniu się jego w zarządzie Wierzbian, chciała widzieć tylko uczynność, poświęcenie się i dobroć wrodzoną dla bliźnich. Zmianę tę w Jarosławie, jaką zauważyła pani Stasiewiczowa, wygłaszającym zwykle zasady równości i poświęcenia, a teraz srogo i nie po bratersku obchodzącym się z ludźmi na usługach we dworze zostającymi, tłumaczyła sobie tylko silném poświęceniem się i przyjaźnią dla Elżuni i jój dobra, posuniętemi aż do zaparcia się swoich przekonań. Nieprzyjemnie raziło tylko w oczach Elżuni i pani Stasiewiczowój owo zbliżenie się Jarosława do ludzi innych przekonań, jak Proboszcz i Marszałek, z którymi teraz i w karty grywał i odwiedzał ich często.

Pewnego znów razu Jarosław z lekceważeniem odezwał się w kwestyi, której bronił tak jeszcze niedawno zawzięcie.

— I pan to mówisz... przecież jeszcze tak niedawno innych byleś zasad — zawołała Stasiewiczowa.

— Cóż w tém widzi pani dziwnego — odpowiedział jój Jarosław. — Każdy człowiek myślący na miejscu nie ustoi, a wciąż się doskonali, i względnie do tego, zmienia swe zasady. Sprawa nasza wtenczas tylko może wziąć pomyślny obrót, jeżeli się zbliżymy z białymi.

Stasiewiczowa nic mu na to nie odpowiedziała, a tylko pomyślała sobie: zapewne polityka jego tego wymaga.

Po tej rozmowie Jarosław jednak uczuł wyrzut sumienia i noc całą nie śpiąc, walczył z sobą, czy ma pozostać wiernym swoim zasadom, lub je zmienić. Nadedniem, gdy sen mocny skleił mu powieki, widział we śnie jak jeździł w angielskich szorach ze służbą w złoconej liberyi i jak wszyscy dygnitarze podawali mu ręce — przebudził się ze snu już obywatelem.

O swoich planach małżeńskich Jarosław nie zwierzał się przed nikim, tylko przed swymi protektorami Marszałkiem i Proboszczem wyjawiał, a ci zato napelnili swe kieszenie gotówką i podjęli się go podtrzymywać w obywatelstwie.

— Cóż robić, trzeba się żenić, będę przynajmniej bogatym; życie pewne, spokojne, bez trosk i kłopotów, przyjemniejsze o wiele, niż braterstwo z chłopstwem, a angielskie szory i galonowana liberya lepiej wygląda od ukraińskiej koszuli i grubych butów. Zostanę godnym obywatelem, zmienię swą barwę powoli, stopniowo i nierażąco, a za sobą będę miał dwóch najbardziej wpływowych ludzi w okolicy Marszałka i Proboszcza, — takie były częste marzenia Jarosława.

Ludwik wkrótce wyjechał w Cieszyńskie odprowadzony przez swych serdecznych przyjaciół, którzy deklamowali wiersze przy pożegnaniu o Litwie i jej bohaterach, czém rozrzewniony, zapłakał, nie wiedząc, czy więcej ujrzy strony ojczyste.

Elżunia pod pretekstem niezdrovia nie towarzyszyła całemu towarzystwu przy odprowadzeniu brata; widać w tém było wpływ Jarosława, który i sam także pozostał w domu.

Ludwik śpieszył z niecierpliwością na Szląsk, wioząc w kieszeni pieniądze i dwie broszurki ojca, które

z trudnością wyprosił, ażeby jak najprędzej powitać swą ukochaną i braci Szlązaków.

XIII.

W domu państwa Marszałkowstwa wieczorem wszystkie okna były oświetlone i wiele osób się zebrało. Całe towarzystwo znajdowało się w pokoju zwanym czytelnią, siedząc przy dużym stole nakrytym zielonem suknem, na którym stał krzyż i parę świec się paliło. Przy stole siedzieli: Marszałek z żoną, pani Biegunkowa, Hrabiostwo, ks. Proboszcz, dwaj Majorowie, pani Stasiewiczowa, Jarosław, Elżunia i kilka jeszcze osób mniejszego znaczenia, o których dlatego nie wspominać. — Był to posiedzenie Stowarzyszenia dusz pobożnych.

— Szanowni panowie i panie! — zagaił w te słowa uczony prezes zgromadzenia — pani Biegunkowa — posiedzenie dzisiejsze wyłącznie zostaje poświęcone jednej kwestyi, a tą jest pojednanie z partją czerwonych, — mówiła to głosem pełnym powagi i znaczenia. — Zasługę tę będziemy mieć niezawodnie przed Bogiem, że nie rozłączamy, a przeciwnie, staramy się wszystkich skupić w jedno, ażeby wspólnie pracować nad zbawieniem dusz naszych. Obowiązana też jestem wyrazić podziękowanie w imieniu całego stowarzyszenia panu Marszałkowi dobrodziejowi i najczcigodniejszemu Proboszczowi, a naszemu sekretarzowi, którzy nie szczędzili pracy i zabiegów swoich dla nawrócenia tych zbłąkanych owieczek. Przeznaczni pan Jarosław Niemiec-

rowski, pani Stasiewiczowa i panna Elżbieta Darowicz przystępują do naszego stowarzyszenia, poznawszy cel jego szlachetny i wielką przyszłość, jaką ma przed sobą, — i zaczęła w tej chwili odmawiać „Pod Twoją obronę uciekamy się”, a ks. Proboszcz, Hrabia i Marszałek wtórowali jej swojemi donośnemi głosami. Po skończeniu modlitwy, Jarosław z początku czuł się trochę zmieszany, ale po kilku chwilach zdobył się na śmiałość i wyrecytował bez zająknięcia mówkę tej treści:

— Szanowni panowie i pani! Przyjechałem w tę stronę nie rozdzielać a łączyć, i to było hasłem mojej pracy i zabiegów. Pracowałem rok cały nad losem rolnika, zbliżyłem się do niego dla pojednania, i ta praca moja została uwieńczona najpomyślniejszym skutkiem. Dziś szczęśliwy jestem, że na dolę moją wypadło jeszcze inne zadanie, bo, pojednawszy się z ludem, chcę go połączyć z arystokracją (w tém miejscu nastąpiło ucieranie nosów z rozrzewnienia), aby podać wspólnie dłoń do pracy. Duchy przodków naszych w tej chwili cieszą się i błogosławią nas widząc, że ich potomkowie takich olbrzymich dzieł dokonywają, gdyż łączą w jednej chwili to co wieki rozdzielały. Niech żyje stara, nasza szlachta! — krzyknął Jarosław, a za nim wszyscy zawtórowali. Zaczęły się uściśnienia, powinszowania dokonanego wielkiego czynu, który historia unieśmiertelni, i wzajemne komplementa.

Lokaje tymczasem roznosili starego węgryna wydobytego z piwnic, na znak zawartej zgody z chłopami. W końcu przystąpiono do spraw stowarzyszenia i do naznaczenia wsparć z sum na to przeznaczonych. Długo potem dowodzono jeszcze o potrzebie odnowienia ołtarzy

N. Panny Bolesnej i Pięciu Ran Pana Jezusa, następnie podano herbatę i całe towarzystwo przeszło do innych pokoi.

Pani Hrabina siedząc obok Marszałkowej, szeptała do niej: — Mój Boże! jakże to najniesprawiedliwiej można człowieka posądzać, jak my na przykład myślałyśmy o tym panu Jarosławie, że to niebezpieczny, czerwony, chłopoman i Bóg wie co jeszcze, a tymczasem zobaczycie, on będzie bielszym od nas, prawdziwe ma rysy pańskie, a jak mówi: wy arystokracja, stara szlachta... mój Boże! jak to pięknie brzmi, rosnę wtedy jak na drożdżach. — Przez was, powiada, chłop się cywilizuje, wy uszczęśliwicie i t. d. Wszystko to tak śliczne, nieprawda?

— Przecudne — dorzuciła Marszałkowa, chustkę batystową podnosząc do nosa.

— A jak ubrany modnie! nie tak jak dawniej, bardzo jest *comme il faut* — dodała Hrabina.

W tej chwili całe towarzystwo mówiło i interesowało się tylko Jarosławem i jego wymową, z której rozmaite robiono komentarze.

Majorowie opowiadali, że tego chłopak z tego Jarosława, nabytek to dla naszego stowarzyszenia nielada, wielka go przyszłość czeka, a jak mówi, to jakby z książki. Panie po kątach płakały z rozrzewnienia, a ks. Proboszcz odprowadziwszy Jarosława na stronę, uściśnął go i powiedział: — Takiego nam obywatela trzeba, jak ty; żeń się z Elżunią, dalipan weźmiesz dobrą dziewczynę i fundusik wcale ładny, a ja was pobłogosławię i kwita — śmiał się Proboszcz wesoło i chwycił za swój okrągły brzuszek.

Jarosław nic nie odpowiedział, ale pomyślał: postanowiłem już to zrobić i bez waszej rady.

Jedna tylko Elżunia smutną była tego wieczora; znała ludzi, którzy ją otaczali i nie lubiła ich. Przyjechała na dzisiejszy wieczór, czyniąc zadość usilnym namowom Jarosława. Nie mogła zrozumieć nagłej zmiany w postępowaniu Jarosława i zejścia się jego z ludźmi, o których jeszcze przed niedawnym czasem mówił z odrazą. A więc—myślała sobie Elżunia—wszystko, co on wygłaszał przede mną, miałoby być fałszem?—o poświęceniu się jego dla ludzkości, o przysiędze wykonanej przed kolegami, że pozostanie na całe życie wierny idei i będzie za nią walczył.—Wtedy uniesiona jego zapalem, hartem duszy i siłą woli, zbliżyła się do niego współnością przekonań i postanowiła los swój jemu powierzyć... a dziś... ten sam człowiek w tak dziękij formie wypowiada pochlebstwa tym, z którymi walczył jeszcze nie tak dawno i zgodę z nimi zawiera z poniżeniem swoich własnych przekonań, jakich się wyrzekał.—Stał teraz przed jej oczami ks. Jan, który tyle zniósł przykrości od Jarosława, Kazimierz, którego też považała przedtém, a teraz pozbawiła swego zaufania człowieka, który często wypowiadał jej ostrą, ale zato szczerą prawdę. Przypomniawszy imię jego, drgnęła.—Stasiewiczowa i wszyscy obecni zauważyli na twarzy Elżuni wielkie pomieszenie i niepokój: przypisywali to zazdrości o Jarosława. Panie podchodziły do Elżuni i życzyły jej podobnego męża jak Jarosław.—Ten człowiek tak młody, a otoczony już czcig powsechną — mówiła do niej Hrabina, — brak mu tylko mitry.

Była już noc późna, kiedy wierzbiańskie towarzystwo wracało do domu. Jarosław, uszczęśliwiony, że tak dobrze rolę odegrał, Elżunia znowu smutna i zamyślona, siedzieli w powozie milcząc i żadne z nich nie

przerwało ciszy. Wieczorem tylko, gdy wrócili do domu, Jarosław zapytywał Elżunię o powód jej złego humoru, lecz ona składała to na ból głowy.

Na drugi dzień Jarosław spotkał się przypadkiem na polu z Kazimierzem, przywitał się z nim serdecznie i zaczął rozmowę.

— Jeżeli co pomiędzy nami kiedy zaszło — mówił Jarosław do niego — to nie chciój pan tego pamiętać, to rzecz nieunikniona pomiędzy ludźmi, to walka przekonań, przez nie człowiek dochodzi do prawdy, przez ogień utarceek nieustannych przechodzili zwykle wszyscy mężowie stanu, zanim nie utwierdzili się w swych przekonaniach.

— Nie gniewam się bynajmniej na was, panie Jarosławie i nie chcę o tém co zaszło pamiętać — odparł Kazimierz.

— A czy wiesz co zaszło ze mną? pewnie nawet nie podejrzywasz — zagadnął Jarosław.

Kazimierz milczał.

— Zostałem białym, zmieniłem swoją barwę czerwona i tém zbliżyliśmy się z wami; pojedналиśmy się z pocziwą szlachtą naszą—to wielki krok ku lepszemu.

— Ależ, panie Jarosławie, to prędzej nastąpiło, jak myślałem — zawołał Kazimierz.

— Przekonałeś się więc pan, że nie jestem zawziętym... Widzisz ile miałem mocy charakteru, aby przełamać siebie i nakłonić się do pojednania.

Kazimierz westchnął, a Jarosław mówił dalej coraz nabierając większej odwagi.

— Chcę wam zaproponować to samo, to jedyna droga dla rozwiązania tej zawilęj kwestyi, przez którą można działać na arystokracją i połączyć ją z ludem.

— Ja nie podaję ręki do zgody tym, którzy mnie odpychają i z którymi nie mogę mieć wspólnych dążeń — odparł Kazimierz.

— Nie bądź pan takim zapaleńcem, panie Kazimierzu.

— Zawsze byłem jednostajnym, niezmiennym i takim pozostanę do końca; rozważa powinna iść naprzód i torować drogę wszystkiemu — przerwał Kazimierz. — Rewolucji krwawej nie pochwalam, u nas nie Francja; przy innych warunkach społeczność nasza wyrosła i rozwija się. U nas trzeba cichłej pracy, wytrwałości i czasu na to, a te nas podźwigną. Szlachta, z którą pan pojednałeś się, dać nam tego nie mogła nigdy, w najświetniejszych nawet czasach swojej egzystencji, a cóż dopiero teraz w czasach swojego upadku, a więc i przymierze z nią zawarte, nie pomoże nam w niczym i nie podniesie narodu. Trudno wymagać od szlachty czego ona sama nie posiada. Światła! światła nam potrzeba — oto hasło, z którym walczę w imię prawdy, a nie błagi i deklamacji; — to mówiąc Kazimierz podał rękę swemu przeciwnikowi pokonanemu i pożegnał go zimnym ukłonem.

XIV.

Co się dzieje na Szlaku.

Życie tam płynęło cicho, jednostajnie, wśród pracy i dzień do dnia był do siebie zupełnie podobnym. Ludwik, po otrzymanej odmowie od Macury, był z rzadka w ich domu, albo spotykał się tylko z Maryą na przechadzkach, w kościele, lub naznaczał u jakich

znajomych z nią spotkanie, gdzie na osobności mogli z sobą pomówić. Macura żałował wprawdzie że z Ludwikiem tak ostro postąpił, wypowiadając mu bywanie w swoim domu, ale uważał to wypełnieniem swego obowiązku, nie chcąc odstępować od swych zasad. Niepokoił się on więc o swoją córkę, która mizerniała codziennie i zapadała na zdrowiu. Otrzymałszy jeszcze wiadomość Ludwik o śmierci babki, dowiedział się o zapisie dla siebie pięciu tysięcy rubli, co podało mu nadzieję do ożenienia się. Poszedł więc do domu Macury, opowiedział im o tém, ale o nic nie prosił, a Macura milczał.

Rok od tego czasu już upłynął, jak stosunki Ludwika z ojcem Maryi były zerwane, osamotniony więc, rozpaczał często, a myśl połączenia się związkiem małżeńskim z Maryą, ani na chwilę go nie opuszczała i niezrażony niepowodzeniami, ciągnął dalej swój pobyt w Cieszyńcu, a lekcje prywatne w mieście dostarczały mu choć mały zarobek dla opędzenia potrzeb codziennych.

Powiadomiony nagle Ludwik depeszą o śmierci ojca, pośpieszył do Wierzbian, a teraz powróciwszy już do Cieszyna, pobiegł natychmiast do domu Macury i opowiedziawszy o wszystkiém, wręczył parę kosztowności Maryi, które jej Elżunia w upominku przysłała, jako przyszlęj bratowej. Uradowana Marya, dziękowała jej za pamięć, a nieprzyzwyczajona do takich zbytków, dziwiła się, jak można na ubiory tyle pieniędzy utracać. Macura zaś uściskawszy rękę Ludwika i ucałowawszy go powiedział:

— Przekonałem się nareszcie, że kochasz moją córkę naprawdę, nic więc nam starym nie pozostaje, jak was pobłogosławić i jedyne dziecko twój opiece po-

ruczyć. Będę miał zięcia, który napewno darmo jeść chleba nie będzie!

Nastąpiły uściski i radość zapanowała w całej rodzinie szlacheckiego chłopca a cały wieczór do późnej nocy zeszedł na ogólną gawędę. Ludwik opowiadał o Litwie, ile tam smutnych zmian zastał i jak tęsknił za nimi.

Wkrótce potem, na propozycję Macury, Ludwik przeniósł się do ich domu, do końca lata pomagał im spełniać rozmaite roboty polne, a wieczorem zwykle czytano wspólnie, lub zasiadano do pogawędki. Kiedy nadeszła jesień i robota w polu już się skończyła, a grosza przybyło, gdyż rok był bardzo urodzajnym, wtenczas skromnie i bez zbytków udali się do kościoła i tam Ludwik z Maryą dobrowolnie przysięgli sobie wzajemną miłość.

Młode małżeństwo zamieszkało wspólnie z rodzicami. Ludwik przywdział strój wieśniaczy i pracował około roli zastępując teścia, który nie zawsze miał siły i zdrowie do pracy. Gdyby nie książki czytane w chwilach wolnych od pracy i w dnie świąteczne, Ludwik zapomniałby o całym świecie, kochając i będąc sam kochanym; zaliczał wtedy siebie do najszczęśliwszych z ludzi.

XV.

Jarosław po świetnym ślubie, pamiętnym na długo dla całej okolicy, gdyż było nań zaproszone całe prawie sąsiedztwo, oprócz ks. Jana i Kazimierza, objął zupeł-

nie rządy dóbr Wierzbiańskich, projektując ogromne dochody i korzyści z zupełnie zmienionej na nowo gospodarki. Nie chcąc jednak jeszcze porzucić zupełnie dawnych zasad, co by go nieco kompromitowało w oczach starych towarzyszków broni, ks. Jana i Kazimierza, postanowił być bardzo ludzkim dla włościan i sług swoich, a dla większego z nimi zbliżenia, wychodził do nich często na pogawędkę, ubrany w szarą samodzielną sukmanę i długich butach, urządzał im tańce i hulanki, na których i sam bywał. Przebierał ich wtenczas w stroje ludowe ukraińskie, uczył śpiewów małoruskich, niezrozumiałych dla nich, i sam w tym stroju ubrany, tańczył z nimi nieraz kozaka.

Prędko jednakże ochłonął on do tych zabaw, bo lud patrzył na nie z podziwem, parobcy zaczęli nadużywać własność dworską, a sąsiedztwo śmiało się do syta. Elżunia spostrzegłszy to, na samym początku upraszała męża ze łzami, ażeby zaniechał tych dziwactw. Niewiadomo, czy jej prośby wpłynęły na Jarosława, lub sam może przesycony, zjawiał się coraz rzadziej na zabawy, posyłając ekonoma, jako swego przedstawiciela; lecz wkrótce i to ustało, a odzież ukraińska, przedtem tak szanowana, walała się czas jakiś po dachu, zanim jej nie podarto na rozmaite potrzeby gospodarskie.

Zmiany i ulepszenia gospodarze, o których tyle rozprawiał, zaczął Jarosław od tego, że wypisał nowe meble z zagranicy, garderobę dla siebie i dla żony, ażeby tem wszystkiem móż wyrównać domowi Hrabiostwa, najwyżej stojącemu pod względem mody i komfortu w tym powiecie. Elżunia często płakała, prosiła, błagała Jarosława, ażeby zaniechał wybryków tak niewłaściwych ich stanowi, ale to nic nie pomagało. Jarosław

z początku okazywał jój swoje nieukontentowanie pocichu, potem głośno, a nakoniec dochodziło często do tego, że gniewał się, łajał żonę, że nie ma prawa do niczego się wtrącać i że wszystko jest jego własnością, wyrzucał jój nawet, że na jój utrzymanie musi ciężko pracować, w końcu nieraz dochodziło do tego, że odgrażał się, że ją bić będzie, jeżeli mu coś jeszcze podobnego nadmieni, plunie i porzuci. Po każdej takiej scenie Elżunia płakała noc całą i przepraszała Jarosława.

Od czasu śmierci nieboszczyka Sędziego porządek w gospodarce wiele ucierpiał. Wszyscy nadużywali własności dworskiej; ekonomowie i liczna dwornia czas spędzała beczynn timer, wyręczając się niższymi od siebie w obowiązkach gospodarczych, i na tém się kończyło, że połowę dochodu pożerał nierząd, lub kieszenie oficyalistów.

Rok jeszcze nie upłynął od czasu zameżenia Elżbiety, jak w małżeńskim pożyciu zaszedł smutny wypadek, który przyniósł jój wiele zmartwień i smutku i przyczynił się do osłabienia tego związku na zawsze.—Adelka—tak było na imię pannie służącej, która od lat kilku pozostając w służbie u Elżbiety, kiedy ona jeszcze panną była, pozostawała i teraz gdy panią została,—doznała razu pewnego nieznanego jój dotąd uczucia, czy choroby, jak się jój zdawało, dotąd niepraktykowanej; udała się więc po radę do baby znachorki wiejskiej, aby ona jój powróżyła. Znachorka coś szeptała nad nią, rozpytywała się a w końcu zaleciła jakieś zioła, maście i okadzania, powiedziawszy jej, że zostanie matką. Adelka dowiedziawszy się o tém rano, z płaczem wróciwszy do domu, wbiegła do sypialni państwa, kiedy jeszcze spali snem najspokoj-

niejszym. Jarosław poznał po głosie Adelę, i domyślając się przyczyny jój płaczu i lamentów, udawał śpiącego, na drugi bok się przewracając; lecz Elżbieta to posłyszawszy, zbudziła się, usiadła na łóżku i zapytała o powód krzyku służącej.

— Nieszczęście! nieszczęście!—wołała strwożona dziewczyna, — nic mnie nie pozostaje teraz, jak się powiesić na pierwszej lepszej gałęzi, mąż pani uczynił mnie nieszczęśliwą na całe życie!...

— Jak śmiesz takie potwarze rzucać na mego męża i zakłócać nasze pożycie, beczelna!—zawołała uzbrajając się w energią Elżbieta.—Idź precz ztąd... precz!...

— Nie pójdę ztąd, chyba mnie wyrzucicie. Jestem nieszczęśliwą, shańbioną na całe życie z przyczyny pana Jarosława; odbierzcie mi lepiej życie, bo sama ztąd nie ustąpię!

— Precz!—z gniewem zawołała Elżbieta, tak że Jarosławowi nie pozostawało nic innego jak zeskokczyć z łóżka i przyznać się że nie śpi, zapytując o powód tego krzyku, a gdy Adela powtórzyła swoją skargę, wypędził ją z pokoju i wyłajał żonę że śmie wtrącać się w nie-swoje sprawy. Elżbieta płakała, a Adela została wydaloną ze służby tego samego dnia i otrzymała w podarunku od pana, jak złe języki mówiły, tysiąc rubli, a inni upewniali, że tylko połowę téj sumy; ręczyć za to jednak na pewno nie można.

Elżbieta po tém zajściu postanowiła porzucić męża, lecz nie miała nikogo komuby mogła z tém się zwierzyć i znaleźć współczucie. Chciała go porzucić, ale jak? Na wypowiedzenie mu rządu i o pozbyciu się go ze

swego domu nie mogła myśleć, było to rzeczą dla niej zbyt drażliwą i delikatną, a wreszcie liczyła na to, że ją na pewno nie posłucha, więc zdecydowała się sama być ofiarą swojej niepraktyczności w wyborze męża i cierpieć, nie mogąc się z tego położenia bez wyjścia wycofać. Udała się więc w tym celu do Proboszcza, gdzie zamiast rady, otrzymała wymówki.

— Sama jesteś winna — powiedział jęj Proboszcz — jeżeli nie umiesz tego człowieka ocenić. Któż z nas nie ma grzechów?...

— Dobra rada wasza, księże Proboszczu, każecie więc mnie cierpieć!... zawołała Elżbieta.

— Cierpieć, jeżeli raz już poszłaś za męża... kościół tak każe. Do wyjścia nikt cię nie zmuszał.

— Nikt mnie nie zmuszał, to prawda, zrobiłam ten krok dobrowolnie; ależ, mój Boże! za jeden krok nierozważny, czyż mam pokutować całe życie, czyż położenie moje jest na tyle bez wyjścia, że mam sobie życie odebrać, lub umrzeć w niewoli! — wołała zanosząc się od płaczu Elżbieta.

— Powinnaś zgadzać się z wolą Bożą — odparł Proboszcz.

— Chyba z wolą ludzi, bo Pan Bóg, do którego modlicie się codziennie, nie jest tak niesprawiedliwym, jakim Go mieć chcecie.

— Milcz i nie złorzecz, przekłeta! sama jesteś skalana grzechem, a ośmielasz się potępiać prawa, które Bóg ustanowił.

— Jeżeli tylko tę osłodę i pociechę w swoim cierpieniu mogę ztąd wynieść, to żałuję że was swoim nieszczęściem księże Proboszczu nudziłam i przepraszam; — to mówiąc Elżbieta wybiegła z plebanii.

Po upływie dni paru Elżbieta zdecydowała się sama porzucić męża, a za najodleglejszy punkt, gdzie się skryć miała, wybrała Kowno. Tam bowiem od niejakiego czasu zamieszkała pani Stasiewiczowa dla wychowania dzieci, które chodziły do szkół, więc do niej Elżbieta prosto się udała. Nikomu nie mogła ona zwierzyć się ze swoim nieszczęściem, bo u duchownego nawet nie doznała pociechy. Pocziwa kobieta z otwartymi rękami przyjęła Elżbietę w domu swoim i powiedziała jej:

— Jesteś bogatą, stan twój niezależny, rób jak ci dogodniej, gdyż radzić ci trudno: wracaj lub zostań przy mnie.—Ależ nie mogę temu uwierzyć, aby Jarosław mógł być tak złym człowiekiem; ja na twoim miejscu porzuciłabym go, lecz my kobiety, na nasze nieszczęście, słabe istoty, bezsilne w obec prawa i siły brutalnej, często poddajemy się tym wpływom.

Pani Stasiewiczowa mieszkała prawie za miastem, zajmowała mały domek z ogródkiem, który obfitował w masę kwiatów, zasadzonych własnymi rękami gospodyni. Elżbieta rada była z ciszy i spokoju, jakich doznała w nowym swoim siedlisku, po tylu rozczarowaniach i zawodach, których wspomnienie na każdym kroku spotykała w Wierzbiańskim dworze.—List za listem od Jarosława przypominał Elżbiecie smutną rzeczywistość, w których on groził żonie, jeżeli nie wróci, karą Bożą, wstydem i nazwą kobiety zepsutej i nakoniec że ją przez policję sprowadzi; ale ona była na to wszystko nieczuła i cieszyła się, że ma spokój, który dawno utraciła.

W kilka tygodni potem, pewnego poranku służąca oznajmiła pani Stasiewiczowej, że jakichś dwóch panów szuka pani Niemierowskiej przyjezdnej ze wsi. Gdy się

o tém dowiedziała, oznajmiła Elżbiecie, lecz jakież było jój zdziwienie, kiedy jeszcze nie zdążyła słów tych dokończyć, we drzwiach stał już Proboszcz z Marszałkiem.

— Do nóg upadamy pani dobrodziejce — odezwał się Marszałek ściskając rękę Elżbiety, a za nim Proboszcz. — Przyjechaliśmy z naszym Proboszczem na kilka godzin do miasta w swoim interesie, a więc korzystając z okazji, odwiedzamy i panią — A kiedyż pani wraca na wieś?

— Bardzo być może, że nie wrócę zupełnie — odpowiedziała Elżbieta.

— Jakże, czyż to jest możebnem? Mąż pani czeka z niecierpliwością i nudzi się sam jeden. Przykładny to człowiek — zawołał Marszałek.

— Nudzi się i przy mnie i beze mnie, to mu wszystko jedno — odparła Elżbieta i dała znak ręką gościom, aby usiedli.

— Jak tam było, tak było — zawołał Proboszcz — to do Boga należy, niech On was osądzi, wszyscyśmy grzeszni; ale trzeba, abyście się pogodzili, to jest obowiązkiem dobrej żony; vox populi vox Dei, moja droga.

— Za nic, za nic w świecie tego nie zrobię; jeżeli panowie macie choć trochę życzliwości, to nie namawiajcie mnie do tego. Czém prędzej tém lepiej, niech się skończy raz ta komedia, którą kiedyś mogę życiem przypłacić.

— Małżeństwo to u was komedia? — to sakrament, moja droga, od którego nikt nie może się uwolnić, to przysięga, od której Bóg jeden tylko zwalnia, gdyż przed Nim przysięgaliście..

Na tém skończyła się rozmowa i posłowie Jarosława musieli bezskutecznie zakończyć swoją misję.

Kilka miesięcy upłynęło od tego czasu, Elżbieta uczuła się bardzo niezdrową i powiła syna. Jarosław wtenczas z panią Biegunkową przyjechał do niej, ale żadne namowy i fortele różnego rodzaju nic nie pomogły — nieudało im się nakłonić Elżbietę do powrotu w ojczyste progi.

— Nic nie chcę, wyrzekam się wszystkiego, co otrzymałam po rodzicach — mówiła z płaczem Elżbieta do męża, — będę sama pracować na kawałek chleba, chcę jednego tylko, co mi dać musisz, jeżeli masz choć iskierkę uczciwości... chcę spokoju.

— Ja kocham ciebie — zawołał Jarosław chcąc ucałować żonę.

— O! ten wyraz już nie raz z ust twoich słyszałam i słyszę, on mnie mało zadowalnia — mówiła Elżbieta odpychając od siebie Jarosława.

— Ależ ja mam prawo do ciebie, które mi sama nad sobą dałaś, w kościele wypełniając przysięgę dobrowolną... i jeżeli teraz chcesz ją złamać, to ja cię zmuszę uszanować, poczekaj!... Jesteś kobietą bezwstydną, bezreligijną, porzucasz męża!...

— Przecież sam pierwszy złamałeś przysięgę niegodnie w pierwszym zaraz roku naszego małżeństwa. — przerwała mu Elżbieta.

— To fałsz! to potwarz.

— To prawda, a Bóg w takich razach rozwiązuje to co ludzie związali.

— Nie mów tak, moje kochanie — mówiła wtrącając się do rozmowy pani Biegunkowa, — kobieta uczciwa, rozumna, powinna przebaczyć przewinienia podobne mężowi. Cóż jest w tém tak bardzo złego, że mąż ma gust do innych kobiet, on przecież młody a sakra-

ment małżeństwa nie jest grobem. I żona przecież, jeżeli zechce, to może patrzeć w inną stronę *cette chose se comprend par soi même*, aby konwenanse nie cierpiały.

— Jeżeli ja widziałem twoje zбочenia — odezwał się po chwili Jarosław do Elżbiety — to przecież milczałem i milczć będę, bo nie widzę nic w tém złego. Możesz mieć choć dziesięciu adoratorów, ale część swęj miłości powinnaś i dla męża zachować.

• — Bezczelny! — zawołała Elżbieta — i ty to możesz mówić po zapewnieniach, że mnie kochasz! Węć wszystko co mnie mówiłeś kiedyś, było kłamstwem. O ja nieszczęśliwa! — to mówiąc zaczęła głośno płakać.

Po długich kilkodniowych namowach, Elżbieta jednak zmiękła, bo była kobietą; nie mogła oprzeć się silnym namowom Jarosława i wróciła do Wierzbian. Od chwili powrotu do domu stała się podejrzliwą względem męża i widziała tam nawet występki jego gdzie ich nie było. Zamknęła się w domu, nie przyjmowała i nie widywała zupełnie ludzi po całych miesiącach, przegnębiając będąc swojem położeniem. Jarosław często otrzymywał od żony wyrzuty, że gospodarka najgorzej idzie, że w karty ciągle przegrywa a długi, nie mówiąc o wielkich, małe żydowskie z dnia na dzień się powiększają. Mąż po całych dniach nie bywał w domu i rujnował nieszczęśliwą żonę nie tylko materyalnie ale i na zdrowiu, które bardzo podupadło, i z kwitnącej dziewczyny Elżbieta stała się schorowaną i zbolalą kobietą, zestarzałą przedwczesnie, a rodzina co rok prawie się powiększała i wydatki stosownie do tego wzrastały

XVI.

Kilka lat czasu opuszczam z mojego opowiadania. Smutne wypadki krajowe już były przeszły, ułuda i idealizm zaczęły znikać z naszego życia, a praca stała się koniecznością dla egzystencyi. W tym nowym zwrocie społecznym, rozproszeni skupiali się do gromady, zrujnowani i złamani podźwigali się z upadku, lub ostatecznie padali, — takie to było najwięcej. Wszędzie był zwrot jednakże ku lepszemu. Choć było wielu takich, którym nie zbywało na dobrych chęciach, ale sił nie mieli, aby podźwignąć się z upadku i padali bez powstania, lub ciągnęli swój żywot w gruzach, nie będąc w stanie pośpieszyć za daném hasłem: „z pracą naprzód“.

Zobaczmy co zaszło w naszej okolicy od czasu dziesięciu lat ubiegłych. Ileż tam majątności potracono, a ile przejść miało wkrótce w ręce żydowskie, lub zręcznych spekulantów. Stowarzyszenie dusz pobożnych upadło bezpowrotnie, bo jego członkowie rozpierzchli się po świecie. Marszałek majątek utracił, bo był sprzedany za długi, Hrabstwo dobra swoje sprzedali i wynieśli się zagranicę, a pani Biegunkowa szukała kupca na swój folwark, mieszkając w Warszawie.

Życie w Wierzbiańskim dworze o wiele się też zmieniło. Dom stał pustką, rzadko kto do niego zajeżdżał. Budynki choć były stare, ale przy dobrém utrzymaniu zdawały się jeszcze przestać długo, dziś, bez dozoru, waliły się i przestraszały mieszkańców. Dziedzice dawni jeździli wykwintnemi powozami i ślicznymi końmi, a dzisiejsi głodnymi i zbiedzonemi szkapami, zaprzęzo-

nemi w szleje ze sznurów do poniszczonych powozów z poobijanemi herbami. Posługa była liczna we dworze, ale nie tak poubierana w liberyą złoconą jak dawniej, lecz obdarta i zbiedzona.

Elżbieta coraz to gorzej zapadała na zdrowiu, krew się jęj rzucała ustami, kaszel suchy ją męczył i zmieniała się do niepoznania, bicie silne serca, gorączka, ziębienie i poty nocne źle wróżyły o jęj zdrowiu. Jarosław żyjąc wygodnie bez kłopotów i jakichby to nie było zajęć, utył znacznie i wyglądał prawdziwie po obywatelsku. Upadek majątkowy widziała z dniem każdym się zbliżający Elżbieta, a przewidując to, martwiła się nie mogąc patrzeć obojętnie na los kilkorga dzieci. Stan zły interesów męczył ją strasznie, upraszała więc Jarosława, ażeby zechciał wziąć się do pracy i nie siedział z założonemi rękami, ale on przestróg i rad jęj nie chciał słuchać i wyjście z długów stawało się z dniem każdym trudniejsze.

Pewnego majowego poranku Elżbieta siedziała z dziećmi ucząc je i wysłuchując zadanych lekcji; Jarosław spał jeszcze. Wtem nagle posłyszeli turkot podjeżdżającego powozu; matka i dzieci dziwiły się, kto mógł przyjechać do Wierzbian tak wcześnie. Elżbieta wyszła na ganek i ze zdziwieniem spostrzegła przed drzwiami wóz prosty, zaprzężony parą dobrych fernalskich koni. Na kozłach siedział właściciel zaprzęgu, młody i czerstwy chłopak, a na samym wozie, dobrze wysłanym słomą, siedziało dwóch ludzi: pierwszy z nich był to żyd Moszko, karczmarz Wierzbiański, a drugi wcale nieznany; mówili ciągle z sobą językiem niezrozumiałym dla litewskiego chłopca. Obaj weszli do pokoju. Moszko wciąż coś pokazywał i opowiadał

nieznajomemu, a gdy spotkali Elżbietę, uklonili się nisko obydwa i Moszko ją zapytał czy może widzieć JW. Pana, bo ma z nim wiele do pomówienia. Elżbieta prosiła ich usiąść i poczekać na męża, który wkrótce wyjdzie — to mówiąc, prosiła, aby spoczęli w sali jadalnej. Oni jednak wejść tam nie chcieli, tłumacząc się, że są nieprzyzwyczajeni do tych wygod pańskich, i zdecydowali się czekać w przedpokoju. Moszko, dawny karczmarz, od niedawna został zamożnym kupcem i handlował lasami. Stopniowo wzniosł się z interesów, jakie miewał z dziedzicami Wierzbian, i im więcej ci ostatni chylili się ku upadkowi, tém polepszał się materyalny byt Moszka, który widząc w końcu, że kapitał należny mu od dworu Wierzbiańskiego rośnie i prędko może przejść wartość majątku przy powiększających się ciągle nowych długach, postanowił przypuścić szturm i jeszcze na tém coś zarobić. Otóż umówił się ze swym współnikiem, handlującym z nim razem lasami, kapitałistą znaczniejszym od niego, pojechać dla olejrzenia majątku, który Moszko lepiej znał i mógł podać kupującemu wszystkie szczegóły dotyczące się onego, oraz ilości w nim ziemi zawartęj i gotowęj arendy a również podać wykaz długów, które były zaciągane w części i przez niego samego z rozkazu JW. dziedzica. Po obejrzeniu lasu, pola i zabudowań, zdecydował się nowy kupiec dobijać targu, majątek potém zastawić w banku, las wyciąć, a ziemię sprzedać i na nięj jeszcze zarobić. Gdy tak rozprawiali ci goście w przedpokoju o mającém nastąpić kupnie, słowa swe stwierdzając na papierze, wszedł Jarosław i spostrzegłszy arendarza zawołał:

— A, witam kochanego pana Moszko, rad jestem, że go widzę — i podał mu rękę ściskając serdecznie. —

Proszę panów do pokoju, bardzo proszę, — to mówiąc wprowadził gości do gabinetu.

— Przyjechaliśmy do JW. pana — odrzekł mu Moszko, w sprawie bardzo ważnej — i wskazując ręką dodał: — to jest mój wspólnik, pan Milke, Niemiec z Prus.

— Bardzo mi przyjemnie, bardzo przyjemnie — zawołał Jarosław wskazując na krzesła, proszę siadać — i wszyscy posiadali.

— Chcieliśmy jw. panu zaproponować jeden geszeft — powiedział Moszko.

— A macie gotówkę? procent płacę jak najsu-
mienniej, a kapitał w mojem ręku ulokowany, jest
pewny.

— Et, — przerwał mu Moszko, — interes, o któ-
rym chcemy mówić, jest ważniejszy.

— A jaki? — przerwał mu zaciekawiony Jaro-
sław — czy z gorzelnią do współki, czy handel lasem?

— Cóż gorzelnia, las, to wszystko nie pański ge-
szeft, a żydowski, proszę jw. pana. — Ten interes to tro-
chę lepszy, jw. pan dostanie odrazu wiele gotówki,
a wszystko to przez Moszkę. Gdyby pocziwych żyd-
ków nie było na świecie, co by też wiecy panowie robili,
rady sobieby nie dali. Kiedy pieniędzy nie ma, to kto
je dostarczy jeżeli nie żydek pocziwy, kto zboże na
pniu kupi i da gotówkę naprzód, kto pokredytuje, kiedy
wszyscy odmawiają, nawet krewni i przyjaciele...

— No, ale jaki macie do mnie interes? — przerwał
mu Jarosław.

— Oto taki j. w. panie. Pan Milke jest to czło-
wiek bardzo bogaty, kupuje majątki i kupił ich już nie-
mało od hrabiów i od książąt. — Powiedziawszy to

Moszko patrzył na Jarosława, ciekawym będąc, jakie
wywrze na nim wrażenie, bo znał jego słabość mówić mu
o wielkich dygnitarzach. — U niego proszę j. w. pana
masa pieniędzy, płaci dobrze gotówką, może i pan do-
brodziej zechce... i zakaszał się w tém miejscu.

— Przecież ci nigdy nie mówiłem, że chcę sprze-
dać Wierzbiany, ani o kupca nie prosiłem.

— No, ja wiem, zapewne, ale... ale... j. w. pan
sprzeda.

— Co mnie takie rzeczy gadasz, mówię ci, że nie
sprzedam! — wykrzyknął rozniewany Jarosław.

— Jak j. w. pan sam nie sprzeda Wierzbian, to
mu je sprzedadzą — odparł spokojnie Moszko gła-
dząc brodę.

— Kto moją własność sprzedać może, jeśli ja sam
nie zechcę! — zawołał trzęsąc się z gniewu Jarosław. —
Jeżeli ośmielisz się takie niegrzeczności mi prawić, to
zaraz cię wyrzucę za kark żydzie.

— Niech się jasny pan uspokoi, ja wiem, że Wierz-
biany są własnością pańskiej żony, ale cóż z tego, kiedy
na nich tyle długów...

— Za takie długi u nas nie wystawiają majątków
na licytacją, przecież chwała Bogu, mam kredyt i wiarę
u ludzi, na kilka tysięcy jeszcze pokredytują.

— To dawniej kredytowano, ale nie teraz; — to
Moszko jeden tylko taki głupi, że panu wierzy, ale nikt
inny. — No, ależ jest długu?...

— Co? Czyś ty zwaryował przeklęty żydzie, że
śmiesz mnie tak dziś dokuczać!

— Na co zwaryował, wszakże to i mój własny in-
teres, bo mnie jasny pan także dłużny.

— Jeśli chcesz, to cię wypędzę z karczem, oddając należność. Za kilka tysięcy robisz mnie bankrutem!

Moszek podniósł ramiona i pokiwał głową.

— Czego jasny pan tak się unosi gniewem? Zkądże pan mnie odda dobre kilka tysięcy? Będzie ich więcej po rozliczeniu się, a wszakże ja nie jeden, a Mordko, a Joś, a Lejba, co oni powiedzą? A wiele innych jeszcze... a! gwałt! A chłopom, a panu Bogatkiewiczowi z piętnaście tysięcy rubli, zkąd pan to wszystko odda? Ja pański przyjaciel i chcę pańskiego szczęścia, a więc w tém mu dopomogę.

— No to i cóż, będzie z jakie trzydzieści tysięcy długu, a Wierzbiany warte trochę więcej, i dziś dadzą za nie z ośmdziesiąt tysięcy.

— Zkąd ośmdziesiąt? gdzie ośmdziesiąt? kto ośmdziesiąt? gwałt! — zakrzyczał przeraźliwym głosem Moszek, chwytając się za głowę. — Niech dadzą ze dwadzieścia pięć tysięcy to i to dobrze, a długu jest przeszło pięćdziesiąt.

— Nie pleć od rzeczy żydzie!

— Żle pan wyliczyłeś się z długów, — to tak wszyscy wielcy panowie robią i zapominają o swoich długach.

Jarosław się zamyślił i szeptał sam do siebie: a to przekłety żyd, jak mu wszystko jest wiadom!

— A więc wyliczywszy czarno na białém, pan masz długu z pięćdziesiąt tysięcy, a może i więcej trochę, bo ja liczyłem skąpo — mówił znowu Moszek.

Jarosław milczał.

— Majątek pański, przy tém zniszczeniu jak dzisiaj, nie wart więcej jak trzydzieści tysięcy.

— Czyś oszalał żydzie?! — zawołał Jarosław.

— Nie, mówię prawdę, choć panowie prawdy nie lubią słuchać — odezwał się Moszek — lepiej jednakże jest zła prawda jak nieprawda.

Żyd niemca trącił zlekka łokciem, spojrzeli na się, pomrugali jeden na drugiego i Moszek znowu się odezwał:

— No, trzydzieści tysięcy daje panu pan Milke, niech pan kończy, dalibóg to dobra cena na dzisiejsze czasy.

— Jakże chcesz, abym skończył — odezwał się Jarosław — samże mówisz o pięćdziesięciu tysiącach długu, a dajecie tylko trzydzieści. Za taką cenę nie sprzedam — rzekł stanowczo.

— Nic pan nie skorzystasz ze swego uporu, bo inaczej sprzedadzą Wierzbiany z licytacji. Pan wiesz jak dziś majątki sprzedają. Pani Biegunkowa sprzedaje swój kawałek za dwadzieścia ośm tysięcy rubli, Marszałek za ogromne dobra chce ośmdziesiąt tysięcy, a Hrabstwo za darmo prawie sprzedali, bo za sto dwadzieścia tysięcy, a ileż są warte Wierzbiany? — to maleństwo. Zresztą, jeżeli pan się zgadza, to pan Milke może dać panu trzydzieści jeden tysięcy, aby tylko dobić targu. On to robi jedynie tylko dla mnie i dlatego, że chce gorzelnię tutaj budować, a ja chciałbym, aby panu jakie ze dwa tysiące zostały, choć wierzyciele nie otrzymają całej należności. No, niech j. w. pan namyśli się dobrze, poradzi się żony i przystanie na naszą propozycję. Tymczasem adie, żegnamy j. w. pana, — to mówiąc oba współnicy podali rękę Jarosławowi i wyszli.

Po wyjściu kupców Jarosław opowiedział żonie o zaszłej z nimi rozmowie, która dopiero teraz dowodziła się o smutnej rzeczywistości, dotyczącej ich inte-

resów majątkowych. Elżbieta zanosila się od płaczu, gdyż dopiero teraz zmierzyła cały ogrom nieszczęścia i dowiedziała się o ogromnych długach, ciężących na Wierzbianach, o których przedtém nie miała pojęcia, a myśl pozbycia się rodzinnego gniazda więcej ją przerażała, niż pozostanie bez sposobu do życia, choć Jarośław ją upewniał, że procent od kapitału kilkunastu tysięcy, jakie im mogą się zostać ze sprzedaży Wierzbian, wystarczy na skromne utrzymanie w jakimś mieście.

XVII.

W plebanii Wierzbiańskiej zaszło téż zmian mało. Brzuchalska, gospodyni Proboszcza, wyszła za mąż i dziś jest szczęśliwą żoną i matką sześciorga dzieci. Proboszcz został prałatem w Wilnie, gdzie wkrótce życie zakończył, a przechodząc do wieczności, przekazał swój dwudziestokilkotysięczny fundusz dla Brygisi. Miejsce proboszcza w Wierzbianach zajął dawny jego wikary ks. Jan. Od tego czasu wszystko się zmieniło w parafii i stary system rządu został zniesiony. Nowy proboszcz porozpędzał niepotrzebne dusze z plebanii, zaco otrzymał od sąsiadów nazwę niemilosiernego; później przyprowadził kościół do porządku, uczył dzieci wioskowe czytać i pisać, i pomimo tego, że był nielubianym od parafian surdutowych, chociaż liczba ich była znacznie mniejszą, zato bracia w siermięgach coraz bardziej do niego się garnęli, a on każdego z nich wspierał dobrą radą, przestrzegał w zboczeniach, a potrzebującym prawdziwie udzielał pożyczek, albo pomagał sowi-

tym datkiem.—Ubolewał on bardzo nad upadkiem fortun szlacheckich, widząc w tém nieszczęście kraju.—Szlachta, mawiał nieraz, ma obowiązek podźwigać lud z ciemnoty i nędzy, ale zamiast tego, przez lenistwo i nierząd, tracą fortuny i kraj rujnują oddając na pastwę żydom.—Moralnością ludu i szlachty będzie wkrótce kierować żyd siedzący w karczmie, albo spekulant wysysający wszystkie soki z ziemi, aż w końcu wyniszczwszy wszystko, sprzedaje ją na łup innemu.—Gdy był pewnego razu zajęty podobnemi myślami, spostrzegł wchodzącego do swego pokoju Kazimierza.

— Słyszałeś — mówił wchodzący — tracimy znowu jeszcze jedną z najdawniejszych posiadłości szlacheckich—Wierzbiany przechodzą w ręce żyda Moszki do wspólki z jakimś prusakiem.

— Co mówisz? Wierzbiany! — zawołał młody proboszcz podskoczywszy ku niemu. — Skończenie świata!

— Do tego jeszcze sprzedają za bezcen — dodał Kazimierz.

— Co oni sobie myślą? Pozbawimy się znowu obywatela; choć prawda, niewiele z niego mieliśmy pociechy, ale mógłby się z czasem poprawić, a z żydem lub niemcem, jakimś przybyszem, cóż możemy mieć wspólnego.... on nie zna ani nas, ani ludu, nie kocha téj ziemi tak jak ci co na niej zrodzili się i wzrosli.

— Do sprzedaży Wierzbian zmuszają ich długi — przerwał Kazimierz, — ale dowiedziawszy się o bliższych szczegółach, można będzie popróbować jeszcze, czy nie uda się ich wydobyć z tego z upadku.

— Jakiż jest jeszcze ratunek dla nich? — zapytał ksiądz.

— Oto urządziwszy bank nasz prywatny, na dobrą wierzę wstępujących do niego oparty, i gdy ten tylko pozostanie jego członkiem, kto jest nam znany i ma zaufanie ogólne. Bank ten może być stróżem i opiekunem naszej okolicy. Ja mam z parę tysięcy, które jestem gotów włożyć w tę sprawę zbawienną, Probosz coś udzielisz także, znajdziemy może jeszcze kilku gospodarzy, którzy przyłożą się choć w części swemi szczupłemi funduszami do sprawy tak blisko tyczącej się całej okolicy, a tym sposobem nie wpuścimy do niej żyda lub Niemca—na początek i tego będzie dosyć. Niech przynajmniej utrzymamy Wierzbiany przez pamięć dla tak zacnego człowieka, jakim był ś. p. Sędzia, i dla jego rodziny.

— Projekt dobry—przerwał mu Proboszcz,—ale wątpię czy z takim człowiekiem jak Jarosław będziemy mogli się porozumieć.

— Może jakkolwiek się to uda. Z wierzycielami zrobimy umowę i przez lat kilka spłacimy długi, ale trzeba, aby dziedzice pozostawili nam rządy majątku, a sami mieszkali na wsi nic nie tracąc. Śpieszmy więc do nich co najprędzej, aby sprzedaż nie doszła do skutku, bo wtenczas wszystko będzie już za późno.

— Proboszcz więc nie oponował Kazimierzowi, był najzupełniej podbitym jego wymową, kazał zaraz zakładać konie i pojechali obydwaj do dworu. Przybywszy tam zastali Elżbietę czytającą książkę, a Jarosław w drugim końcu ogrodu dyrygował ludźmi budującymi altanę i żwirującymi ogród.

Jarosław serdecznie przywitałszy się z gośćmi zawołał:

— Zdaje mi się, że od czasu mojego ożenienia pierwszy raz od lat tylu witam panów w moim domu,

pierwszy a może i ostatni... Nie wiem czemu to szczęście mam przypisać.

Kazimierz i Proboszcz milczeli zamyślając się na przemian, a Jarosław był wesołym i mównym.

— Patrzcie panowie—mówił im wskazując ręką—oto nową tę aleję przeprowadzam przez ogród, która pójdzie przez największą gąszcz, w końcu której buduję altanę chińską. A z niej, patrzcie, jaki to malowniczy widok na Niemen i jego brzegi, wszystkie wesołe i smutne chwile z życia Litwy będziemy z niej oglądać: tu podbicie Krzyżaków, tam dalej miejsce śmierci Gedymina, trochę dalej gaj, w którym przedwieczni litwini składali ofiary swojej bogini i jej imieniem też uczczony. Przepyszny to krajobraz, ile w nim wspomnień, a ile życia, kolorytu i wspaniałości! A jaki znowu ztąd widok śliczny na wsie leżące na przeciwległym brzegu Niemna!

— Choć ładna okolica, ale cóż z tego kiedy w niej coraz to więcej głucho i pusto — odparł ksiądz.

— Mnie się zdaje — zawołał Jarosław—że ksiądz Proboszcz i pan Kazimierz nie mogą uskarżać się na to, bo jak było więcej towarzystwa, to nie tylko że nigdy z tego nie korzystali, ale go jeszcze unikali, więc lubią samotność, najmniej na tém ucierpią.

— Nie bywałem i nie podzielałem czasu z tymi ludźmi, którzy tu mieszkali, a jednak mocno mnie boli i dotyka to wszystko, co ma związek z nimi i z moją okolicą, którą ukochałem, choć przytém nie jestem wielkim zwolennikiem ani ich zasad, ani przekonań.

Tak rozprawiając we trzech podążali w drugi koniec ogrodu, gdzie pod starą rozłożystą lipą, otoczona dziećmi, siedziała Elżbieta trzymając w ręku książkę.

Nie była to już dzi siaj ta młoda siedmnastoletnia dziewczyna, jaką była przed kilkunastu laty rwiąca się do życia z nadzieją jeszcze niezawiedzoną w dobroć i cnoty ludzkie. Twarz jęj pokryły zmarszczki trosk i nie-szczęść i wryły piętno tych rozczarowań, jakich dozna-ła w tak młodym wieku. Po przywitaniu się z nią, Pro-boszcz objawił Jarosławowi, że chce kilka minut pomó-wić z nim na osobności i w tym celu udali się boczną drogą idącą wśród gęstych zarośli, które były prawdzi-wém miejscem zwierzeń i z kąd nie można było być pod-słuchanym przez nikogo. Kazimierz pozostał przy Elżbiecie.

— Panie Jarosławie—mówił Proboszcz pozostaw-szy z nim sam na sam — powiadają, że sprzedajecie Wierzbiany; wieść ta przeraziła mnie jak gromem.—Po-wiedzcie mi czy to prawda?

— Od kogo Proboszcz o tém słyszałeś? — zapytał Jarosław.

— Chodzą przynajmniej takie pogłoski w sąsiedz-twie, ale zawsze w to wątpiłem, aby żona pańska zgo-dziła się pozbywać tak łatwo swój ojcowizny, — odrzekł ksiądz.

— Interesa nasze nie są jeszcze w tak opłakanym stanie; kilkanaście tysięcy długu nie jest jeszcze zbyt wielką sumą i nie mamy téj konieczności, któraby nas zmusić mogła do sprzedaży.

— Powiem panu otwarcie — zawołał ks. Jan — że widząc ciągle rzedniejące szeregi naszój szlachty, postanowiliśmy czuwać nad tém i przychodzić w pe-wnych razach z radą, lub pomocą, jeżeli one przydać się na co jeszcze mogą.

— Uczynek ze strony panów bardzo szlachetny i chrześcijański, ale na szczęście, my nie potrzebujemy korzystać z tego i być próbą tego tak szczęśliwie obmy-słanego planu.

Proboszcz zauważywszy, że rozmowa wstecz się cofa i że ambicya Jarosława cierpi na jego propozycyi, starał się ciągle ściągać rozmowę na przedmiot misyi z jaką przyjechał do Wierzbian, lecz Jarosław zbywał go ogólnikami, opowiadając o mało znanych dla Probosz-cza sąsiadach, zabawach i wyścigach w Wilnie, na któ-rych on otrzymał pierwszą nagrodę i że był ubrany w ko-lory swego herbu, również kto się żeni, lub która panna w okolicy zamąż idzie i ile ma posagu. Ksiądz nie-cierpliwił się słuchając opowiadania o rzeczach mało sobie znanych, a w końcu zwątpił zupełnie w swoje posłannictwo.

W tym samym czasie w drugim końcu ogrodu pod dębem siedział Kazimierz rozmawiając z Elżbietą. Lat kilkanaście ubiegło od czasu, jak ją widział tak blisko i z nią rozmawiał; Elżbieta go unikała; nie wiadomo czy robiła to z niechęci ku Kazimierzowi, lub poczuwając się do jakiegobądź winy względem niego.

— Co pani czyta z takiém zajęciem? — zapytał Kazimierz zbliżając się i siadając obok Elżbiety.

— Powieść bardzo zajmującą—odpowiedziała mu Elżbieta, odkładając na stronę książkę — w niej widzę wady i całą przeszłość naszego społeczeństwa, jaką przeżyliśmy niedawno, jestto nauka na przyszłość, którą nam drogo okupić przyszło. Przypomina mi to wszyst-ko i moją własną dolę, którą przeżyłam wśród tego okresu; te sny ułudne i marzycielstwo panieńskie po

dziś dzień oplakuje. Wszystko to bezpowrotnie minęło, pozostawiając po sobie wspomnienia albo popiołów zmarłych, lub gruzów pozostałych. Niestety! to już przeszło, a dziś nie możemy podźwignąć się z upadku... i zaczęła płakać.

Kazimierz gdy się jęj przypatrzył, spostrzegł wielką zmianę; zdrowa i czerstwa przedtém jęj postawa, była dziś zgnębioną i wychudzoną, twarz opromieniały dwa złowieszcze gorączkowe rumieńce, oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem, a usta były zeschłe niszczącą gorączką. Nie było w niej dawnej pewności i energii, ustąpiły one miejsca rozczarowaniu i zniechęceniu.

— Będąc młodą, szczęśliwą — mówiła dalej Elżbieta — myślałam, że całe życie będę taką, tymczasem gorzko się zawiodłam, ludzie mnie oszukali i zdradzili i zmarnowałam życie.— Czy pan pamiętasz owen nasze maskarady, których dopuszczaliśmy się pod wpływem idei, które poprzewracały nam głowy, bo chcieliśmy zostać wtenczas chłopami; chęci te jednak niedługo trwały, staliśmy się potem arystokracją, okoliczności jednak nie pozwoliły nam dłużej nią pozostać i grać komedią, a dziś kim się staniemy, nie wiem—dodała z westchnieniem. Pan szczęśliwszy w życiu, zostałeś jednakim przebywając burze, a młodość nie znużyła i nie złamała pana, ale jeszcze wzmocniła w przekonaniach. Jesteś pan takim jak przed laty.

— Bo nic od życia i od ludzi nie spodziewałem się więcej, oprócz tego, co dać mi mogli—odparł Kazimierz spokojnie.

Długo potém jeszcze trwało milczenie, nareszcie zaczęła mówić Elżbieta jakby do siebie, zapominając o obecności Kazimierza:

— Jakaby przeszłość moja nie była, to przyszłość mnie oczekująca, jeszcze jest gorszą; zresztą ona dla mnie nie tak straszna, bo jestem zahartowaną w cierpieniach, ale dla moich dzieci! Cóż się z nimi stanie? Niezadługo wszystko, co mamy, zabiorą żydzi—nie ma już dziś sposobu wyjścia z długów, które przewyższają wartość majątku. Jarosław powiada, że pozostanie po sprzedaży coś, ale ja w to wątpię. O! gdyby mój ojciec mógł powstać dziś z grobu i widzieć do czego doszliśmy, wykłębłby mnie na pewno! Nie tylko że brat nic nie chciał wziąć ze spadku należącego mu się po ojcu i nie otrzymał należnych mu dwóch tysięcy rubli, ale domyślając się naszych złych interesów, przysłał nam kilka razy po paręset rubli; — gdy wymawiała te słowa, Elżbieta łzy miała w oczach a mowę jęj przerywał przeciągły suchy kaszel.

W tęg chwili podeszli do rozmawiających Proboszcz z Jarosławem, rozmowa stała się ogólną, więcćj ożywioną i przymuszenie wesołą.

Późny był już wieczór, kiedy Proboszcz z Kazimierzem wracali do plebanii, spotkawszy około drzwi Wierzbiańskiego dworu wysiadających z prostego wozu arendarza Moszkę z nieznanym dla nich człowiekiem. Spostrzegłszy ich Proboszcz, tak mówił do Kazimierza o dziedzicach Wierzbian:

— Nie pojmuję tych ludzi: Moszko ciągle łązi, widać, że faktoruje komuś kupno majątku, widać, że bankructwo ostateczne i sprzedaż nieunikniona, chociaż Jarosław przed chwilą mnie jeszcze zapewniał, że o sprzedaży ani myśla. Niepojęte są również dla mnie te nowe aleje, altany, żwirowanie ogrodu przy upadku majątku; podobne rzeczy ten tylko robi, kto się dłużej spodziewa być dziedzicem niż dni kilka.

— To tak jest niepojętém, jak niepojęty jest ten człowiek i zmienny w swoim postępowaniu — dorzucił Kazimierz zbliżając się do wrót plebanii.

XVIII.

W kilka dni były już napisane warunki sprzedaży Wierzbian za trzydzieści ośm tysięcy rubli, co stało się wiadomém w całej okolicy. Żyd całą tę rzecz przyrzekł załatwić przyjmując na siebie spłatę długów, tak, że wskutek szlachetności i umiejętności Moszka, pozostało Elżbiecie tylko z tysiąc rubli. Za kilka tygodni dawni dziedzice Wierzbian mieli wyjechać na mieszkanie do Wilna, choć mniej znajomym Jarosław mówił, że wyjeżdża z rodziną zagranicę za przykładem innych sąsiadów.

Na kilka dni przed wyjazdem zapytywała żona Jarosława.

— Cóż dziś pocniemy, funduszu nie mamy, ja do tego jestem słabą, pracować sił nie mam, a lekarze nie wróżą mi długiego życia.

— No, to umrzesz, jak żyć nie zechcesz — odparł obojętnie Jarosław.

— Gdyby nie dzieci pięcioro wyżywić, przyłożyłabym sama rękę do zagłady siebie! Jeżeli tylko dla miłości dzieci zdecyduję się dźwigać ciężar życia, z czegoż żyć będziemy? Ja pracować nie umiem, a ty nie zechcesz — mówiła z płaczem Elżbieta.

— Umiałś żyć w dostatkach, umiej i w nędzy pracować. Możesz szyc na maszynie, jestto rzecz prze-

cie popłatna, założysz jakikolwiek handel, a zresztą restauracją, przecież urzędników stołować potrafisz.

Elżbieta wciąż zanosila się od placzu.

— Nie gniewaj się, moja droga, że ci mówię prawdę, w bawełnę ją nie obwijając, jestto rzeczywistość, z którą każdy człowiek styka się w życiu, a w niej rąk opuszczać nie można bezradnie. Człowiek powinien mieć hart duszy, gdy go los prześladuje.

Byłato ostatnia rozmowa w Wierzbianach pomiędzy dawnymi dziedzicami.

XIX.

W plebanii toczyła się rozmowa pomiędzy Proboszczem i Kazimierzem tej treści:

— Czy wiesz co, Janie—mówił Kazimierz do Proboszcza—Wierzbiany już sprzedane i wkrótce do nas zawita administracja żydowska. Kupił je ten sam Niemiec, któregośmy widzieli kiedyś, do wspólni z Moszką. Przez fałszywą dumę i ambicję odrzucili naszą pomoc, a mogliśmy uratować choć kilka cegiełek z walącego się budynku, lecz Jarosław uległ propozycji opieki żyda, który ich obdarł jak tylko mógł.

— Cóż dalej oni zamyślają począć?

— Wyjeżdżają podobno na mieszkanie do Wilna, dla pozostawania tam bez sposobu do życia — odparł Kazimierz.

W tej chwili drzwi się otworzyły i weszli do pokoju dwaj gospodarze włościanie; jeden z nich znajomy

nam Ptaszyński, a drugi krewny Proboszcza, niemłody już człowiek.

— Niech będzie pochwalony — odezwał się Ptaszyński — źle słyhać, księżę Proboszczu, chodzą pogłoski, że jakoby ten półgłówek Jarosław Wierzbiany sprzedaje, czy to być może? Szkoda tej młodej pani!

— Nietylko że być może, ale już są sprzedane — odparł Proboszcz.

— Jezus Marya! — zawołali obaj gospodarze z przerażeniem chwytając się za głowę, a Ptaszyński dalej mówił:

— My przyszliśmy do was prosić o radę, czy nie można będzie temu jakkolwiek zaradzić. Przecież zrośliśmy się z tymi panami, a nasi dziadowie żyli z ich dziadami. Ten młody pan to dziwak i do niczego, ale co stary pan Sędzia to był człowiekiem, jakich dziś mało na świecie, nawet ze świecą znaleźć niepodobna. Cóż my pocniemy, jak jaki Moszko zasiądzie we dworze, toż to nieszczęście będzie dla naszego ludu, będzie go rozpajać wódką, jak niegdyś bywało i kolatorem kościelnym zostanie. Czyto już nie ma ratunku, powiedzcie? Gotowi byliśmy zrobić jakąś składkę, ażeby tylko im dopomódz dla uniknięcia sprzedaży.

— Tak wielkiej sumy samibyście nie złożyli — odparł Proboszcz — długi są znaczne, kupić dla siebie nie bylibyście także w stanie. Chcieliśmy z panem Kazimierzem obmyśleć dla nich środki pomocy, ale oni ich nie przyjęli, woleli ostatecznie, w rękach żydowskich zostawiwszy ziemię, zginąć, aniżeli posłuchać rad dla siebie życzliwych.

Gospodarze pokiwali głowami rękawami lzy ocierając i długo jeszcze myśleli i naradzali się co czynić, lecz

nie przyszedłszy do żadnego rezultatu, pożegnali Proboszcza.

Po wyjściu włościan Proboszcz zapytał Kazimierza:

— Powiedz mi, co za powód takiej zmiany, jaką dostrzegłem od niejakiego czasu na twojej twarzy? Miałem cię zawsze za człowieka twardego i silnego ducha, a dziś tak łatwo upadasz; wątpię, aby sprzedaż Wierzbiana mogła na ciebie wpłynąć tak silnie. Przez te parę tygodni zmieniłeś się do niepoznania, schudłeś, nie jesz, nie śpisz i chodzisz jak nieżywy. Czyż z tą sprzedażą straciliśmy już wszystko? Z Jarosława nie mieliśmy przecie wiele pociechy, nie było obywatel, jakich nam potrzeba; żyd z Niemcem wyniszczą wszystko, to prawda, ale potem ci spekulanci sprzedadzą ziemię i ona znowu przejść może w ręce człowieka o wiele może godniejszego i lepszego obywatela, aniżeli ten co ją utracił.

Kazimierz nic nie odpowiedział, załamał ręce i upadł bezwładny na krzesło.

— Wstydź się, my tylko pozostaliśmy z tobą, a tymczasem jeżeli i my stracimy wiarę w siebie, to cóż będzie? — rzekł Proboszcz.

— Janie! posłuchaj co ci powiem. Od dni kilku powziąłem postanowienie wydzierżawić kawałek mego gruntu i wynieść się z tych stron; zamierzam po tylu zawodach...

— I ty to mówisz, ty, co zachęcałeś nas do czynu i pracy, a dziś...

— A dziś zwątpilem, zużyłem się, może chwilowo tylko, lecz potrzebuję spoczynku.

— Wyniosę się do miasta, będę uczyć dzieci a mały zarobek, jaki z tego mieć będę, wystarczy mi na skromne utrzymanie.

— Co cię do tego skłania i gdzie chcesz zamieszkać? — zapytał go Proboszcz.

— W Wilnie.

— O! teraz rozumiem. Znam cię od lat tylu, a jednak dziś tylko uczucie w tobie wzięło górę nad obowiązkiem i odgadłem skrytość twego serca, twarde jak stal człowieku. Wiem teraz, żeś kochał Elżbietę, lecz skromność wrodzona i duma nie pozwoliły ci przed nią się wynurzyć.

— O, bo nie mogłem. — Ja syn chłopca, plebejusz, a ona szlachcianka. Wolałem całe życie cierpieć i szukać zapomnienia w pracy i widząc jej szczęście być szczęśliwym. Lecz inaczej się stało. Patrząc na jej młodość zламaną, życie zwichnięte, cierpiałem niewypowiedziane, lecz nikt o moich cierpieniach nie wiedział oprócz mnie samego. Cierpienia te trwały lata całe i spłotły się z pasmem dni moich; a dziś patrząc na nią zbolalą, schorowaną, ubogą, potrzebującą pomocy i opieki, mamże ją opuścić?...

— Czyż mogłem kiedy domyśleć się w tobie Kazimierzu takiej poetycznej miłości, w człowieku nieunoszącym się nad niczem, spokojnie chodzącym po ziemi i tak rozważnym.

— Wy duchowni — mówił Kazimierz — zamknęci w obowiązkach swego powołania, nie pojmując polotu ducha ludzkiego i przenoszenia go nad drobne obowiązki życiowe, które spełniając, można zeznawać swoją wielkość i żyć ideą. Ale myśl ludzka wybić się powinna i nie upadać pod drobnymi niepowodzeniami, nie zniechęca-

jąc się do niczego. — To mówiąc powstał prędko z krzesła, tak jakby wstydził się swego chwilowego zapomnienia i upadku energii. — Wyjeżdżam za parę tygodni do Wilna, o szczegółach dotyczących się tego, pomówimy inną razą, a teraz bądź zdrów Janie, muszę jeszcze dziś żyto zwozić i miód podbierać, ażeby zebrać trochę grosza na drogę. Dostyc tych lamentacyi, które robią człowieka gnuśnym i niezdolnym do pracy; — to mówiąc Kazimierz podał dłoń Proboszczowi, który ze łzami w oczach rzucił mu się na szyję.

— Kazimierzu! — wołał — jesteś człowiekiem dziś rzadkim pomiędzy nami, więcej możesz robić dla ludzkości, aniżeli ja, przykuty dla kawałka chleba do tej sutany i jakby wyjęty niekiedy z pod praw ogólnych rządzących resztą ludzi. Nie mogę zaznać miłości ludzkiej, oprócz ukochania tych głazów martwych, które mnie do siebie przykuły, bo po za niemi nie ma dla mnie szczęścia, nie ma życia, nie ma świata. — Gdy to mówił Proboszcz miał łzy w oczach, co widząc Kazimierz, śpiesznie wyszedł, gdyż zeznawał to sam przed sobą, że na taką skargę serca osamotnionego przymusowo człowieka, trudno znaleźć słów pociechy.

XX.

Byłato jesień pochmurna i dżdżysta, jak to zazwyczaj bywa w listopadzie; deszcz dzień cały padał a błoto obrzucało obficie jadących i idących. Byłato w Wilnie.

Pod wieczór przez wielką ulicę z zawiniątkiem w rękę biegła uboga kobieta, tak przynajmniej wnioskować można było z jej lichego ubrania, okryta czarną chustką, z po za której wyglądała twarz jej jeszcze młoda, lecz schorowana i wynędzniała, nosząca na sobie cechę pewnej inteligencji, czém wyróżniała się od innych przechodzących. Była to biedna szwaczka, dnie całe spędzająca nad maszyną, a teraz wracająca z magazynu, z którego brała robotę do domu. Przebiegła część ulicy Niemieckiej i podążyła w jedną z uliczek wąskich i brudnych, gdzie doszedłszy do staroświeckiego wysokiego domu, zaczęła się wdrapywać z trudnością na ciasne i brudne wschody czwartego piętra, otworzyła drzwi i weszła do małego chłodnego pokoiku o jednem oknie, gdyż piec liche mało go ogrzewał. W pokoiku, oprócz stołu z połamanymi nogami, opartego o ścianę, paru łóżek i krzeseł nic więcej nie było; pięcioro dzieci od trzech lat do dwunastu, obdartych i bosych po nim biegało, a mężczyzna średniego wieku, ubrany bardzo czysto i modnie, jak na otoczenie, w jakim się znajdował, leżąc na łóżku i nogami opierając się o poręczę jego, wygwizdywał jakąś arję z „Łucyi”. Na twarzy jego malowały się zadowolenie i spokój. W tej właśnie chwili weszła kobieta do pokoju zadyszana, zaczęła silnie kaszlać i krew z ust się jej rzuciła. Rozebrała się z wierzchniego odzienia, ze zmęczenia nie mogąc wymówić ani słowa i rzuciła się na łóżko.

— Elżuniu! — zawołał na nią mężczyzna leżący na łóżku — wiesz kogo dziś widziałem, ani ci przez myśl nie przejdzie... Kazimierza Wilużysa; ma on otrzymać tutaj jakieś zajęcie; prosiłem, aby do nas zaszedł

co wieczorem dziś przyrzekł, ale za tę nowinę powiedz, ile otrzymałaś za robotę?

— Dwa ruble — odrzekła.

— No, to daj mnie rubelka do teatru a przytém potrzebuję rękawiczek, ażeby nie wyglądać jak jaki lokaj.

— Jarosławie, to przecież ostatnie dwa ruble, więcej nie mamy, a ty co dzień tracisz na karty i zabawy!

— Pracuj, to będziesz miała — odparł krótko Jarosław.

— Jakże mam inaczej pracować? Pracuję i tak nad siłę, noce i dnie całe szyję, ale więcej zarobić nie mogę.

Jarosław ubrał się, wylajawszy żonę, że koszulę źle mu uprała, naciągnął rękawiczki, zabrał dwa ruble, ucałował w końcu żonę i dzieci, i najszybciej wyszedł z pokoju biegnąc przez schody i nucąc jakąś piosnkę.

Długo jeszcze po wyjściu Jarosława leżała na łóżku Elżbieta płacząc, a później, gdy mrok zapadał zupełnie, zapaliła świecę łojową i zaczęła szyć na maszynie, a najstarszy z dzieci czytał książkę. Ale szyć nie mogła, siły jej brakowało, a suknia wypadała z jej rąk omdlałych. Przypomniała sobie wtedy przestrożę lekarzy, że szycie szkodzi, lecz cóż na to poradzić; musiała nakarmić kilkoro dzieci i tego, który przyczynił się do jej ubóstwa. — Na cóż dziś komu moje życie, pomyślała sobie — dziś ja Jarosławowi niepotrzebna, bo nie mam, uboga, niedołężna i chora muszę pracować z ostatka sił moich. Ale dzieci moje, dzieci! jeżeli pracować nie będę, cóż się z nimi stanie! Boże! przebac, że zwątpi-

łam, wspomóż i dodaj mi sił do pracy, bo dziś Ty jeden tylko możesz udzielić mi pomocy. To mówiąc odetchnąwszy, zebrała sił ostatek i gorączkowo chwyciwszy w ręce suknię, maszynę w ruch puściła. W téj chwili ktoś do drzwi zapukał, synek starszy pobiegł je otworzyć i wszedł Kazimierz. Po czułym przywitaniu Elżbiecie zdawało się, że wróciły się te czasy, kiedy była młodą, szczęśliwą, pełną nadziei na przyszłość i kiedy Kazimierz radą nieraz dobrą ją wspierał, i cieszyła się, że w chwili nieszczęścia znowu znalazł się człowiek, który mógł w czemkolwiek dopomódz i osłodzić choć w części jej cierpienia.

Kazimierz otrzymawszy w Wilnie prywatne zajęcie za niewielkie wynagrodzenie, wieczory całe zwykle spędzał w towarzystwie Elżbiety, Jarosława najczęściej nie zastając w domu. Tak odwiedzając Elżbietę przynosił z sobą zawsze jakieś jedzenie i sam rozpalał ogień na kominku, wyręczając Elżbietę w zajęciach, która z dniem każdym znacznie z sił opadała. Kazimierz widząc wielki niedostatek Elżbiety, przychodził jęj o ile mógł z pomocą.

Nie była to jałmużna Pańska, rzucana przechodniowi, ale prawdziwa pociecha dla Kazimierza, że mógł w nieszczęściu przyjść z pomocą, wypełniając tym sposobem obowiązek czysto przyjacielski. — Jarosław zaś noce całe spędzał w kawiarniach, lub grając w karty u swych przyjaciół i przegrywając ostatni grosz zapracowany przez Elżbietę lub Kazimierza, wracał do domu nad ranem, a potem spał dzień cały.

Jednego z tych długich jesiennych wieczorów, które Kazimierz spędzał w staréj kamienicy, przychodząc tam jak tylko zmrok zapadał, znalazł Elżbietę bardzo osłabioną, gorączka paliła jęj ciało, a oddech ciężki.

ledwo się mógł wydobyć z jęj piersi zapadłych. Gdy ujrzała wchodzącego Kazimierza zawołała:

— Nie będę nigdy w stanie wywdzięczyć się panu za tyle dowodów przyjaźni i współczucia, jakie pan mnie okazujesz, témbardziej, że sama uznaję się względem niego winną, o czém jednakże nie chcesz pamiętać. Wszyscy dawni sąsiedzi i przyjaciele, którzy dziś tutaj bawią, zaparli się nas i nie poznają w nędzy. Któregoś dnia spotkałam Hrabinę wysiadającą z karety; zmierzyla mnie dumném spojrzeniem, chłodném i przeszywającém i udała, że nie zna. Pani Biegunkowa także upokarza nas, uważając za coś gorszego. — Gdy wymawiała te słowa ciężki kaszel wyrwał się z jęj piersi.

— Czemu pani nie udasz się do doktora? — zapytał Kazimierz, — żartować z chorobą nie można; dziś ona na pozór może jest nic nieznacząca, ale gdy się nie zapobiegnie na razie, to z czasem może stać się niebezpieczną.

— Nic mi już nie pomoże — odezwała się Elżbieta — nieszczęście mnie przygniotło już od dawna swoim ciężarem a praca nad siły, dobija. O! czyż mój ojciec spodziewał się tego, co się ze mną stanie. — Ludwik choć był pokrzywdzonym, ale szczęśliwszym został ode mnie!

W kilka dni potem Kazimierz z Elżbietą udali się do jednego z najlepszych lekarzy wileńskich. Po staranném zbadaniu choréj, doktor zapisał lekarstwo, a gdy Elżbieta wyszła, Kazimierz pozostawszy z nim sam na sam, zapytywał czy można mieć nadzieję na poprawienie się choréj, lecz doktor pokiwał przecząco głową i powiedział:

— Choroba już jest dziś na tyle rozwinięta, że mała nadzieja pozostała na naszą pomoc, a jak gorączka się wzmoże... źle, źle...

Kazimierz zbladł tylko i nic nie odpowiedział; zbiegł ze schodów, i zawoławszy fiakra, bo Elżbiecie iść było trudno, przywiózł ją do domu.

Tegoż wieczora Elżbieta nie mogła już żyć na maszynie, pomimo, że nazajutrz był termin oddania roboty—zbrakło jej sił zupełnie. Leżała ona mocno osłabiona na łóżku, a dzieci spały. Na stole paliła się świeca lojowa słabo oświetlająca pokój bladym płomieniem. Jarosława nie było w domu, sam tylko Kazimierz siedział przy łóżku choréj i tak do niéj mówił:

— Cóżbym dał za to, gdybym był w mocy wrócić pani kilkanaście lat czasu!—Czy przypominasz pani nasze wspólne wtenczas zabawy, ową wesołość swoją bez trosk i smutku, kiedy szczęście samo do ciebie się uśmiechało. Nie wątpię, że będziesz pani szczęśliwą, mając do tego prawo, bo urodzenie, uroda, wewnętrzne zalety i majątek za tém przemawiały, a tymczasem... czarę goryczy musiałaś aż do dna wychylić. O! gdybyś pani wiedziała, ile na tém cierpiałem i jak mnie los twój obchodził, kiedy spostrzegłem, że masz złamane życie z przyczyny człowieka, który cię zgubił na zawsze. O! wolałbym nie dożyć téj strasznéj godziny, aby nie widzieć cię tak nieszczęśliwą.—Cierpiałem i ja przez całe życie kochając cię miłością czystą, rozważną; ale ty jéj nie zrozumiałaś, a ja wyjawiać nie śmiałem, będąc tylko bakałarzem wiejskim i nic więcej. Dziś widząc cię chorą, ubogą, niemłodą i nieszczęśliwą, rad jestem, że mogę ci być pomocnym. Potrzebowało twoje młode serce więcej deklamacyi, więcej słów namiętnych, uniesień i poezyi, niż ci mógł dać ubogi syn litewskiego chłopca! Kiedy dowiedziałem się o twoim wyborze, wtedy z początku chciałem ci rzucić się do nóg

i prosić, abyś go zmieniła, lecz nie chciałem być intrygantem i nie śmiałem tego zrobić, niestety.—Elżbieto! za tyle lat cierpienia i poddania się z rezygnacją, niech choć ta iskra sympatyi, jaką obudziłaś w sobie ku mnie w dzieciństwie, dziś się roznieci w tobie i pozwoli mi gdy jesteś nieszczęśliwą, współczuć i pocieszać cię w twoich cierpieniach.

— Ach! Kazimierzu, — odezwała się Elżbieta wzrok swój gasnący zwróciwszy ku niemu — ach! czemu, czemu nie można wrócić przeszłości; dla czego dopiero dzisiaj, kiedy przede mną wszystko zamknięte prócz grobu, dowiedziałam się, że był człowiek na ziemi, który całe życie myślał i kochał mnie gorąco; teraz przynajmniej umrę spokojnie wiedząc, że przez pamięć dla mnie, nie zapomnisz o moich dzieciach!

W kilka dni potem powtórzyła się zwykła scena z Jarosławem; leżąc na łóżku gderał na żonę, że nie zajmuje się dziećmi i nic robić nie chce. Wieczorem tegoż dnia Elżbieta już chodzić nie mogła, czém przestraszony Kazimierz, przyzwał doktora.

Jednego dnia wieczorem, gdy Jarosława jak zwykle nie było w domu, Kazimierz siedział przy łóżku Elżbiety zupełnie już prawie bezsilnej, która opowiadała mu głosem wzruszonym, ledwie dosłyszczanym i coraz słabszym o swojej młodości i chwilach, kiedy wspólnie się bawili w Wierzbianach a w końcu dodała: — Kazimierzu, ja umieram, pamiętaj o moich dzieciach, jeżeli mnie kochasz i nie opuszczaj ich, podaj mi rękę; — to mówiąc ujęła jego rękę w swoją, którą Kazimierz ucałował. — A teraz jestem spokojną, dziękuję ci za ostatnie chwile litości, współczucia i pociechy, w których świat cały mnie opuścił.—To powiedziawszy westchnęła głęboko,

ręce jej opadły, twarz zupełnie zbladła i ciało zaczęło chłódnać.

— Ona nie żyje! — wykrzyknął Kazimierz tracąc nad sobą przewagę; — chciał ją przywrócić do życia, prosił, błagał, płakał, lecz wszystko było daremnem. Pozostał więc z trupem bez życia i nie wiedział co ma począć wśród nocy. Dzieci już spały, turkot i gwar uliczny ustał i cisza panowała w ubogiej stancyi, a paląca się łożówka słabem światłem oświeślała pokój. Okoliczności, w jakich śmierć Elżbiety nastąpiła, nadawały jeszcze więcej przerażenia temu obrazowi. Nic więc nie pozostawało zrobić Kazimierzowi, jak umyć, uczesać i przybrać nieboszczkę i czekać nadchodzącego poranku. — Dzień już był gdy nadszedł Jarosław nagwizdując jakiegoś walcę, lecz gdy zobaczył leżącą na łóżku i czysto przybraną Elżbietę, zapytał czemu ona tak zbladła.

— Ona nie żyje — odpowiedział z rezygnacją Kazimierz.

Jarosław wtedy rzucił się na ciało już nieżyjącej kobiety-męczenniczki i głośno płakał dając przysięgę, że nigdy się nie ożeni. Od tych żalów ojca dzieci się pobudziły, powstał płacz i krzyk w całym pokoju.

Po chwili Kazimierz odezwał się:

— Już płakać zapóźno, nic nie pomoże, płaczem ją nie wskresimy; trzeba pomyśleć o pogrzebie i kazać zbić trumnę z czterech desek.

— Niech się odbędzie jak najokazaliej pogrzeb, ja chcę jak można najwięcej uczcić pamięć tej czcigodnej kobiety — odezwał się Jarosław.

— Lepiej pieniądze schować, jeżeli je masz, na coś lepszego, jak pogrzeb — odrzekł mu Kazimierz.

Jarosław prosił w gorących słowach Kazimierza, ażeby chciał zająć się pogrzebem, obiecując potem zwrócić mu kosztą.

— Dziwny to człowiek — pomyślał sobie Kazimierz — u niego głównie o pozór chodzi: zamordował kobietę, a teraz po śmierci chce okazać do niej swe przywiązanie wspianiałym pogrzebem i dobrém poczęsnem.

— Dobrze, zajmę się pogrzebem — odpowiedział Kazimierz — ale będzie taki, jaki w dzisiejszych warunkach stosowny. Z prostych desek zbijemy trumnę i zaniesiemy w nią ciało na chmentarz cicho i skromnie.

— O ludzie, ludzie zimni i bez serca! — zawołał Jarosław zanosząc się od płaczu i upadł na krzesło.

XXI.

Chłodnego poranku grudniowego szron biały pokrywał dachy domów, chodniki i ulice miasta, a zimno dawało się czuć silnie. O tej porze tylko biedna ludność miasta zwykła wstawać, potrzebująca pracować dla kawałka powszedniego chleba, bo szczęśliwi wybrańcy losu nad rankiem mają sen najprzyjemniejszy, marząc o zeszłej zabawie, lub o tej porze spać się kładą znużeni. Pomiędzy ludźmi śpieszącymi w różne strony i biegnącymi w rozmaite części miasta, przeciągnął kondukt pogrzebowy, któremu towarzyszyło tylko kilka osób. Czterech mężczyzn niosło trumnę, dwaj z nich byli to Kazimierz i Jarosław; mały chłopiec biegł za trumną płacząc. Jeżeli dodamy księdza i chłopca idącego

naprzód z krzyżem, to będą wszyscy, którzy temu orszakowi towarzyszyli. Wtenczas gdy orszak pogrzebowy przechodził przez jedną z ludniejszych ulic miasta, przesunął się powóz zaprzężony parą ładnych koni. W nim siedzieli hrabiostwo Skorupscy a naprzeciw nich jeden z lwów salonowych młody książę O..., który stracił wszystko co miał przegrawszy w karty, oprócz mitry książęcej. Całe towarzystwo miało znużone i zaspane twarze i pogniecione odzienie, z czego można było sądzić, że powracało tak rano z jakiejś późnej zabawy.

Powóz zatrzymał się z rozkazu samej pani hrabiny, gdy spostrzegła niesioną trumnę przez znajome sobie osoby, a przytém, że słyszała o chorobie Elżbiety, więc pewnie domyślała się czyj to mógł być pogrzeb.

— *Madame la comtesse qu'est ce que ça?* — zapytał młody książę nakładając pince-nez.

— Poznałam znajome mi twarze naszych dawnych oficyalistów na tym pogrzebie; żona jednego z nich, słyszałam, że była chorą, a służyła u nas pokojową i pewnie musiała umrzeć.

— *Mój Boże!* do jakiego ubóstwa doszli ci ludzie — przerwał jęć hrabia, i oboje małżeństwo położyli znak krzyża św. na piersiach.

— *Mój Boże!* — powtórzyła za mężem hrabina — zawsze to tak bywa, gdy motłoch chce wyrównać nam ludziom wyższego świata i arystokracji; zawsze tak się kończy zabawa, w której grzech pychy ludziom głowy zawraca, jak uczy Pismo św., a teraz zubożeli i mrują z głodu. — Tak mówiła Hrabina o ludziach, w których kole żyła i którzy przedtém mieli szczęście należeć do towarzyskiej śmietanki. — Spojrzała jeszcze raz w tę

stronę lornetując na nieszczęsnych śmiertelników a w końcu rzekła: — *Nudzi mnie ta obdarta zgraja* — i odwróciła się w drugą stronę z pogardą; powóz zwrócił się w inną ulicę.

— Czy widziałeś przejeżdżającą hrabinę — mówił Kazimierz do Jarosława niosąc trumnę — jakim wzrokiem pełnym szyderstwa i pogardy na nas patrzała, urągając naszemu ubóstwu. A gdzież wasza pokora chrześcijańska i miłość względem bliźniego, wy dusze pobożne! — Wymówił te ostatnie wyrazy głośniej i z dziwną ironią, tak że doszły do uszu księdza idącego z konduktem, który spojrzał gniewnie na Kazimierza.

W tydzień po pogrzebie Kazimierz spotkał się na ulicy z panią Biegunkową, która czule z nim się przywitała i zaprosiła do siebie. Kazimierz przystał na to tém chętniej, że dziś z nią nie był związanym żadnemi względami, spotkawszy się na gruncie neutralnym.

Mieszkała ona na wysokiem piętrze, jednakże parę pokoików, które zajmowała, były, choć skromne, ale czyste i przyzwoite, a w obec nędzy, w której umarła Elżbieta, były mieszkaniem zbyt kowném. — Pani Biegunkowa opowiadała swemu gościowi wiele nowin a pomiędzy innemi zakomunikowała mu, że zapisała się w Wilnie do jakiegoś bractwa pobożnego, że odbyła pielgrzymkę do Częstochowy, i o wrażeniu, jakie wywarł na nią w Krakowie świątobliwy ojciec ks. Golian swemi uczonemi kazaniami.

— To, jak widzę — mówił jęć Kazimierz — stracone dusze w naszej parafii znalazły się w Wilnie.

Gdy tych słów domawiał, drzwi się otworzyły i ukazali się w pokoju państwo Marszałkostwo Bujwidowie.

Po przywitaniu się zaczął Marszałek:

— Słyszałem o śmierci pani Jarosławowej; żal mi tych ludzi, stracili pieniądze sprzedawszy majątek za bezcen;— to zawsze tak bywa jak prosty szlachcic pnąć się zaczyna do panów.

— To prawda, panie Marszałku — odparł Kazimierz — ale zdaje mi się, że pan nie masz prawa wyrzucać innym, bo za przykładem waszym szło całe sąsiedztwo i Hrabiowie, i pani Biegunkowa, i Niemierowski i wszyscy inni. To „stowarzyszenie dusz pobożnych” czuwające nad wytepieniem zarazy książkowej, zagarnęło pod swoją opiekę całą okolicę i przyprowadziło ją do upadku.

Gdy Kazimierz pożegnał się ze wszystkimi, był zatrzymywany przez panią Biegunkową, ażeby dłużej pozostał, powiedział:

— Nie nawrócisz mnie pani do głupoty, jeżeli dotąd tego nie dopiełaś — i wychodząc kończył te wyrazy.

— A grubijanin! — wykrzyknęło jednogłośnie za odchodzącym całe towarzystwo.

Kazimierz po śmierci Elżbiety zajął się zaraz losem osieroconych dzieci. Starszego z nich umieścił u jakiejś niemłodej pani, którą poznał i bardzo się ucieszył widząc dobry dozór chłopca, który w następnym roku miał postąpić do gimnazjum, a inne pozostałe dzieci odeśłał pod dozór Proboszcza do Wierzbian, nim nie obmyśli dla nich coś lepszego. Sam pozostawał jeszcze jakiś czas w Wilnie; spoważniał tam i zesmutniał zupełnie, a w końcu wrócił do swego ojczystego zakątka pilnować dzieci ukochanej Elżbiety.

W Wierzbianach wszystko się zmieniło. Dwór podupadł zupełnie, budynki gospodarskie stały pustkami a szyby w oknach niegdyś szlacheckiego domku, były powybijane, podłogi powyrywane, piece porozrzucone. Sprzęty nowe nabywcy zlicytowali a sami mieścili się w dwóch małych pokoikach, bo inne stały się pomieszczeniem nierogaczyny. Las wszędzie niszczone z kretelem, a pieniądze za kupno majątku już dawno się wróciły nowym właścicielom; podobny stan zniszczenia był i w majątkach przyległych. — Kazimierz tém wszystkiem się jednakże nie zrażał. Uczył dzieci i pomagał biedniejszym od siebie, a włożywszy siemkę, chodził sam za pługiem; odbudował młyn na gruncie swoim, który według jego obliczeń mógł dać dobre zyski. Ten człowiek żelazny, niezrażony niczem, pracował na kawałku ojcowskiej roli dla podźwignięcia z nędzy i podniesienia bytu dzieci ukochanej.

Jarosław chodził po Wilnie zadowolony swobodą, jaką odzyskał ze śmiercią żony, ale wkrótce będąc znużony, pojechał do swego stryja na Ukrainę, dawnego oficjalistę, który zebrał sobie spory fundusik. Posiedział przy nim chcąc coś u niego wyprosić, ale gdy mu stary krewny odmówił, powrócił do Wilna, tułał się czas jakiś po kawiarniach i restauracjach, nareszcie zapalony nową ideą głoszącą niepodległość Słowian, pojechał na Wschód, ażeby się bić za ich oswobodzenie.

XXII.

— No, czytaj i ucz się pilnie Stasiu, będziesz światłym człowiekiem i dobrym gospodarzem, jak twój

ojciec—tak mówiła matka do syna.—Chłopiec zaczął czytać, a oprócz niego, koło stołu siedziało parę młodszych dzieci ciekawie się mu przysłuchujących. Na stole leżał list z poczty oczekujący ojca rodziny, który wkrótce przyjechał spracowany i zmęczony, rad że po całodziennych trudach może odpocząć w gronie rodziny.

Mówimy tu o Ludwiku, który zaliczał dziś siebie do najszczęśliwszych ludzi, bo żadna chmurka od czasu ożenienia jego nie zaćmiła mu jasnego horyzontu życia. Jedyna myśl go dręcząca było wiedzieć o nieszczęściu siostry a nie móż jej w niczem dopomódz; wyrzucał nieraz sobie, że w czasie, kiedy można było ją ratować, on nie wiele przykładał starań, i potępiał siebie, że mało miał miłości dla siostry. Wiedząc o niebezpiecznym stanie jej zdrowia, gdy mu podano list charakterem Kazimierza pisany, zadrżał, przeczuwając nieszczęście i wydawszy jęk bolesny, zaczął go czytać:

Wilno 187... Grudnia.

„Drogi Ludwiku!

Dwudziestego Grudnia w nocy zakończyła życie siostra twoja po długiej chorobie, o której już słyszałeś.—Teraz lepiej myślny o żywych jak o umarłych, bo przez pamięć dla niej, obowiązki ciągną nad biednymi jej dziećmi. Ja przenoszę się znowu do Łukiszek pracować na kawałku własnej ziemi; Jarosław jedzie na Wschód jako ochotnik; okolica nasza dawna zubożała i smutna, a we dworze Wierzbiańskim gospodarują żydzi.

Twój Kazimierz.”

— O! ci sami ludzie, którzy najprzód poróżnili mnie z ojcem i rodziną.—zawołał z rozpaczą Ludwik po przeczytaniu listu—zabili mi teraz siostrę jedyną, wydając za ją człowieka, który popełnił na niej morderstwo, za które nie ma odpowiedzialności ani w obec prawa, ani w obec społeczeństwa! — domawiając tych słów pierwszy raz po ożenieniu gorzko zapłakał.

Naradziwszy się później Ludwik z żoną i jej rodzicami, postanowił w części przyłożyć się do wychowania pozostałych po siostrze dzieci, a ocierając łzę w oku, powiedział:

— Rzadko jednakże napotkać można w życiu takiego człowieka, któryby żył szczęściem drugich, jak ten Kazimierz: on stara się goić rany ręką innych zadane. Bodajto kraj nasz posiadał więcej takich ludzi!

KONIEC.



77434

83485